

**Aleksandra Szarłat
Ewa Szymańska**

Bogowie naszej planety

SPOTKANIE

16 października 19.. roku

Przyjechałem do O. przed tygodniem. Mała, cicha miejscina ma przygnębiający wygląd o tej porze roku. Deszcz mży prawie bez przerwy, lodowaty wiatr przenika na wskroś każdego, kto zdecyduje się wyjść z domu, ostatnie żółte liście mokną na chodnikach. Mieszkam w centrum miasteczka i codziennie z okna hotelowego pokoiku patrzę całymi godzinami na mały, smutny, pozbawiony drzew placyk i skulonych przechodniów umykających w jesienną mgłę. Wiem, że należałoby już rozpocząć realizację planu, ale dzień po dniu upływa mi w beczynności; może ta okropna pogoda nie sprzyja działaniu, a może po prostu nie wiem od czego zacząć i tylko szukam wymówki? Dałem sobie termin do siedemnastego - a więc jeśli i jutro nic się nie zdarzy, jeśli się nie zmobilizuję i niczego konkretnego nie postanowię, to damę za wygraną i wyjeżdżam. Ostatecznie, cała sprawa nie jest aż tak ważna, żeby z jej powodu miesiącami tkwić w tym paskudnym O.

18 października 19.. roku

A jednak zostanę tu dłużej, gdyż właśnie wczoraj wydarzyło się nareszcie coś ciekawego. Zawarłem znajomość, pierwszą znajomość - nie licząc właścicieli hotelu, w którym mieszkam i panienki sprzątajacej pokoje - z mieszkańcem O. Od początku wydawał mi się bardzo interesujący.

O godzinie czternastej udałem się jak zwykle o tej porze na obiad. W O, stołuję się w małej, trzeciorzędnej restauracyjce znajdującej się naprzeciwko mojego hotelu, tak samo smutnej i szarej jak całe to miasteczko, i dlatego świetnie pasującej do otoczenia. Zająłem stolik przy oknie i rozejrzałem się po sali - w mrocznym wnętrzu siedział tylko jeden człowiek, całkowicie zatopiony w lekturze. Był to, prócz mnie, jedyny w tej chwili gość znajdujący się w restauracji, z nudów więc zacząłem mu się uważniej przyglądać. Nie miałem na razie nic innego do roboty - wiedziałem że obiad otrzymam najwcześniej za pół godziny, taki tu po prostu panował zwyczaj.

Człowiek, którego od paru chwil obserwowałem, nie przestawał czytać. Na pierwszy rzut oka był to typ raczej nieciekawych: ze trzydzieści parę lat, ubrany niestarannie w szarą, wytartą marynarkę i czarne, wygniecione spodnie. Skuloną postacią, ubogim strojem i dziwnym strachliwym przyczajeniem widocznym wyraźnie na jego twarzy, przypominał niepozornego urzędnika jakiejś drugorzędnej instytucji. Zainteresowała mnie jednakże pasja, z jaką ten człowiek czytał; z pochyloną nisko z powodu złego światła głową, śledził tekst uważnie i w skupieniu, odwracał powoli kartkę za kartką, przy czym często wracał ponownie do stron już przeczytanych - prawdopodobnie by lepiej zapamiętać jakiś szczegół lub powiązać w całość nowo poznane fakty. Byłem pewien, że zapomniał o wszystkim, co nie było bezpośrednio

związane z czytaniem właśnie tekstem - świadczył o tym chociażby odsunięty gdzieś daleko na bok talerz zimnej zupy stojący na jego stoliku. Nagle, tak nagle, że aż mnie to zdziwiło, mężczyzna skończył fascynującą lekturę i zabrał się z widocznym apetytem do jedzenia. Dopiero teraz mogłem zobaczyć, co tak bez reszty przykuwało jego uwagę - były to *Zapomniane ogniwa*, książka doskonale mi przecież znana, poświęcona problemom związanym z archeologią. Zdziwienie moje wzrosło: a więc nie był to żaden kryminał, jak początkowo przypuszczałem, lub coś w tym rodzaju; człowiek, którego jeszcze przed chwilą gotów byłem traktować z pobłażliwą wyższością, studiował literaturę fachową, przeznaczoną dla specjalistów. Kim jest i co robi w O., miejscu tak przecież nie sprzyjającym zainteresowaniom archeologicznym? Znałem na to pytanie tylko jedną odpowiedź, ale przed czasem nie chciałem wpadać w euforię. A może się jednak mylę? W każdym razie tam, w restauracji „Pod Zieloną Gwiazdą” (co za nazwa!) wiedziałem już, że muszę go poznać za wszelką cenę. Jedząc więc obiad obserwowałem czujnie mego sąsiada, który na szczęście najwidoczniej nie szykował się do wyjścia. Gdy na jego stoliku pojawiły się dwie butelki piwa, zapalił leniwie papierosa i wlepił wzrok w niebieskie kwiatki więdzące smętnie w obtłuczonym wazoniku. Obmyślałem tymczasem - gorączkowo plan działania - aż wybrałem w końcu wariant najprostszy jak mi się wydawało, najbardziej naturalny.

Zapłaciwszy rachunek kelnerce podszedłem zdecydowanie do stolika przy którym siedział zagadkowy entuzjasta archeologii, teraz zatopiony najwyraźniej w rozmyślnościach - nieruchomy, ze zgasłym papierosem w jednej ręce i pustą szklanką po piwie w drugiej. Był nie ogolony, z szarych, podkrążonych oczu wyglądało znużenie.

- Przepraszam bardzo, czy mógłbym pana o coś zapytać? - mój głos wyrwał go chyba gwałtownie z myślenia, gdyż spojrzął na mnie z wyrazem zdziwienia i przestachu. Szybko położył rękę na książce, jakby chciał ją gdzieś czym prędzej ukryć, ale było już za późno. - Siedziałem przy sąsiednim stoliku i przypadkowo zobaczyłem, że czyta pan *Zapomniane ogniwa* - nie zapytawszy o pozwolenie zająłem miejsce obok niego mówiąc przy tym nieprzerwanie - żeby pan wiedział, ile ja się tej książki naszukałem, po prostu, jak to się mówi, zachorowałem na nią. Co prawda nie jestem archeologiem z wykształcenia, niestety, nie miałem warunków aby skończyć studia, musiałem wcześniej iść do pracy, wie pan jak to jest, ale archeologia to moja pasja. Od dzieciństwa. Przeczytałem już na ten temat wiele, właściwie mogę się pochwalić, że z bardziej znaczących dzieł znam prawie wszystkie... Oczywiście nie jestem naukowcem, nie wszędzie mam dostęp, na przykład tego nigdzie nie mogłem ani kupić, ani wypożyczyć - ruchem głowy wskazałem na *Zapomniane ogniwa*. - Ale, ale - udałem zaniepokojenie - czy ja panu aby nie przeszkadzam?

- Miło mi z panem porozmawiać i wcale mi pan nie przeszkadza - głos miał młody, miły, pobrzmiwała w nim jednak również nuta zmęczenia. - Zresztą, mówiąc szczerze, ostatnio nie

miałem zbyt wielu okazji do rozmów. A już szczególnie na temat archeologii.

- Mieszka pan tu od niedawna?

Rzucił na mnie spłoszone spojrzenie.

- Dlaczego pan tak sądzi?

Teraz miałem już prawie pewność, że to jest właśnie on i przeklinałem w duchu swoją nieostrożność. Wiedziałem przecież, że muszę uważać na każde słowo, aby nie wzbudzić w nim nieufności. Żaden gest nie może mnie zdradzić.

- Tak tylko sobie powiedziałem - głos mój brzmiał całkiem obojętnie. Udałem, że nie dostrzegłem w jego oczach przestachu. - Sam jestem tu przejazdem, nie znam prawie nikogo, więc również nie mam specjalnie z kim rozmawiać. A już szczególnie na temat archeologii.

Ostatnie zdanie wypowiedziałem tym samym tonem jakim on je wymówił przed chwilą. Uśmiechnął się. Odetchnąłem z ulgą. Niebezpieczeństwo wydało mi się zażegnane.

- Ach, co za człowiek ze mnie - zawołałem z udaną zgrozą - przecież się panu jeszcze nie przedstawiłem. Nazywam się Lotman. Adam Lotman.

- Jakub Graves. A więc interesuje pana archeologia? Dlaczego?

Zauważyłem że stara się mówić jak najmniej na swój temat, ale nie to było teraz najważniejsze.

- Widzi pan, moje zainteresowanie tą dziedziną wiedzy nie ma, być może, charakteru ściśle naukowego, bowiem wszelkie odkrycia archeologii nie tyle interesują mnie same w sobie, ile jako ślady po tych wszystkich zapomnianych dawno pokoleniach, o których mówią nam teraz tylko odkopane z ziemi szczątki, skorupy glinianych garnków, ruiny miast, tajemnicze, do dziś nie rozszyfrowane pismo. To wspaniałe, jak na podstawie nikłych śladów, jakichś wydawałoby się nic nie znaczących drobiazgów, można wiele czasami powiedzieć o ludziach, którzy te drobiazgi zrobili, o kobietach strojących się w naszyjniki z wilczych i lisich kłów, o mężczyznach uzbrojonych na polowaniach w kościane włócznie, o dzieciach odzianych w skóry naszywane muszelkami.

- Widzę, że intrygują pana czasy najodleglejsze.

- I najmniej poznane. Ale nie tylko. Sumerowie, Etruskowie, Majowie, wszystkie wymarłe narody, zagubione gdzieś w historii plemiona... Jedyne w wyobraźni można je wskrzesić, na krótki moment powołać do życia. I to właśnie staram się robić. Patrząc na fenicką monetę widzę ręce, które ją sobie niegdyś podawały, dłonie ważące jej ciężar, twarze w nią wpatrzone. Kiedy oglądam płaskorzeźbę asyryjskiego króla polującego na lwy, nie interesuje mnie wówczas elegancja wyrafinowanej sztuki dworskiej, delikatność rysunku, wspaniałość formy, artystyczne mistrzostwo. Widzę tylko przerażonego, spoconego konia w oszalałym biegu, potężnego, płowego lwa sprężonego do skoku i człowieka z włócznią przygotowaną do ataku, jego podniesione ramię, które zaraz zada lwu śmiertelny cios. Jest to czysto emocjonalne i zupełnie

osobiste podejście do przedmiotu. Nie ma we mnie naukowego obiektywizmu i dlatego być może dobrze się stało, że nie skończyłem studiów i nie zostałem naukowcem. Za wiele bym przeżywał, za mało logicznie myślał.

- Z tego, co pan powiedział, widzę, że zajmuje pana nie tylko archeologia, ale również historia, sztuka, architektura. Tak być zresztą powinno. To wszystko przecież łączy się ściśle z pana zainteresowaniami.

W jego głosie wyczułem nutkę złośliwości i zacząłem się obawiać czy nie przeholowałem w zbytnej gorliwości. Nie mogłem się już jednak wycofać.

- Dziwi się pan zapewne w duchu, kiedy, przy takiej rozległości zainteresowań, znajduję jeszcze czas na swoją pracę zawodową. Ale widzi pan, jestem przecież tylko skromnym entuzjastą, amatorem, zdającym sobie sprawę, że nie starczy mi sił ani czasu, aby poznać wszystko dogłębnie. Może zadowolam się tylko namiastkami, ale proszę mi wierzyć, nie mam innego wyjścia. Jestem samotny, nie mam i prawdopodobnie nie będę miał nigdy rodziny. Moje zainteresowania stały się dla mnie główną treścią życia.

Bezwiednie wpadłem w ton patetyczny i znów przestraszyłem się, czy nie zabrzmiał fałszywie. On jednak niczego chyba nie zauważył.

- Niech mnie pan źle nie zrozumie. Nie chciałem pana urazić. Długo pan jeszcze zostaje w O?

- Sam jeszcze nie wiem dokładnie, ale co najmniej tydzień - odpowiedziałem. - Wszystko zależy od tego, czy moje sprawy zawodowe ułożą się pomyślnie.

- Tydzień... Jeśli pan zdąży przeczytać *Zapomniane ogniwa* w tydzień, to mogę je panu pożyczyć.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować. Przeczytam wcześniej. Zwrócę panu książkę za trzy dni, zgoda?

- Zgoda. Dwudziestego pierwszego o godzinie siedemnastej będę pana oczekiwał w tym oto miejscu.

- Na wszelki wypadek podam panu swój adres. Mieszkam w hotelu...

- Nie trzeba. To zbytuczne. No, muszę już iść - powiedział nie patrząc na zegarek. - Do zobaczenia.

Odszedł tak szybko, że nie zdążyłem nawet nic powiedzieć. Na stoliku obok mnie leżały *Zapomniane ogniwa*.

27 października 19.. roku

Dopiero dzisiaj mogę spokojnie opisać dalszy ciąg tej całej historii. Zaczę od tego, że owe trzy dni, dane mi na przeczytanie *Zapomnianych ogniw*, spędziłem w ogromnym napięciu. To był na pewno on, teraz byłem już tego pewien. Nie wiedziałem jednak, jak pokierować

następnym spotkaniem, aby w końcu wszystko wyjaśnić, a jednocześnie nie przstraszyć go i przekonać. Mogłem liczyć tylko na szczęście. Przeczytałem jeszcze raz pożyczoną książkę, choć przecież znałem ją już przedtem doskonale. Później, gdy przestało nareszcie padać, wychodziłem na długie spacery za miasto, godzinami błądziłem po okolicznych, pustych o tej porze roku polach. Myślałem jeszcze raz o całej tej historii. Wieczorami długo nie mogłem zasnąć. Raz przyśniła mi się bezkresna, kamienna pustynia, o której wiedziałem, że nigdy się nie skończy. Obudził mnie własny krzyk. Tak, od tych wspomnień nigdy się już nie uwolnię.

Kiedy o umówionej godzinie wchodziłem do restauracji „Pod Zieloną Gwiazdą”, dojrzałem go już z daleka przez oszklone drzwi prowadzące do sali. Siedział przy tym samym co przed trzema dniami stoliku, w tej samej szarej marynarce i czarnych wygniecionych spodniach. Nawet jego twarz zdradzała to samo znużenie i rezygnację jak wtedy, gdy go zobaczyłem po raz pierwszy. Wyglądało to tak, jakby przez te trzy dni w ogóle nie ruszał się z miejsca. Wpatrywał się w stojącą przed nim butelkę wina, opróżnioną do połowy.

- No i jak, zdażył pan przeczytać? - zapytał, gdy tylko mnie zobaczył.

- Oczywiście.

- I co?

- Pasjonujące. Nawet laik może się zachwycić. W tej chwili kelnerka przyniosła drugi kieliszek.

- Napije się pan?

Nie czekając na odpowiedź napełnił kieliszki.

- Mówiąc szczerze nie przypuszczałem, że będę mógł jeszcze kiedyś w życiu rozmawiać z kimś o archeologii dawnej kulturze, sztuce... przeszłości... Na temat tego, czym do niedawna żyłem. Tak, nie znam pana prawie wcale, a jednak jest mi pan w pewien sposób bliski, gdyż łączą nas te same zainteresowania. Bo widzi pan... - urwał nagle i przez dłuższą chwilę przypatrywał się badawczo mojej twarzy. Milczałem.

- Bo widzi pan, moje życie jest już skończone - powiedział nieoczekiwanie i z nagłą determinacją.

Wciąż milczałem starając się przy tym nadać mojej twarzy wyraz jak najbardziej współczujący i jednocześnie zdziwiony. Zauważył to.

- Pan jest zdziwiony. Pan się dziwi od początku naszej znajomości. Przypadkowo, w jakiejś zapadłej mieścinie, w podrzędnej restauracyjce spotyka pan obszarpanego typu wyglądającego na notorycznego włóczęgę, który czyta rozprawy naukowe. Jeśli chce pan wiedzieć, znam cztery języki obce i pięć lat temu broniłem pracy doktorskiej. Byłem młodym, świetnie się zapowiadającym naukowcem. A teraz koniec.

A więc jednak los mi sprzyjał, przyszła ta chwila, na którą tak czekałem - chwila zwierzeń. Bałem się odezwać, aby go nie spłoszyć i nie zdradzić się ze swoją radością. Wiedziałem, że

najlepiej będzie, jeśli powie wszystko sam, bez pytań i ponagleń.

- Czy interesowały pana kiedyś religie? - zmienił niespodziewanie temat. - Te dawne, teraz już zapomniane i te, które pozostały żywe do dzisiaj? Ile niezwykle ciekawych rzeczy możemy powiedzieć o mentalności, światopoglądzie i zwyczajach naszych przodków badając ich wierzenia! Radości, obawy, nadzieje tych ludzi można odgadnąć poznając ich religię i bogów, którym składali hołd. Wierzenia dały początek sztuce - wystarczy przypomnieć chociażby magiczne malowidła jaskiniowe magdaleńskich myśliwych, do dziś mogące zachwycić nawet wybitnego znawcę malarstwa. Trudno przypuścić, aby myśliwy-artysta młodszego paleolitu tworzył jedynie z pobudek estetycznych. Jego sztuka posiadała znaczenie kultowe, miała służyć do odegnania złych duchów bądź zapewnić pomyślność w łowach. Niech pan pomyśli, jakże uboga byłaby nasza wiedza o ludziach przeszłych wieków, gdyby nie ich religie. Malowidła, rzeźby, obrazy, świątynie, grobowce, mitologie, pisane i niepisane podania, wszystko to zawdzięczamy jedynie dawnym wierzeniom i religijnym obrzędom. Cóż bez nich mógłby powiedzieć pan o ludziach, których życie tak bardzo pana interesuje? Chyba bardzo niewiele.

- Dlaczego mówi pan o tym? - spytałem, gdyż czułem, że należy się w końcu odezwać.

- Mówię o tym dlatego, żeby jeszcze raz uświadomić sobie i panu, jak ogromną kopalnią wiedzy o człowieku jest każda religia - odpowiedział po dłuższym milczeniu. - Ta oczywista prawda brzmi banalnie, wiem o tym i jeszcze jedno. Czy nie zastanowiło pana nigdy podobieństwo w wyobrażaniu bogów przez różne, czasem bardzo od siebie odległe w czasie i przestrzeni, narody?

- Tak, owszem, można dostrzec tu pewne zbieżności, na przykład to, że bogowie przybywają z nieba lub w niebie się znajdują. Pojawieniu się ich lub odejściu towarzyszą gromy, oślepiający błysk, błyskawice, często również w dawnych wierzeniach bogowie unosili się w powietrzu na latających rydwanach i w tajemniczych pojazdach.

- Otóż to, o to mi właśnie chodziło. Wszystkie te legendy traktowane były oczywiście dotychczas jako twór bujnej fantazji naszych przodków i nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że może w tym istnieć ziarno prawdy i że bogowie rzeczywiście istnieli. A jednak to jest prawda. Nie, proszę mnie źle nie zrozumieć, nie mówię tego w sensie dosłownym. Jeśli ma pan trochę czasu, wyjaśnię to panu dokładniej - Najwyższy czas, żebym w końcu opowiedział to komuś... nie ma pan pojęcia, jak bardzo mi już ciąży ta cała historia. To będzie długa opowieść, przypuszczam jednak, że nie znudzi pana.

Czułem teraz ogromną ulgę. Osiągnąłem swój cel. Mój pobyt w O. nie poszedł na marne. Jakub Graves zapalił papierosa i rozpoczął swoje opowiadanie.

OPOWIADANIE JAKUBA

Jesienią, dokładnie cztery lata temu, wiele gazet na całym świecie umieściło w działach codziennych ciekawostek, pomiędzy ploteczkami z życia co bardziej znanych i sławnych osób, wiadomość o tajemniczym osobniku odnalezionym przypadkowo w niewielkim lesie na południu Kanady i odwiezionym do stołecznego szpitala.

Niektóre gazety przypomniały przy okazji czytelnikom tajemniczą i nie wyjaśnioną historię Kaspra Hausera, który pojawił się 26 maja 1828 roku w Norymberdze, strasząc swym wyglądem mieszkańców miasta. Jak donoszą kroniki, Hauser przedstawiał wówczas zaiste widok przerażający. Obdarty, słaby, ledwie trzymający się na poranionych nogach, błądził ulicami jak ślepiec, bełkocząc coś niezrozumiale. Mimo że żywo zainteresowano się jego losem, nigdy nie zdołano ustalić, skąd wziął się tak niespodziewanie w środku Norymbergii, ani też kim był w rzeczywistości. Kasper Hauser nawet wtedy, gdy nauczył się już mówić, niewiele mógł powiedzieć o swej przeszłości. Stwierdził tylko, że do dnia 26 maja 1828 roku nigdy, mimo iż liczył sobie lat około trzydziestu, nie widział człowieka. Odkąd pamięta, całe życie spędził samotnie w piwnicy. Kto go jednak tam umieścił i żywił przez te wszystkie lata, jak się stamtąd w końcu wydostał, tego nieszczęśnik nie potrafił wyjaśnić. Pozostał na zawsze zagadką, choć na temat jego losów powstało mnóstwo czasem wręcz nieprawdopodobnych teorii.

Dziwny mężczyzna znaleziony w kanadyjskim lesie mógł rzeczywiście przywieść na myśl tamtą odległą historię. Nikt nie potrafił ustalić jego tożsamości. Nie posiadał żadnych dokumentów. Na zadawane pytania nie odpowiadał i każdy, kto próbował nawiązać z nim kontakt, odnosił wrażenie, że nieznajomy nie rozumie co się do niego mówi. W chwili przywiezienia do szpitala człowiek ten znajdował się w stanie skrajnego wyczerpania i apatii. Nie zdradzał najmniejszego zainteresowania, co się z nim i wokół niego dzieje. Pozostawał milczący i obojętny na wszystko.

Odziany był w strzępy bliżej nieokreślonego stroju, który w szpitalu, w obawie przed chorobą zakaźną, natychmiast spalono. Bowiem już pierwszej nocy nieznajomy dostał wysokiej gorączki, stał się niespokojny i nawet krzyczał coś majacząc, czego jednak nikt nie mógł zrozumieć. Lekarze obawiali się, że jest to początek jakiejś nie rozpoznanej jeszcze choroby, która dla osłabionego organizmu mogłaby stanowić poważne niebezpieczeństwo. Atak gorączki nie powtórzył się jednak więcej i chory zaczął powoli odzyskiwać siły.

Organa śledcze rozpoczęły w sprawie nieznajomego natychmiastowe dochodzenie. Rozesłano po całym niemal świecie jego fotografie, dokładny rysopis i wszystkie dane, jakie udało się zebrać. Niestety bez rezultatu. W żadnej kartotece nie natrafiono na podobnego osobnika. Było to tym pewniejsze, że charakterystyczny wygląd tajemniczego mężczyzny wykluczał raczej ewentualne niedopatrzenie czy przeoczenie. Człowiek ten odznaczał się

niezwykłym wprost wzrostem, liczył sobie bowiem dobrze ponad dwa i pół metra wysokości. Twarz miał przyjemną, o dość regularnych rysach. Jego długie, proste, gęste włosy posiadały niespotykany intensywnie żółty kolor. Włosy te stanowiły dziwny kontrast z piwnymi, wyrazistymi oczami. Godne uwagi były także delikatne ręce o zadziwiająco długich, zręcznych palcach zakończonych różowymi paznokciami. W ogólnym wyglądzie mężczyzny było coś niepokojącego, niemożliwego do jednoznacznego określenia. Wydawał się po prostu inny, choć nikt nie mógł dokładnie powiedzieć, dlaczego. Może z powodu żółtych włosów? Albo niezwykłych rąk?

Mimo wszystko personel szpitala zaczął przyzwyczajać się powoli do dziwnego pacjenta i zastanawiać nad sposobami wyrwania go z głębokiej apatii, w jakiej się cały czas znajdował. Doktor Brent odrzucił sugestię, że chory jest umysłowo niedorozwinięty. - „Prawdopodobnie nasz pacjent przeszedł ciężki szok, którego skutkiem jest jego stan obecny” - dowodził. - „Jestem jednak pewien, że przy odpowiedniej terapii możemy uzyskać całkowite wyleczenie”.

I rzeczywiście, po mniej więcej miesiącu przebywania w szpitalu, nieznamy zaczął coraz wyraźniej okazywać pewne ożywienie i zainteresowanie otoczeniem. Uważnie słuchał wypowiedzianych przy nim słów, jak gdyby starał się zrozumieć ich znaczenie. Siostra Barbara, która pierwsza to spostrzegła, rozpoczęła z chorym naukę mówienia. Postępy były zaskakujące - po miesiącu pacjent potrafił porozumieć się z otoczeniem zupełnie swobodnie, wobec czego siostra Barbara mogła już przejść do skomplikowanej nauki czytania i pisania. W początkach stycznia Dominik, gdyż tak nazwano mężczyznę odnalezionego w dniu imienin Dominika, przetransportowany został samolotem do kliniki w Londynie, gdzie zainteresowali się nim dwaj specjaliści psychiatry: doktor Brown i doktor Harrison.

Dominik czytał i pisał już wówczas biegle, z każdym również chętnie rozmawiał, ale niestety na swój temat niewiele miał do powiedzenia. Historia zaczynała się dla niego dopiero od ubiegłej jesieni, dalsza przeszłość natomiast stanowiła nieprzenikniony mrok. Na pytania w rodzaju: Kim jesteś? Skąd przybyłeś do Kanady? Skąd pochodzisz? - odpowiadał znużonym głosem: „Nie wiem, nie pamiętam, naprawdę nic nie pamiętam”. Po przeprowadzeniu szczegółowych badań specjaliści w Londynie mogli wobec tego orzec tylko jedno: amnezja. Czy chory odzyska kiedyś pamięć? Doprawdy nie sposób było na to pytanie odpowiedzieć.

- „Teoretycznie jest to oczywiście możliwe” - zapewniał doktor Harrison na konsylium lekarskim. - „Może to jednak nastąpić równie dobrze zaraz jak i za dziesięć, dwadzieścia albo i trzydzieści lat”.

- „Albo i nigdy” - dodał doktor Brown, a Harrison pokiwał tylko twierdząco głową.

W tym czasie Dominik zmienił znowu miejsce pobytu. Wysłano go do sanatorium w pobliżu Londynu, gdzie - cały czas pod opieką lekarzy - poświęcił się całkowicie nauce. Powoli przyzwyczajano się do myśli, że przypadek Dominika pozostanie równie nie wyjaśniony

i zagadkowy, jak niegdyś przypadek Kaspra Hausera.

Tak minął rok. Przez ten rok Dominik poczynił wprost niebywale postępy w nauce - władał swobodnie trzema językami: angielskim, rosyjskim i francuskim, zaś jego wiadomości z zakresu matematyki, fizyki i biologii zaskakiwały najwybitniejszych specjalistów, którzy coraz częściej odwiedzali go, aby na własne oczy przekonać się o nadzwyczajnych zdolnościach człowieka, uważanego początkowo za „niedorozwiniętego podrzutka”.

Dominik chętnie dawał się wciągać w dyskusje naukowe, poza tym był jednak dziwnie milczący i skryty. Opiekujący się nim lekarze odnosili wrażenie, że poza matematyką, fizyką i kilkoma jeszcze dziedzinami wiedzy, świat był dla niego czymś, co praktycznie nie istniało. Nigdy na przykład nie wyrażał chęci wyjścia poza obręb parku otaczającego budynku sanatorium, nigdy też nie przejawiał ochoty, aby się z kimś zaprzyjaźnić. Żył sam otoczony książkami, które dostarczano mu natychmiast na każde żądanie, odgradzony od reszty świata niewidzialną barierą własnej osobowości - i zdawało się, że był z tego zadowolony a nawet w jakiś swoisty sposób szczęśliwy. Co więcej, przypuszczano, że świadomie starał się wytworzyć wokół siebie tę nieuchwytną atmosferę „inności”, która odpychała i fascynowała zarazem wszystkich. Jesienią, gdy minęła już pierwsza rocznica niezwyklego pojawienia się Dominika w Kanadzie, w sanatorium zastanawiać się zaczęto coraz poważniej nad dalszymi losami niezwyklego i nieco kłopotliwego pacjenta. Amnezja nie ustępowała, to prawda, można było jednak spróbować przystosować Dominika do warunków normalnego życia w społeczeństwie i do samodzielnej egzystencji. - „Nie może przecież siedzieć w tym sanatorium, do końca świata. Niech wreszcie sam zacznie myśleć o sobie, stać go na to. Uważam, że to najlepsza terapia” - dowodził doktor Harrison na którymś tam z kolei zebraniu sztabu specjalistów czuwających nad zdrowiem i samopoczuciem tajemniczego pacjenta. - „Ale to przecież nie takie” proste” - oponował doktor Brown. - „I co będzie z jego zdolnościami? To autentyczny geniusz! Taki talent nie może się zmarnować, a kto wie, jak wpłynęłyby na niego nowe warunki życia”.

Zanim jednak zdołano ostatecznie ustalić najlepsze wyjście z sytuacji, stało się coś, czego nikt niestety nie mógł przewidzieć. Zdrowy dotychczas Dominik pewnego wieczora zupełnie niespodziewanie dostał wysokiej gorączki, zaczął majaczyć wykrzykiwał przy tym coś, czego nikt nie mógł zrozumieć, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy leżał chory w szpitalu pierwszej nocy po odnalezieniu go w lesie - i zmarł następnego dnia rano nie odzyskawszy przytomności, pomimo wysiłków lekarzy, którzy dokonywali wprost cudów aby uratować niezwyklego pacjenta. Wydawało się, że historia tajemniczego człowieka nazwanego Dominikiem została ostatecznie zakończona.

Jakub przerwał swoją opowieść i zapatrzył się w pociemniałe szyby okien. Dopiero teraz

zauważyłem, że zrobiło się już późno i na dworze panuje nieprzenikniona ciemność.

- Tak - przerwałem gęstniejące milczenie. - Słyszałem o tej historii. Gazety rozpisywały się na ten temat, szczególnie prasa brukowa znalazła sobie w Dominiku ulubionego bohatera cosobotnich sensacji. Zresztą całą tą historią zajmowali się również najwybitniejsi uczeni, sławy z całego świata. Rzeczywiście, jego odmienna budowa fizyczna jak też i niespotykane wysoki iloraz inteligencji, przy jednoczesnym niezwyklejym pojawieniu się tego człowieka w cywilizowanym świecie i nie wyjaśnionym pochodzeniu, wszystko to dawało wiele do myślenia i wysuwania najbardziej śmiałych hipotez.

- Na przykład takich, że Dominik jest przybyszem z kosmosu - zaśmiał się Jakub, ale był to gorzki śmiech.

- No właśnie - uśmiechnąłem się również. - A jednak nie rozumiem, jaki związek ma pana opowieść z naszym poprzednim tematem. Mówiliśmy przecież o religiach i ich bogach. Czyżby uważał pan, że Dominik był bogiem? - powiedziałem to takim tonem, jakbym pytał Jakuba, czy widzi białe myszki tańczące na stole.

- Tak, w pewnym sensie był nim na pewno - popatrzył mi głęboko w oczy.

Musiałem szybko udać ogromne zdziwienie. Właśnie otwierałem usta, by dać wyraz swojemu zdumieniu, kiedy kelnerka oznajmiła nam, że minęła godzina dwudziesta druga i lokal trzeba opuścić.

- No cóż, wobec tego proponuję, aby dokończyć tę rozmowę gdzie indziej.. Nie możemy przecież urwać w pół słowa i czekać znowu nie wiadomo ile czasu na możliwość następnego spotkania.

Spodziewałem się sprzeciwu, ale ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zgodził się od razu na tę propozycję.

- Ma pan rację. Trzeba tę opowieść doprowadzić do końca. Kto wie, czy mielibyśmy możliwość dokończenia jej kiedy indziej. Być może nie przyszedłbym już na następne spotkanie. Mógłbym się na przykład rozmyślić... I co, szukałby mnie pan? Czy pozwoliłby pan, żeby historia, o której mówiłem, pozostała na zawsze otwarta?

Postawił mnie w kłopotliwej sytuacji. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem co odpowiedzieć, żeby się nie zdemaskować. Nie zdradzić, że całą tę historię znam lepiej od niego. Na szczęście Jakub nie czekał na odpowiedź. Wstał od stolika i nie oglądając się na mnie ruszył ku wyjściu. Poszedłem w milczeniu za nim i wtedy przyszło mi nieoczekiwane na myśl, że on być może wszystkiego już się domyślił, dlatego jest taki spokojny, bez rezygnacji i opowiada o wszystkim bez oporów. Musiał być przecież spostrzegawczy, moje przyciemnione okulary i przefarbowane na czarno włosy nie na wiele więc mogły się zdać. Na szczęście mój wzrost mógł jeszcze uchodzić za normalny, ale na przykład ręce, które starałem się trzymać wbrew zasadom dobrego wychowania pod stołem, gdyby się im dobrze przyjrzał, mogłyby nasunąć szereg wątpliwości.

Zaprosiłem Jakuba do hotelu, w którym się zatrzymałem. W moim pokoju usadziłem go wygodnie w fotelu i Jakub zaczął opowiadać dalej.

*

- A więc, tak jak już powiedziałem, wszystkim wydawało się że nagła śmierć Dominika nieodwołalnie przekreśliła wszelkie nadzieje na możliwość rozwikłania tajemnicy jego pochodzenia. Wszyscy pogodzili się zresztą szybko z tą myślą, oprócz jednego doktora Browna, który najbardziej chyba przywiązał się do dziwnego pacjenta i przez długi czas nie mógł się uspokoić na myśl, że nie zdołała go uratować, pomimo swych wszystkich znakomitych medycznych umiejętności. W dwa dni po zgonie Dominika opiekujący się nim od dłuższego czasu doktor Brown przechodził właśnie przez korytarz sanatorium, kiedy zauważył nagle, że z dawnego pokoju zmarłego sprzątaczką wynosi sterty książek i papierów. - „Tak, to jego książki” - odpowiedziała zagadnięta - oddamy je do naszej biblioteki. A te szpargały” - wskazała na stosy luźnych kartek rozsypujących się po podłodze - „trzeba będzie wyrzucić albo oddać na makulaturę. Sam diabeł się w tym nie rozezna”. Doktor Brown podniósł z lśniącej posadzki pierwszą z brzegu kartkę i przyjrzał się jej dokładnie. Była gęsto zapisana, ale doprawdy pismo to nie przypominało niczego, co widział dotychczas. - „Ja wezmę te papiery” - powiedział do zdziwionej sprzątaczką i za chwilę oddalał się już spieszenie w głąb korytarza niosąc pod pachą plik zapisanych dziwnym pismem stronic. W domu przejrzał jeszcze raz dokładnie zapisane kartki i stwierdził ze smutkiem, że nie zdoła ich nigdy odczytać. Zorientował się jednak, że notatki Dominika stanowią pewien zaszyfrowany kod, do którego trzeba tylko znaleźć odpowiedni klucz, a z odczytaniem ich nie będzie już trudności. Zastanawiał się przez pewien czas do kogo mógłby się zwrócić z prośbą o pomoc w odszyfrowaniu tajemniczych zapisków. Chciał, aby była to osoba, do której można mieć zaufanie i która nie rozgłosiłaby wiadomości o „testamencie Dominika” - tak bowiem nazywał w myśli znalezione notatki.

Doktor Brown był człowiekiem rozsądnym i dopóki rzecz pozostawała nie wyjaśniona, wolał ją utrzymać w sekrecie i nie podawać do publicznej wiadomości. Cóż by było, gdyby na przykład wbrew jego przeczuciom zapiski Dominika okazały się nic nie znaczącymi gryzmołami dziwnego odmieńca? Co prawda doktor nie wierzył w taką możliwość, na wszelki jednak wypadek wolał nie ryzykować. W końcu zdecydował się wtajemniczyć w całą sprawę swojego dawnego, zaufanego przyjaciela jeszcze z lat szkolnych, niejakiego Beniamina Carelia, który teraz był już znanym w kręgach naukowych archeologiem. Careli interesował się szczególnie odczytywaniem prastarych pism i nie było chyba w owym czasie bieglejszego od niego znawcy zarówno staroegipskich hieroglifów, jak i wszystkich znanych dotychczas rodzajów pisma Winowego. Przypomniawszy sobie o tym wszystkim doktor Brown nie czekał już dłużej, szybko odnalazł numer telefonu archeologa i zadzwonił. Okazało się jednak, że zastać go w domu nie jest wcale zadaniem łatwym. Careli miał bowiem tyle zajęć, tyle zebrań, wykładów, konferencji,

konsultacji, wyjazdów służbowych, że trafić na niego w jego własnym domu, w którym mieszkał samotnie i przez to nigdy się tam zbyt nie spieszył, było prawie niepodobieństwem. W końcu jednak, pewnego późnego popołudnia, kiedy doktor Brown wykręcił - bardziej już z przyzwyczajenia niż z przekonania, że rzeczywiście się dodzwoni - znany na pamięć numer, w słuchawce odezwał się niespodziewanie głos Carelia. Po radosnym powitaniu, okrzykach w rodzaju „jak się masz, stary” i „kopę lat!”, przyjaciele przeszli do poważniejszej rozmowy.

- Jeśli ty nie odczytasz tego tekstu - powiedział po wyluszczeniu sprawy doktor Brown - to znaczy, że nie nadaje się on do odczytania. Myślę jednak, że dasz sobie radę, i że twój wysiłek nie pójdzie na marne. Człowiek, który to pisał, był naprawdę niezwykły i dlatego chyba niezwykła jest również treść jego notatek.

- W porządku. Przyjadę wobec tego do ciebie w piątek wieczorem i obejrzę te cudowne zapiski. A na razie czołem, bo znowu się spóźnię na zebranie.

Na tym rozmowa została zakończona.

W piątek, punktualnie o godzinie dziewiętnastej, w mieszkaniu doktora Browna zjawił się Benjamin Careli.

Jakub sięgnął po papierosa, wciągnął głęboko dym i kontynuował opowieść.

TAJEMNICZE WYDARZENIA

Profesor Beniamin Careli, przez przyjaciół popularnie zwany Benem, był wcieleniem idealnego naukowca. Sumienny, pracowity i zawsze punktualny, stanowił nieosiągalny wzór dla swoich asystentów. Miałem szczęście być jednym z nich, a nawet, nie chwaląc się, byłem najbliższym współpracownikiem Carelia. Ceniłem profesora ogromnie. Imponował mi jego zawsze przemyślany, a zarazem niesłychanie konsekwentny styl pracy. Profesor z kolei obdarzał mnie większym, jak mi się zdawało, zaufaniem niż moich kolegów i często powierzał mi bardzo odpowiedzialne prace.

Tego ranka przyszedłem do pracowni wcześniej niż zazwyczaj, aby skończyć artykuł poświęcony reliefom królewskim z czasów późnego Cesarstwa Rzymskiego. Artykuł miałem już właściwie przygotowany, chciałem jednak dokonać korekty tekstu, ponieważ właśnie dzisiaj profesor miał go wysłać wraz z własnymi opracowaniami na cykl prelekcji mających się odbyć w Rzymie. Spieszyłem się bardzo, ale temat był tak fascynujący, a tekst wydawał mi się tak niedoskonały, że poprawiając i przepisując całe ustępy nawet nie zauważyłem, kiedy minęła dziesiąta. I właśnie w momencie, gdy dopisywałem uwagi o symbolicznym sensie i religijnym znaczeniu płaskorzeźb przedstawiających igrzyska cyrkowe, rozległ się dzwonek telefonu: - „Mówi doktor Karol Brown. Chciałbym mówić z profesorem Careliem”. I wtedy uświadomiłem sobie, że stało się coś niezwykłego: profesor nie przyszedł dziś, jak co dzień, punktualnie o dziesiątej do Instytutu. Nie zjawił się także i o jedenastej. - Byłem poważnie zaniepokojony. Postanowiłem zadzwonić do domu profesora, chociaż wiedziałem, jak bardzo tego nie lubi. Byłem pewien, że stało się coś złego. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy w słuchawce usłyszałem znany mi, spokojny głos. Doprawdy nie wiedziałam, jak mam się zachować, i dość nierozważnie chyba zapytałem po prostu, co się stało.

- Ach, to ty P... - tu Careli zająknął się, ale natychmiast poprawił - Jakubie. Ależ nie, nic się nie stało. Zaraz przyjdę do pracowni.

Byłem zaskoczony. To niemożliwe: „nic się nie stało” - jeśli rzeczywiście tak było, profesor za nic w świecie nie przepuściłby okazji, żeby mi powiedzieć co myśli o zakłócaniu jego domowego spokoju niewczesnymi telefonami. Nic takiego się jednak nie zdarzyło. No cóż, nie pozostało mi nic innego, jak ponownie zasiąść do pracy.

Profesor Careli zjawił się chyba w godzinę po moim niefortunnym telefonie. Już od progu zauważyłem nieuchwytnie na pierwszy rzut oka, dla mnie jednak dość istotne, zmiany. Profesor wyglądał na bardzo zmęczonego, sprawiał wrażenie kogoś, kto podróżował przez całą noc i właśnie wysiadł z pociągu. Dostrzegłem też, że od wczoraj nie zmienił ani jednego szczegółu w swoim ubraniu i nawet, co zdarzyło mu się chyba po raz pierwszy odkąd go znałem, nie zmienił koszuli. Pod pachą trzymał teczkę i teraz zaczął wyklądać jej zawartość na swoje biurko.

Były tam różne skrypty, akademickie podręczniki i notesy profesora. Tylko jedna książka nie należała do codziennego wyposażenia - była mi jednak skądś dziwnie znajoma. No tak, oczywiście, nie wiem jak mogłem o niej zapomnieć - było to jego słynne, choć dotąd nie opublikowane, napisane pospołu z jego nieżyjącym już przyjacielem, Dawidem Stonem, opracowanie kolejnych faz pisma klinowego i sposobów jego odczytywania. Ale do czego było mu ono teraz potrzebne, tego ja, Jakub Graves, „zaufany” asystent profesora, niestety nie wiedziałem.

Moje rozmyślenia przerwał nagle głos Rity, sekretarki Carelia.

- Przepraszam, panie profesorze... - Rita była nieco speszona (co też się stało, do diabła? - przemknęło mi przez myśl) - przepraszam, ale był pan na dzisiaj umówiony z profesorem Zedkindem. Profesor przyleciał aż z Jamajki. Czeka już od dwóch godzin. Myślałam, że...

- Profesor Zedkind? Jaki Zedkind?

Po twarzach obecnych przeleciał błysk zdumienia: profesor chyba żartuje...?

- Ach, Zedkind z Jamajki - uczony zdawał się powracać do rzeczywistości. - Dlaczego mi pani tego od razu nie powiedziała!

Zedkind był najznakomitszym chyba znawcą okresu ikonoklazmu, który ostatnio bardzo zainteresował profesora.

- Ależ już idę. Proszę powiedzieć profesorowi, że już idę się z nim spotkać. - To mówiąc, profesor zaczął z powrotem pakować ledwo co wyłożone książki. Wyglądał na szczerze zmartwionego faktem niestawienia się na ważne spotkanie, ale w momencie kiedy sięgnął po owo osławione opracowanie, rysy jego twarzy ściągnęły się, na czole zaś pojawiła się głęboka bruzda. A profesor, wbrew temu co przed chwilą powiedział, wyjął z niego jakieś kartki i zaczął je uważnie studiować.

Wszystko to było bardzo dziwne i niepodobne do Beniamina Carelia, człowieka zawsze tak punktualnego i skrupulatnego. Uniosłem wzrok znad mojego artykułu i spojrzałem na kolegów - wszyscy wydawali się zdziwieni. Profesor tymczasem był tak pochłonięty lekturą, że zdawał się w ogóle niczego nie zauważać i o niczym nie pamiętać. Nikt z nas nie miał jednak odwagi, aby mu przypomnieć o istnieniu Zedkinda. Na kolejny dzwonek telefonu profesor zerwał się jak oparzony i nie podnosząc słuchawki wybiegł z sali unosząc pod pachą całą swoją ruchomą „biblioteczkę”. Zatrzasnął już za sobą drzwi, kiedy zauważyłem leżącą na podłodze kartkę. Musiała wypaść profesorowi, więc podniosłem ją i położyłem na biurku.

W ciągu całego dnia odebrałem jeszcze mnóstwo telefonów do profesora, który dzisiaj zapomniał o całym świecie.

Beniamin Careli nie zjawił się już w Instytucie. Koledzy pokiwali głowami, sekretarka rzuciła jakąś głupią uwagę na temat „drugiej młodości”, a ja wyczuwałem w tym wszystkim jakąś wielką tajemnicę.

Dzień minął szybko i już miałem wychodzić z pracowni, kiedy moją uwagę przykuła bielejąca na blacie profesorskiego biurka kartka papieru. Nie potrafiłem przemóc w sobie ciekawości. Podeszedłem i wziąłem ją do ręki. Cała jej powierzchnia zapisana była jakimiś dziwnymi znakami. Cóż to mogło być? Co to za znaki? - zacząłem się im przyglądać: na początku widniały dwie skrzyżowane siódemki, potem strzałka i dalej coś jakby nieforemne, kanciaste ósemki następnie rozciągała się cała seria różnych skomplikowanych dla przeciętnego śmiertelnika symboli. No tak, ale ja przecież nim nie byłem. Dla mnie zapis był oczywisty: to fragment pisma klinowego, pochodzący z jego końcowego okresu. Zadziwiające było tylko jedno: kartkę wyrwano ze zwyczajnego, kupionego w sklepie brulionu, a tusz długopisu, za pomocą którego zapisano tekst był jeszcze zupełnie świeży. Kto więc i w jakim celu sięgnął po dawno zapomniane pismo Sumerów? Spojrzałem na zegarek.

Było po czwartej. Nikt przecież tu już nie przyjdzie; może by tak spróbować odczytać zaszyfrowany tekst? (nie miałem w tym względzie wątpliwości - był to niewątpliwie rodzaj szyfru). Instynktownie czułem, że stoję u progu tajemnicy. Co prawda z pismem ideograficzno-sylabicznym od dawna już nie miałem do czynienia, ale przecież zawsze można sięgnąć po źródła do bibliotecznych zbiorów naszego Instytutu. Oczywiście, najlepiej byłoby skorzystać z opracowania profesora, ale był to pomysł zupełnie nierealny. Przyniosłem sobie właśnie mnóstwo potrzebnych książek i czasopism, gdy zabrzączał dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę.

- Czy to profesor Careli? - zapytał jakiś mężczyzna o dziwnie matowym głosie. - Mówi Henryk Terson z Kerstenu.

- Nie, tu Jakub Graves, asystent profesora - odparłem.

- Może pan wobec tego poprosi Carelia do telefonu - głos był niemalże niegrzeczny.

- Profesora nie ma w Instytucie. Jest w domu.

- Nie, w domu nie ma go także. Muszę więc poprosić pana o pewną bardzo ważną przysługę. Chodzi o skontaktowanie się z profesorem jeszcze dzisiejszego popołudnia. Profesor najpóźniej jutro rano musi - tu wydawało mi się, że mój rozmówca położył szczególny nacisk na tym słowie - być u nas, w Kerstenie.

- Ależ panie Terson, czy pan sobie wyobraża, że profesor, jeśli nawet go zdążę zawiadomić, natychmiast po tej wiadomości zasiądzie za kierownicą, żeby do pana pojechać?

- Panie Grave - Terson cedził teraz powoli słowo po słowie - drogi panie, to nie pańska sprawa. W naszym mieście wydarzyło się coś niecodziennego, może nawet niezwykłego... Przed godziną dokonaliśmy pewnego interesującego odkrycia. Proszę to powtórzyć profesorowi, a on na pewno będzie wiedział, o co chodzi. Ja i moi współpracownicy oczekujemy profesora w Instytucie Rozwoju Ludzkości jutro o dziewiątej.

Terson odłożył słuchawkę nie pozwalając powiedzieć mi ani słowa więcej. No cóż,

wykręciłem domowy numer profesora, ale odpowiedział mi długi, przerywany ciszą, sygnał.

Udało mi się z nim skontaktować dopiero o osiemnastej. Powtórzyłem mu owe dziwne, jak mi się wydawało, polecenia, ale ku jeszcze większemu mojemu zaskoczeniu profesor podziękował mi za przekazanie wiadomości, rzucił krótko: - „już jadę” - i życzył mi dobrej nocy.

Ale gdzież mi tam był w głowie sen i co więcej - dobry! Właśnie przed chwilą odnalazłem właściwy szyfr do odczytania klinowego zapisu. Szybko więc zapomniałem o wyjeździe mojego przełożonego i zasiadłem do pasjonującej pracy, która pochłonęła mnie tak bardzo, że nawet nie zauważyłem, jak wybiła północ. - „Nie, to niemożliwe! To nie może być! To jakiś nonsens! - cisza wokół mnie sprawiła, że moje słowa słychać chyba było w całym gmachu. Tekst, który wprowadził mnie w osłupienie, brzmiał następująco:

Od mniej więcej dwóch miesięcy mam dziwne uczucie - wydaje mi się, że śmierć zbliża się ku mnie, niespiesznie co prawda, lecz nieodwracalnie. Trudno mi zresztą odgadnąć jakąś konkretną przyczynę tego przecucia. Niby jestem zdrowy i nic mi nie dolega, a jednak... Wiem, że to już koniec. Dlatego proszę cię, mój nieznany przyjacielu, pilnuj tych notatek, za które musiałem zapłacić długą samotnością i stratą dawnych przyjaciół. Być może Arf i Ana zechcą je zdobyć i wpadną na twój ślad. Z chwilą mojej śmierci poczują pewnie niepokój o własną przyszłość... A wtedy nie wiem nawet, - co może się stać. Nie - same notatki są zresztą najważniejsze...

I w tym miejscu ku mojej rozpaczycy tekst się urywał. Była to przecież tylko zagubiona kartka, której ciąg dalszy musiał znajdować się w teczce profesora. To, co przeczytałem, było dla mnie jednak w dalszym ciągu ogromnie tajemnicze. Zapowiadało jakąś wielką zagadkę, której wyjaśnienia byłem szalenie ciekaw, ale jednocześnie ostatnie klinowe zdania, będące prawie przestrogą, budziły lęk. Lęk, który potęgował się coraz bardziej. I im dłużej myślałem nad tym skrawkiem papieru, tym więcej faktów zacząłem kojarzyć: dziwne zachowanie się profesora, jego roztargnienie i telefon z Kerstenu. Nagle zrozumiałem, dlaczego głos owego Tersona, o którym ani ja, ani żaden z moich kolegów nigdy nie słyszeliśmy, był taki przytłumiony - po prostu ktoś, kto dzwonił, nie chciał, aby go rozpoznano i z pewnością mówił do słuchawki przesłoniętej jakimś grubym materiałem. A profesor... Przeraziłem się. Natychmiast, pomimo późnej pory, zadzwoniłem do domu Carelia. Nie wiem, czego spodziewałem się po tym telefonie, przecież wiedziałem, że Careli jest w drodze do Kerstenu, ale instynkt podpowiadał mi jednak, że dowiem się czegoś istotnego.

No i rzeczywiście. Słuchawkę podniesiono prawie natychmiast. Usłyszałem głos gosposi profesora, która rozpoznała mnie po wypowiedzeniu kilku grzecznościowych formułek, od

jakich zaczyna się zazwyczaj rozmowę dzwoniąc o tak późnej porze, i nie czekając aż się przedstawię, wykrzyknęła:

- Panie Graves, musi pan natychmiast jechać do Renton. Profesor nie żyje, miał wypadek samochodowy, przed chwilą był telefon. Może to nieprawda, może to jakaś pomyłka, błagam pana, Jakubie, niech pan jedzie... To nie może być prawda!

- To nie może być prawda - powtórzyłem jak echo.

Nie zwlekając ani chwili dłużej wyszedłem z Instytutu, wsiadłem do swojego „garbuska” i ruszyłem w kierunku Kerstenu.

Gdy zajechałem na miejsce wypadku, już świtało. Szosa była obstawiona policyjnymi samochodami. Od razu zobaczyłem to drzewo. Wszystkie reflektory były nań skierowane. Postawiłem wóz na poboczu i powoli podszedłem do oświetlonego miejsca. Widok był makabryczny. Cały przód samochodu Carelia i pień drzewa stanowiły dosłownie jedną całość, tyle że trójkolorową: żółto-rdzawo-brązową. Na szczęście ciało profesora zabrano już do pobliskiego szpitala, bo, jak sądzę, tego widoku bym chyba nerwowo nie wytrzymał. Po krótkiej rozmowie z policjantami dowiedziałem się, dokąd przewieziono zwłoki naukowca, a także, że przyczyny katastrofy są jak dotąd nie wyjaśnione i że cała ta sytuacja przedstawia się dość zagadkowo, bowiem w czasie wypadku w promieniu stu metrów nie było na szosie żadnego pojazdu, a przygodny świadek, który jechał obok dróżką dla rowerów, stwierdził, że samochód Carelia minął go z dużą prędkością i za chwilę bez żadnej widocznej przyczyny uderzył w drzewo. Rowerzysta zatrzymał się i widząc, że kierowca nie daje znaku życia, czym prędzej zawiadomił pogotowie.

Podąłem policjantom mój domowy numer telefonu i poprosiłem o jak najszybsze skontaktowanie się ze mną, gdy ustalone zostaną przyczyny tragicznej katastrofy. Nie miałem już tam czego szukać. Wszystko, co mogło być w samochodzie, mam na myśli oczywiście notatki tajemniczego nieznajomego, a także wszelkie zapisy profesora, spłonęło w wyniku eksplozji zbiornika z benzyną.

Przyszło mi jednak na myśl, że może profesor nie zabrał ze sobą notatek, może pozostawił choć fragmenty klinowych zwierzeń u siebie w domu. Dotychczas jechałem „setką”, teraz, gdy wpadł - mi do głowy ten pomysł, naciskałem na pedał gazu coraz mocniej. Strzałka na liczniku dobiegała już stu czterdziestu, gdy wjechałem na teren miasta. Nie zatrzymując się nigdzie, pędziłem na ulicę Wiośnianą do domu Carelia.

Nagle usłyszałem przeraźliwe wycie syren strażackich wozów, które omalże nie potrafiły mnie przy wyprzedzaniu. Przepuściłem pędzące wozy i ruszyłem wolno dalej. Dopiero po chwili zauważyłem, że jedziemy w jednym kierunku. No tak, to było do przewidzenia - te gęste kłęby dymu, które widziałem z daleka, wydobywały się właśnie z willi Carelia. Pożar musiał wybuchnąć stosunkowo niedawno, ponieważ strażacy dopiero rozpoczynali akcję, chyba że... no

właśnie, chyba że zawiadomiono ich za późno, aby cokolwiek uratować.

Ogień wybuchł na poddaszu. Tam też szalał najbardziej, ogarniając swym zasięgiem coraz to większą przestrzeń. Wdzierał się teraz w dolne partie domu. Ponieważ wiedziałem, gdzie znajdował się gabinet profesora, nie namyślając się długo - każda chwila mogła tu mieć kolosalne znaczenie - naciągnąłem na siebie leżącą w bagażniku sportową kurtkę z kapturem i nie wdając się w pertraktacje ze strażakami wbiegłem do płonącego budynku.

Pożar rozpanoszył się już na dobre. Przedzierając się przez kłęby dymu wpadłem jak strzała do mieszczącego się na szczęście na parterze gabinetu profesora, otworzyłem szybko schowek w ścianie (Careli powiedział mi o nim już kilka lat temu), zgarnąłem wszystkie leżące tam papiery i chciałem uciekać tą samą drogą. Niestety, była ona już odcięta. Płonęły drzwi i, co gorsza, zaczynały walić się stropy. Podjąłem natychmiastową decyzję: otworzyłem okno i... usłyszałem głos:

- Panie Jakubie, nic panu nie jest?

Otworzyłem oczy - leżałem na trawniku przed palącą się jeszcze willą, nade mną nachylała się pani MacLind, gosposia Carelia, a obok niej człowiek w białym kitlu pochylając się również, trzymał mnie za przegub dłoni.

- Co się ze mną stało? - wykrztusiłem i momentalnie uświadomiłem sobie wszystko. - Gdzie są notatki?! - prawie krzyczałem.

- Spokojnie, spokojnie młody człowieku, zaraz odwieziemy pana do domu. Musi pan wypocząć. Nic się nie stało: w momencie, kiedy wyskakiwał pan przez okno, spadająca właśnie rynna uderzyła pana w głowę. Stracił pan przytomność, ale teraz widzę, że czuje się pan już lepiej. A co do notatek, to leżą tutaj, obok pana - lekarz mówił spokojnym, ścisłym głosem.

Obejrzałem się. Tuż za mną leżały nadpalone po bokach, zapisane drobnym, starannym pismem kartki z notesu profesora. Chyba miałem trochę szczęścia.

Kiedy znalazłem się u siebie w domu, zamknąłem szczelnie wszystkie drzwi i okna, zaparzyłem mocną kawę i miałem szczerzy zamiar obejrzeć z takim trudem znalezione notatki. Zgodnie z moimi przewidywaniami było to wykonane przez profesora tłumaczenie klinowego zapisu. Oryginał musiał spłonąć w samochodzie. Niestety, zmęczenie wzięło górę nad ciekawością i pomimo kawy usnąłem kamiennym snem.

Zbudziłem się dopiero wieczorem. Zasiadłem w moim ulubionym fotelu i już miałem zagłębić się w tej pasjonującej lekturze, gdy zabręczał telefon. To dzwonił porucznik Dorr z Wydziału Drogowego:

- Panie Graves, mamy już wyniki ekspertyzy. Nasi fachowcy stwierdzili dość poważne uszkodzenie. W układzie kierowniczym nastąpiło wypadnięcie sworznia kulistego, poprzedzone wysunięciem się zawleczeni i odkręceniem nakrętki. W ten sposób doszło do rozłączenia drążków kierowniczych, i kierowca, który rozwinął nadmierną prędkość - około stu czterdziestu

kilometrów na godzinę - stracił panowanie nad kierownicą. Mogę panu jeszcze powiedzieć, że pożar samochodu sprawił, iż niemożliwe jest w tej chwili autorytatywne stwierdzenie, czy powyższe uszkodzenie powstało na skutek zaniedbań użytkownika, czy też nastąpiło w wyniku czyjegoś celowego działania. Nadmienię jeszcze, że ani nakrętki, ani zawleczki na miejscu wypadku nie znaleziono, ale to oczywiście o niczym nie świadczy. Spokojnej nocy, panie Graves.

Nie wiem dlaczego, ale głos Dorra wydał mi się szyderczy. Usiadłem głębiej w fotelu i przymknąłem oczy: cała ta sprawa nie przedstawiała się dość jasno. Postanowiłem ją wyjaśnić, ale aby to zrobić, musiałem najpierw przeczytać dokładnie zapiski tajemniczego autora, i co więcej - zrozumieć ich sens.

Pochyliłem się więc nad tekstem i zacząłem czytać.

TESTAMENT DOMINIKA

(Część pierwsza)

Nazywają mnie tu Dominikiem, choć w rzeczywistości imię moje brzmi zupełnie inaczej. Jeśli potrafisz przeczytać już to pierwsze zdanie, mój nieznany czytelniku, to znaczy, że z pewnością dasz sobie również radę z resztą tekstu. Tak więc zwracam się do ciebie i mam niejaką nadzieję, że zrozumiesz mnie w sposób właściwy. Piszę te słowa w chwili narastającej samotności, która każdego dnia otacza mnie coraz ciaśniejszym kręgiem i domyślam się nawet dnia, kiedy poczuję jej ucisk na własnym gardle. Nic się już jednak nie da zmienić. Zdecydowałem o własnym losie i chcę być konsekwentny. Ponieważ jednak nie stać mnie na konsekwencję stuprocentową, postanowiłem pisać - to właśnie, co czytasz w tej chwili. Doszedłem bowiem do wniosku, że mogę to uczynić. Wystrzegać się jednak będę tych wszystkich szczegółów, które uznam za zbędne albo wręcz szkodliwe dla twojej aktualnej świadomości. Nie trzeba wszystkiego zmieniać ani wiedzieć za dużo przed czasem. Najpewniejsze są przecież te drogi, które utorujemy sobie sami, prawda? Nie, nie powinienem pytać cię o to. Z pewnością zastanawiasz się teraz, o co właściwie mi chodziło i na jakie schorzenie umysłowe cierpiałem. Używam świadomie czasu przeszłego, gdyż najprawdopodobniej gdy zaczniesz rozszyfrowywać te notatki, mnie już nie będzie pośród żywych. Zdaję sobie z tego sprawę. Mój zamiar jest zresztą taki: dopóki będę żył, nikt nie ujrzy tych kartek i nikt się niczego nie dowie. Dopiero po mojej śmierci ktoś pewnie je odnajdzie, może nawet zdoła odczytać i zapoznać się z całą historią, którą za chwilę opiszę. Tym kimś jesteś ty, mój nieznany czytelniku, z którym rozmawiam poprzez niewiadomą mi odległość w czasie i przestrzeni. Niepotrzebnie się niepokoisz, że tracisz czas na odczytywanie notatek obłąkanego. Poczekaj, zaraz wszystko zrozumiesz. Dialog z tobą łagodzi moją samotność. Jesteś z pewnością człowiekiem rozumnym i wykształconym, najprawdopodobniej archeologiem, badaczem pisma klinowego... Czy mam rację? Oby tak było. Nigdy się tego nie dowiem, ale chcę tak właśnie ciebie widzieć. Niedługo umrę. Czuję jak każdego dnia odsuwam się coraz dalej i dalej. Staram się zająć jeszcze nauką, poznać trochę lepiej ludzi, którzy mnie otaczają, ale tak na dobrą sprawę jedynie zapiski przeznaczone dla ciebie trzymają mnie przy życiu. Wysłuchaj mnie więc cierpliwie, nie rozczulaj się jednak zbyt. Myśl o własnej śmierci nie przeraża mnie wcale. Żyłem przecież tak długo, że odejść już najwyższy czas. Tak długo, jak nigdy byś nawet tego nie przypuszczał.

Początek jest taki:

Miało nas lecieć troje: Art, Ana i ja. Prawdę mówiąc, przez długi czas wahałem się z podjęciem ostatecznej decyzji: zgodzić się na wzięcie udziału w ekspedycji czy też pozostać na Ziemi? Wiedziałem, że rezygnacja z wyprawy na pewno nie przyniesie mi ujmy; wielu pilotów

rezygnowało i nikt się temu nie dziwił. Tak zwane długoterminowe loty kosmiczne oznaczały bowiem nie tylko podjęcie wielkiego ryzyka związanego ze zwykłymi trudami tego typu wyprawy, ale także bezpowrotne wyrzeczenie się całego znanego w ciągu dotychczasowego życia świata. Za wcześnie było wówczas nawet na to, aby choć w przybliżeniu określić, jak wyglądać będzie powrót astronauty na naszą planetę po nieobecności trwającej kilka tysięcy lat ziemskich, ale najszerzej rozpowszechnione przypuszczenie, że osobnik taki zostanie wskutek postępu cywilizacji świat zbyt mocno zmieniony, aby móc się do niego przystosować, nie ułatwiało podjęcia decyzji o wyprawie. Trzeba się było wyrzec nie tylko myśli o zobaczeniu kiedykolwiek bliskich, przyjaciół, znajomych, ale także wyjść poza wszelkie układy i związki; dobrowolnie skazać się na dożywotnią już rolę obcego w każdym miejscu i czasie. Toteż tylko dlatego, że byłem jeszcze pod silnym wrażeniem śmierci matki, która zmarła kilka miesięcy wcześniej, i że czułem się bardzo osamotniony, zdecydowałem się w końcu na uczestniczenie w wyprawie. Wydawało mi się, że oprócz własnego życia nie mam właściwie nic do stracenia, a młodzieńcza chęć przygody popychała mnie w nieznaną.

Byłem wtedy młodym absolwentem Ogólnoziemskiego Ośrodka Kształcenia Pilotów Kosmicznych, znajdującego się w tym samym mniej więcej miejscu, w którym w wiele tysięcy lat później wybudowano miasto Brazylię. Zaraz po zakończeniu nauki i uzyskaniu odznaki Ziemskiego Pilota Kosmicznego Pierwszego Stopnia, gdy nie wiedziałem jeszcze dokładnie, co będę robił dalej ani gdzie będę pracował, wezwał mnie do siebie niespodziewanie mój bezpośredni przełożony i wieloletni nauczyciel, Agg Ann.

- A więc nie jesteś jeszcze zdecydowany co do swojej przyszłej pracy? - zapytał, gdy usadowiłem się naprzeciw niego w jaskrawożółtym poduszkowym fotelu.

- Nie, jeszcze nie - odpowiedziałem i popatrzyłem w szerokie okno za jego plecami, z którego roztaczał się wspaniały widok na nie kończące się, połyskujące w słońcu, białosrebrzyste zabudowania Ośrodka. - Prawdopodobnie zacznę pracować w Bazach Omm, ostatnio proponowano mi tam niezłą robotę.

- W Bazach Omm... - Agg popatrzył na mnie nie bez lekkiej ironii. Przyznałem mu w duszy słuszność, nie były to rzeczywiście zbyt ambitne zamierzenia. - Mam dla ciebie ciekawszą propozycję, tak mi się przynajmniej wydaje.

Nastawiłem uszu. Lubiłem Agga i miałem do niego zaufanie. Wiedziałem, że nie poleciliby mi nigdy byle czego.

- Rozpoczęto wstępne przygotowania do długoterminowego załogowego lotu w rejon mgławicy 4-58314. Myślę, że masz wszelkie predyspozycje do tego, aby w nim uczestniczyć. Rozumiem, że nie możesz od razu dać odpowiedzi, jest to sprawa zbyt poważna, dlatego też daję ci oczywiście trochę czasu do zastanowienia. Powiedzmy tydzień.

Byłem zupełnie oszołomiony. Tego się nie spodziewałem. Loty długoterminowe rozpoczęto

przed dwudziestu laty i od tamtej pory zaledwie trzy załogi wysłano w kosmos w celu zbadania odleglejszych gwiazdozbiorów. Spodziewano się ich z powrotem za mniej więcej tysiąc lat ziemskich... - Jesteś młody i wszechstronnie przeszkolony - kontynuował Agg. - Zdobyłeś maksimum wiedzy, którą może w dzisiejszych czasach osiąść astronauta. Wyprawa taka jest wielkim wyrzeczeniem, ale jednocześnie wielką i może jedyną twoją szansą na uzyskanie czegoś więcej niż stanowisko głównego dyspozytora jednej z Baz Omm.

- Ilu ludzi poleciałoby razem ze mną?
- Tylko dwoje.
- Jaki jest przewidziany czas wyprawy?
- Około trzech tysięcy lat ziemskich.

Pokiwałem głową. Agg pożegnał się ze mną prędko i już za chwilę ruchoma, połyskliwa czarna taśma niosła mnie w głąb Ośrodka.

Cały następny tydzień nie robiłem właściwie nic, myślałem tylko o propozycji Agga. Chodziłem nad sztuczne jezioro, ulubione miejsce wypoczynku wszystkich kandydatów na pilotów, patrzyłem w lekko falującą wodę i rozważałem wszystkie za i przeciw. Po tygodniu poszedłem znowu do Agga i już od drzwi zawiadomiłem go o swojej decyzji, lecę. Później nastąpił okres zwyczajnych w takich przypadkach przygotowań do wyprawy. Wtedy właśnie poznałem Arfa i Anę. Oni także dopiero co ukończyli naukę w Ośrodku. Byliśmy wszyscy w jednym wieku i nawet uczyliśmy się w tym samym czasie, jednak nie mieliśmy okazji poznać się wcześniej. Nie było w tym zresztą, zważywszy ogrom Ośrodka, nic dziwnego. Na szczęście przypadliśmy sobie wszyscy od razu do gustu. Arf wydawał się być szczerym i miłym chłopcem, Ana sympatyczną i inteligentną dziewczyną. Zastanawiałem się często, co ich skłoniło do udziału w naszym locie. Jakie były przyczyny powzięcia decyzji? Przypuszczam, że każde z nas rozmyślało często o powodach decyzji wzięcia udziału w tej straceńczej tak czy inaczej wyprawie, jednakże między sobą o tych sprawach nie rozmawialiśmy. Był to jak gdyby temat tabu.

Po miesiącu żmudnych przygotowań byliśmy wreszcie gotowi do drogi. Ostatniego dnia naszego pobytu na Ziemi udaliśmy się małym białym pojazdem Any do pobliskiej Strefy Naturalnej, w której przyroda trwała jeszcze w swym pierwotnym kształcie. Pomyślałem sobie wówczas, że chyba Arf i Ana są tak samo samotni jak ja, skoro nie muszą się z nikim żegnać. Leżałem pod dużym drzewem, którego nazwy nawet nie znałem, z twarzą wtuloną w suchą, szeleszczącą trawę. Wyobrażałem sobie, jak niedługo leżeć będę tak samo nieruchomo przez długie setki lat, zamknięty w ciasnym wnętrzu kosmolotu. Widziałem oczami wyobraźni niewielkie pomieszczenie przetrwalni, o metalicznych, gładkich ścianach, za którymi ukryte zostało królestwo Mózgu. Widziałem też ułożony na niewysokim podeście biały kokon. To będę właśnie ja. Już za parę dni będę tym owadem ukrytym w szczelnej białej powłoce, mknącym

przez pustkę ku odległym galaktykom, zdany wyłącznie na umiejętności Mózgu i szczęśliwe zbiegi okoliczności. To ja zasną w przetrwalni, aby obudzić się po kilkunastu ziemskich stuleciach jak po krótkiej poobiedniej drzemce. Zestarzeję się najwyżej o kilka tygodni, podczas gdy na Ziemi... Spojrzałem na Arfa i Anę. Siedzieli w milczeniu obok mnie pod drzewem. Pewnie myśleli o tym samym.

Wieczorem wróciliśmy do Ośrodka. Następnego dnia udaliśmy się na Deimosa, gdzie czekał na nas nasz kosmolot, a w trzy dni później nastąpił odlot. Odbyło się przy tym bez zbytniej wrzawy i szumnych pożegnań, których się w głębi duszy obawiałem. Kiedy opuszczaliśmy Układ Słoneczny szybkość kosmolotu zbliżona już była do prędkości światła i w tym tempie mieliśmy odbywać dalszą część podróży. Zaraz za Plutonem całą władzę nad kosmolotem - i tym samym nasze dalsze losy złożyliśmy „w ręce” Mózgu, sami zaś udaliśmy się do przetrwalni, gdzie w niedługim czasie zręczne automaty zrobiły z nas akurat takie same kokony, jakie jawiły mi się uparcie przed oczami ostatniego dnia przed odlotem z Ziemi.

- Dobranoc powiedział Arf, siląc się chyba na dowcip.

Z białego pancerza widać było już tylko jego twarz. Nim zdołałem coś odpowiedzieć, jeden z automatów założył mi na głowę nieprzezroczysty hełm. Zdążyłem pomyśleć, że za chwilę stracę przytomność i to był ostatni fakt, który zapamiętałem. Potem ogarnęły mnie ciemności.

Nie będę opisywał szczegółowo tego, co dalej działo się w naszej podróży. Tego, jak nasz kosmolot przybył w końcu w rejon mgławicy 4 - 58314 i jak Mózg zdecydował, że czas już przywrócić nas do bardziej świadomego bytu. Nie będę pisał o tym, jakie układy słoneczne zwiedziliśmy i na jakich lądowaliśmy planetach. Wiem, że jesteś tego wszystkiego bardzo ciekaw, mój nieznaną przyjacielu, który czytasz właśnie te słowa. Nie gniewaj się jednak, że nie o wszystkim ci opowiem. Nie chcę i nawet nie umiem tego zrobić. Powiem ci za to, co wiem o twojej własnej planecie. O Ziemi, która jest ci przecież najbliższa. Bo spisując całą tę historię, myślę cały czas tylko o niej. Ona jest tu najważniejsza, i liczy się naprawdę tylko to, co jej dotyczy. Reszta to pobieżnie naszkicowane tło. Wspomnę więc tylko, że cała nasza wyprawa do 4 - 58314 przebiegała zgodnie z planem. Niespodzianki nie przekraczały miary naszych przewidywań, nie natknęliśmy się też na żadną pozaziemską cywilizację. Penetracja obszarów 4 - 58314 zajęła nam trzy lata. Przez ten czas zrobiliśmy ogromną ilość badań i doświadczeń po czym postanowiliśmy wracać. Owe trzy lata minęły nam tak, jak gdyby to były najwyżej trzy dni. Mnóstwo nowych wrażeń, niezwykła różnorodność spotykanych zjawisk, wszystko to przyspieszało nam upływ czasu. Wydaje mi się nawet, że przez cały ten okres nie zdążyliśmy się lepiej poznać i zaprzyjaźnić. Może to brzmi paradoksalnie, ale byliśmy tak zafascynowani światem, który nas otaczał, że nie mieliśmy okazji zwrócić na siebie baczniejszej uwagi. Poza tym każde z nas odnosiło chyba to samo wrażenie pewnej nierealności sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy. Wszystko wydawało się tak bardzo chwilowe, niestałe i przemijające, że nawet

samych siebie nie umieliśmy traktować zupełnie serio. „Na Ziemi znów wszystko będzie naprawdę rzeczywiste” - myślałem często, patrząc jak Arf, podobny w swoim skafandrze do srebrnej ryby, przepływa powoli nad kosmolotem, albo jak Ana wynurza się nagle z jakiejś fioletowej mgły, która czepia się uparcie jej włosów. Myśl o Ziemi powracała tak często, że czasem mnie to wprost złościło. „Tęsknisz, durniu” - myślałem sobie w duchu - „nie stać cię na odrobinę tak potrzebnej w tym miejscu wyobraźni. Twojej Ziemi już nie ma, a ty, jak królik doświadczalny z minionych epok, wracasz na obcą ci już teraz planetę, aby ku ucieście tamtejszej gawiedzi wystąpić w charakterze dobrze zakonserwowanego przodka, który na wszystko wokół spoziera z rozdziawioną szeroko ze zdziwienia gębą!” W gruncie rzeczy nie obawiałem się jednak powrotu. Byłem jeszcze tak młody, że ciekawość zmian, które nastąpiły z pewnością na Ziemi w okresie mojej nieobecności, przesłaniała wszelkie niepokoje. Wydaje mi się zresztą, że Arf i Ana myśleli podobnie.

Toteż nasze przygotowania do podróży powrotnej przebiegały w zdecydowanie optymistycznym nastroju. Nie przeszkadzała nam już nawet myśl o długim przymusowym pobycie w przetrwalni. 4-58314 opuszczaliśmy bez żalu.

Na Ziemi mijały już trzy tysiące lat naszej nieobecności, kiedy kosmolot z naszą trójką na pokładzie pojawił się znowu w rejonie Układu Słonecznego. Prosto z przetrwalni pobiegliśmy do Kabiny Głównej kosmolotu na rozmowę z Mózgiem.

- Jakie masz wiadomości z Ziemi? - krzyknęliśmy wszyscy niemal równocześnie, gdy tylko znaleźliśmy się naprzeciw ekranów Mózgu.

- Brak wiadomości z Ziemi - odpowiedział spokojnie.

Przez chwilę milczeliśmy w osłupieniu.

- Jak to brak? - wyjąkał w końcu Art. - Jak to brak? - Prócz tego pytania nic nie przychodziło nam na razie na myśl. Ana opuściła nisko głowę - dopiero teraz zauważyłem, że w przetrwalni bardzo urosły jej włosy. Żółte kosmyki przesłaniały pół twarzy, widać było tylko mocno zaciśnięte usta.

- A Mars? A wszystkie bazy pozaziemskie? - głos Arfa wyraźnie drżał.

- Brak wiadomości.

W Kabinie Głównej zapanowała na chwilę cisza. Opadłem miękko na stojący obok mnie przezroczysty, niebieski fotel i siedziałem nieruchomo. Czuję się tak, jakbym już nie żył. Zauważyłem po chwili, że Arf i Ana siedzą również i spoglądają na siebie. Po raz pierwszy przyszło mi naraz do głowy, że łączy ich coś więcej niż uczucie koleżeńskiej przyjaźni. Nie wiem wcale, dlaczego pomyślałem o tym właśnie wtedy.

- Czym można tłumaczyć milczenie Ziemi? Czy jednoznacznie wskazuje to na brak ludzi na planecie i na wszystkich bazach Układu? - Ana mówiła niemal równie spokojnie jak Mózg. Zawsze była bardzo opanowana, co szczególnie imponowało Arfowi, który miał czasem kłopoty

z opanowaniem własnych nerwów. Poza tym uważałem go jednak za dobrego kumpla.

- Brak danych na podanie prawidłowej odpowiedzi - powiedział Mózg. - Najprawdopodobniej jednak z niewiadomych przyczyn Ziemia przestała być planetą zamieszkaną przez człowieka. To samo dotyczy Księżyca, Marsa i wszystkich baz pozaziemskich. Prawdopodobne jest również to, że na Ziemi nadal istnieją ludzie, jednakże z nie znanych nam dotąd przyczyn nie odpowiadają na nasze sygnały. Pewne jest tylko jedno: aparatura kosmolotu działa prawidłowo.

Było to jedno z dłuższych przemówień Mózgu.

W miarę zbliżania się do Ziemi, nasze skrywane nadzieje na nawiązanie łączności coraz bardziej malały, a z chwilą przelotu nad zimnym, milczącym Marsem spadły właściwie do zera. Celowo skierowaliśmy się ku największym znanym nam bazom marsjańskim, aby jak najszybciej zorientować się w sytuacji. Widok Bazy Centralnej, która w czasach naszego odlotu stanowiła główny ośrodek życia na tej planecie, mówił sam za siebie. Lecieliśmy bardzo nisko, na wysokości - mierząc ją obecną miarą - nie przekraczającej kilometra, mogliśmy więc ze ściśniętym gardłem obejrzyć wszystko dokładnie. Ogromne, przezroczyste kopuły Bazy, pod którymi - jak pod gigantycznymi kłozami - istniały kiedyś wesoło połyskujące wśród drzew i kwiatów osiedla osadników, ukazywały nam teraz swoje wymarłe wnętrza, z resztkami rozpadających się budynków, przysypanych do połowy brunatnym pyłem, wdzierającym się widocznie do wewnątrz przez szczeliny niszczących kopuł. Nigdzie nie dostrzegliśmy najmniejszego śladu jakiegokolwiek życia, najmniejszego chociażby skrawka zieleni, który nie poddałby się wszechobecnej martwocie. Nie mieliśmy nawet po co lądować. Inne bazy marsjańskie przedstawiały podobny widok: wszędzie panował ten sam przeraźliwy bezruch wymarłych osad, który od samego początku napawał całą naszą trójkę uczuciem bezgranicznego przerażenia. Staliśmy wszyscy na pierwszym pokładzie kosmolotu, wpatrzeni w eliptyczne okna, za którymi przesuwały się coraz to nowe obrazy zniszczenia, podobni do posągów równie martwych i nieruchomych jak powierzchnia Marsa. Co pewien czas w kompletnej ciszy słychać było tylko stłumiony głos Any wydającej polecenia Mózgowi:

- Kierunek: Baza Północna.

- Kierunek: Baza Pilotów.

- Kierunek: Baza Zdobywców Marsa.

Wreszcie Ana wydała ostatnie polecenie: - „Kierunek; Ziemia” - i nie patrząc ani na Arfa, ani na mnie, ani na to co rozciągało się za oknami kosmolotu, szybko zeszła z pokładu. Niedługo potem siedzieliśmy wszyscy troje w Kabinie Głównej. Trzeba było omówić plan działania. Nikt z nas nie zaproponował nawet, żeby choć na chwilę wylądować na Marsie i spróbować dowiedzieć się czegoś o przyczynach katastrofy, która spowodowała wyludnienie planety. Spieszyliśmy na Ziemię, choć wiedzieliśmy już dobrze, czego możemy się tam spodziewać.

Interesowała nas tylko Ziemia. Dopiero wówczas zrozumiałem, jak bardzo jestem z nią związany. Bazy, księżyce, planety, układy i galaktyki, wszystko to mogło istnieć lub nie, rozkwitać albo ginać, ale Ziemia musiała żyć, inaczej wszystko inne, najwspanialsze nawet, straciłoby cały sens. Z rozmyślań wyrwał mnie głos Arfa:

- Wszyscy zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że na Ziemi zastaniemy najprawdopodobniej sytuację analogiczną do sytuacji na Marsie. Nie wiemy jeszcze, czy i w jakim stopniu powierzchnia planety została zniszczona i jakie panują tam teraz warunki, musimy jednak realnie uświadomić sobie, że wszystko wskazuje na to, iż jesteśmy jedynymi żyjącymi potomkami tego globu.

- Nie licząc oczywiście możliwości, że takich jak my, tułających się jeszcze gdzieś po kosmosie i nie mających pojęcia o tym, co się tu stało, jest więcej - powiedziałem.

- Tak, to jest bardzo prawdopodobne, ale w niczym nie zmienia naszej sytuacji. Trzeba pomyśleć nad tym, co robić dalej.

- Jak to co? - obruszyła się Ana. Ona najszybciej chyba otrząsnęła się z szoku wywołanego widokiem martwych baz Marsa. - Będziemy znowu żyć na Ziemi, jeśli tylko okaże się to możliwe.

- Będziemy karczować lasy i polować na dzikiego zwierza. A ty na dodatek będziesz musiała urodzić dużo, dużo dzieci, żeby ród ludzki nie wyginął – ironizował Arf. Nerwy znowu widocznie zaczęły go ponosić. Ana jednak nie dała się sprowokować:

- No i co z tego? Dostyc już mam tych kosmicznych podróży. Z chęcią zacznę teraz rodzić dzieci.

- Tak, tak... A dzieci te wyrosną na bandę skretyniałych dzikusów, umięających tylko skakać po drzewach.

Będą żywym szyderstwem z wielkiej cywilizacji, z własnych przodków, którzy nawet nigdy przez moment nie przypuściliby, że tacy właśnie będą ich potomkowie.

- Nic mnie nie obchodzą przodkowie, którzy już dawno rozsypali się w proch. Wiem tylko, że chcę żyć i że trzeba wszystko zacząć od nowa.

- Przestańcie w końcu dyskutować na głupie tematy - powiedziałem widząc, że Arf szykuje znowu jakąś ciętą odpowiedź. - Przede wszystkim nie wiemy na pewno, czy rzeczywiście na Ziemi nie ma w ogóle ludzi. Po drugie nie znamy także warunków, jakie tam obecnie panują. Być może nie nadają się już do życia, w związku z czym cała wasza rozmowa staje się w tym wypadku zupełnie bezprzedmiotowa.

- Masz rację - Arf zdążył się już najwidoczniej opanować. - Z tą dyskusją trzeba jeszcze trochę poczekać. Wszystko zależy od tego, co zastaniemy na Ziemi.

- A co zrobimy, jeśli okaże się, że naprawdę tam nie można już żyć? - spytała Ana.

Arf poprawił jej opadające na czoło włosy. Gest ten oznaczał widoczną chęć pogodzenia się

po niedawnej sprzeczce.

- Wtedy wrócimy na ciepłą planetę Dwóch Słońc i tam zostaniemy na zawsze. Będziemy oddychać powietrzem tak czystym i chodzić po tak zielonych łąkach, jakich na Ziemi nigdy nie było. Będziemy codziennie kąpać się w jasnozielonym morzu, po którym pływają wielkie cynobrowe kwiaty. Będziemy też...

- Przestań bredzić - powiedziałem, sam zdziwiony ostrym tonem własnego głosu. Arf zamilkł obrażony. Znow zapanowała cisza.

- Wchodzimy na orbitę okołoziemską - odezwał się nagle Mózg. W tej samej chwili naprzeciw nas zapalił się wielki mlecznobiały ekran, który zaraz zmienił barwę na ciemnognatową. Pojawiła się na nim Ziemia. Wpatrzyliśmy się w nią gorączkowo. Zarysy lądów wydawały się nie zmienione. Poznawaliśmy dobrze znane nam kontury i odetchnęliśmy z niejaką ulgą.

- Podaj dane dotyczące aktualnych warunków panujących na Ziemi - poleciłem Mózgowi. - Zbadaj, czy w atmosferze i na powierzchni globu nie zaszły jakieś zmiany w porównaniu z czasem, w którym rozpoczęliśmy naszą podróż. Sprawdź, czy przebywanie na planecie stanowi obecnie zagrożenia dla życia lub zdrowia organizmu ludzkiego.

Na ekranie Ziemia obracała się wciąż powoli. Arf zaproponował zmniejszenie odległości dzielącej nas od powierzchni planety i już za chwilę tarcza globu rozrosła się przed naszymi oczami ukazując nowe, niedostrzegalne przedtem szczegóły. Lecieliśmy teraz na wysokości nie przekraczającej trzystu kilometrów i syciliśmy wzrok roztaczającym się przed nami widokiem. Nie pierwszy raz przecież oglądaliśmy Ziemię z tej odległości, a jednak patrząc na tonące w zieleni łądy, na łańcuchy gór pokryte białymi czapami wiecznych śniegów, na mgły zalegające nad oceanami, poczuliśmy wszyscy ogarniające nas uroczyste wzruszenie. Kosmolot zanurzył się w cień planety i ujrzeliśmy ciemność ziemskiej nocy; takiej nocy nie widział jeszcze nikt z nas. Nie rozświetlało jej ani jedno światełko, żaden blask nie przenikał poprzez okrywającą wszystko czerń.

- Światła wielkich miast nie chciały nas jednak powitać - powiedział Arf z ironią.

W gruncie rzeczy nie było to dla nas żadnym zaskoczeniem. Spodziewaliśmy się przecież takiego właśnie widoku. Brak sygnałów radiowych, wymarłe bazy Marsa - wszystko to już dawno rozwiało nasze złudzenia i nadzieje na zastanie pomyślnej sytuacji. Gdy kosmolot wyszedł z cienia Ziemi, mogliśmy znowu podziwiać jej pierwotne piękno, nie skażone ingerencją człowieka. Z ziemskiej mapy znikły bowiem miasta, wielkie porty, oceaniczne bazy, nowoczesne ośrodki. Nie widać było nic prócz wybujałej zieleni, poprzecinanej gdzieniegdzie szarymi i czerwonymi pasmami gór, porozdzielanej ciemnymi plamami mórz i jaśniejszymi płaszczyznami oceanów.

- Warunki panujące obecnie na Ziemi w niczym nie stanowią zagrożenia dla życia człowieka

- zakomunikował Mózg. Głos Mózgu dobiegał jednocześnie ze wszystkich ścian kabiny, co potęgowało wrażenie jego wszechobecności i wszechwiedzy. - W składzie atmosfery i gruntu brak widocznych zmian. Niewielki wzrost średniej temperatury - około dwóch stopni.

- Promieniowanie? - rzuciła szybko Ana.

- W normie. Nigdzie nie dostrzega się wzrostu promieniowania ponad pułap naturalny.

Spojrzeliliśmy po sobie.

- Najwyższy czas wobec tego, aby wreszcie coś postanowić - odezwał się Arf.

- Trzeba po prostu wybrać odpowiednie miejsce do lądowania kosmolotu i...

- Mylisz się - przerwałem w sposób może nie najgrzeczniejszy wypowiedź Any. - To, że Mózg nic nie wykrył, nie może skłonić nas do porzucenia wszelkich środków ostrożności. Dlatego też uważam, że zamiast lądować się od razu z całym kosmolotem na nie znany nam teren, musimy najpierw wybrać się tam rakieta zwiadowczą, aby możliwie dokładnie zbadać wszystko osobiście.

- Sim ma rację - poparł Arf moją propozycję. - Trzeba po prostu postąpić tak, jak postępuje się normalnie przy penetracji nieznanymi planetami. Zawsze tak przecież robiliśmy. A Ziemia stanowi dla nas teraz nie mniejszą zagadkę, niż Żelazna w układzie 15-73.

- Co więc w końcu proponujecie? - spytała Ana spokojnie.

- Dwoje z nas leci na zwiady, jedno pozostaje na straży w kosmolocie.

- Kto w takim razie zostaje? - W głosie Any wyczułem nutę wyzwania. Spojrzeliśmy z Arfem po sobie. Właściwie nikomu z nas nie uśmiechało się dalsze siedzenie w kosmolocie i beczynne oczekiwanie na powrót pozostałej dwójki.

- Losujemy - zaproponował skwapliwie Arf.

Skwapliwość Arfa wynikała niewątpliwie stąd, że zawsze miał on niebywale szczęście we wszystkich losowaniach. W czasie naszych badań w obszarze 4-58314 bardzo często bowiem posługiwaliśmy się właśnie tym sposobem przy podejmowaniu decyzji o udziale w kolejnym locie zwiadowczym. Otóż prawie zawsze Arf uczestniczył w takiej wyprawie, co w pełni zresztą odpowiadało jego pragnieniom. Był to bowiem urodzony odkrywca, gotów zawsze ryzykować nawet własnym życiem, byle tylko nie stracić okazji do zobaczenia czegoś nowego, czego nikt przed nim jeszcze nie widział. Natura popychała go do uczestniczenia w ciągle nowych przygodach i to stałe nienasycenie przygodą było jednym z głównych rysów charakteru Arfa. Czasami podejrzewałem nawet, że oszukuje w trakcie losowania, nigdy jednak na żadnym krętactwie nie mogłem go przyłapać.

- Losujemy - zgodziliśmy się z Aną, czując, że mimo wszystko będzie to najwłaściwsze wyjście z sytuacji.

Arf pobiegł szybko na drugi pokład, skąd wrócił za chwilę niosąc trzy niewielkie kulki: niebieską, brązową i białą.

- Na kogo wypadnie biała, ten zostaje - powiedział, chociaż i tak wszyscy znaleźliśmy doskonale regulamin losowania.

Kulki wrzuciliśmy do metalowego cylindra, który Ana przyniosła z laboratorium. Cylinder postawiliśmy na czerwonym blacie stojaka pod jedną ze ścian kabiny. Na tej wysokości blatu wykluczone było zagłębienie do środka cylindra i świadome wybieranie kulek; wspiąwszy się na palce ledwo dałem radę wyciągnąć jedną z nich - brązową. Potem losowała Ana - na widok białej kulki w jej dłoni Arfowi rozbłysły oczy.

- Lecimy! - wrzasnął do mnie przeraźliwie. - Lecimy razem na Ziemię! Ana rzuciła w niego kulka, ale zdołał uchylić się zręcznie przed białym pociskiem, mogącym nabić mu na głowie sporego guza.

- Zabieramy skafandry? - spytałem.

- Oczywiście. Nigdy nic nie wiadomo. Zdecydowaliśmy się na lądowanie w miejscu, gdzie niegdyś istniał nasz Ośrodek. W rekordowym tempie przebraliśmy się w skafandry i zajęliśmy miejsca w rakiecie. Arf zasiadł przy sterach, sprawdził urządzenia. Na szczęście wszystko działało bez zarzutu.

- Jesteśmy gotowi do startu - zakomunikował.

- Powodzenia - w słuchawkach usłyszeliśmy głos Any. - Sprawdźcie, czytam naprawdę nikogo nie ma. To jest najważniejsze.

- Za to wcale nie najłatwiejsze - mruknął Arf. W tej samej chwili nasza rakieta zwiadowcza wystrzeliła nagle z boku kosmolotu i pomknęła ku Ziemi.

UCIECZKA

Jakub nagle wstał.

- Mam ochotę na kawę, a pan?

- Owszem.

Zaraz przyjdę - rzekł i wyszedł z pokoju. Podeszedłem do hotelowego okna. Dniało. Świat, jak co dzień, budził się ze snu. Ileż to już razy? Przeleciały mi przez myśl różne moje przebudzenia. Ale dawne, przywołane teraz obrazy nie pokrywały się z tym, co widziałem przed sobą. Czułem się stary i zmęczony. Dość już miałem tego wszystkiego. No, nareszcie skończy się ta maskarada - pomyślałem z ulgą.

Terkotanie budzika za ścianą przywołało mnie do rzeczywistości. Zgasilem światło i rozsunąłem zasłony. Blask wstającego dnia nappełnił pokój jasnym światłem. Rzuciłem ukradkowe spojrzenie w kierunku lustra. No tak, Jakub mógł się już wszystkiego domyślić: moje włosy w nocy odrastały w zdwojonym tempie, tak więc teraz wyraźnie już było widać żółte odrosty.

Jakuba wciąż nie było. Może uciekł? - Teraz, kiedy byliśmy obaj tak bardzo „wewnątrz” tej sprawy, nie mógł chyba tego zrobić. Zresztą było mi już w owej chwili wszystko jedno. Chociaż, prawdę mówiąc, wolałbym to nareszcie zakończyć Trzasnęły drzwi. Jakub stał trzymając w ręku tackę z dwiema czarnymi jak smoła kawami („jak je zdobył o tej porze?” - pomyślałem). Był bardzo blady. Udałem, że nie zauważyłem jego zabłoconych butów.

- Proszę, oto kawa panie... Lotman. Usiedliśmy. Jakub szybko zasłonił okno i włączył nocną lampkę. Zrozumieliśmy się bez słów. Tak po prostu było łatwiej nam obu.

- Panie Lotman, muszę chyba panu coś powiedzieć - Jakub starał się nie patrzeć w moją stronę.

- Nie - moja odpowiedź była stanowcza - nie teraz. Niech pan najpierw dokończy swoją opowieść. Potem będzie czas na wszystko.

Jakub milczał. Wiedziałem, że wiele musi go kosztować odłożenie tej rozmowy na później. Pochylił nisko głowę i pełnym rezygnacji głosem rzekł:

- A więc dobrze. Dokończę najpierw opowieść.

Zamknięty w mojej małej kawalerce na cztery spusty, z wypiekami na twarzy i mocno bijącym sercem, doszedłem właśnie do momentu, gdy tajemniczy narrator ze swoim współtowarzyszem lotu - Arfem, leciał rakieta zwiadowczą na Ziemię, kiedy nagle usłyszałem ciche pukanie do drzwi mieszkania. Była trzecia nad ranem. Maria? - Przecież jest teraz o pięć tysięcy kilometrów stąd. Zresztą ta historia była już dawno zakończona. A nikt inny nie przyszedłby o tak dziwnej porze. Więc może jednak Maria...

Pukanie powtórzyło się. Ktoś, kto pukał, był pewien, że jestem w domu. Paliło się przecież światło.

Chciałem podejść do drzwi, ale nawet nie ruszyłem się z miejsca. Dopiero po chwili cicho wyszedłem do przedpokoju. Nasłuchiwałem. Instynktownie wyczułem, że po drugiej stronie drzwi ktoś nasłuchiwał równie czujnie jak ja. Przez moment wydało mi się, że słyszę bicie czyjegoś serca. Nienaturalna cisza przedłużała się. Ja nie otwierałem, a ten ktoś nie nalegał. Potem usłyszałem - a może wydawało mi się, że słyszę - lekki odgłos oddalających się kroków i po jakiejś minucie cichutkie skrzypienie drewnianych schodów. Nie troszcząc się już o zachowanie ciszy rzuciłem się w kierunku okna, gasząc po drodze światło; Na ulicy jednak nie było nikogo. Długo jeszcze wpatrywałem się w nią nie tracąc wiary, że ktoś, kto wyszedł z domu o jednym wyjściu, w końcu ukaze się moim oczom. Nic z tego. Potem, a zbliżała się już piąta, na ulicy pojawili się pierwsi przechodnie, ale z mojego domu oprócz mleczarza nie wyszedł nikt. Dałem za wygraną. Postanowiłem raz jeszcze przemyśleć te wszystkie niezwykle wydarzenia, w których dane mi było uczestniczyć. Lekturę niecodziennego tekstu zostawiłem na później. Spędziłem nad nim prawie całą noc, a przeczytałem zaledwie część. Nie dlatego, żebym miał trudności z odczytaniem - w moich rękach znajdowało się przecież tłumaczenie dokonane przez profesora - jednak przeżycia, których doświadczyłem, wymagały głębszych przemyśleń, a poza tym byłem po prostu bardzo zmęczony. Musi pan chyba przyznać, panie Lotman, że wypadki owej doby nie należały do zwyczajnych, codziennych przygód spokojnego człowieka, za jakiego zawsze się uważałem. Nawet nie zauważyłem, kiedy usnąłem. Obudził mnie dzwonek telefonu.

- Dzień dobry, panie Jakubie. Jak się pan czuje? - spytała jakaś kobieta o miłym, spokojnym głosie.

- Dziękuję, zupełnie dobrze. Ale przepraszam, nie poznaję pani po głosie, pani...

- Czy nic się panu nie stało? Myślę oczywiście o pana zasłabnięciu podczas pożaru na Wiośnianej - dodała zupełnie ignorując moje poprzednie pytanie.

Nagle przypomniały mi się wszystkie wydarzenia wczorajszego dnia.

- Ale skąd pani wie o pożarze? Pani... No, proszę się przedstawić! - kobieta w końcu zirytowała mnie.

- Proszę się nie denerwować, panie Jakubie. O pożarze wiem z gazet. Wszystkie dzienniki tylko o tym piszą. A nazywam się Anna Careli.

- Careli?! Czyżby była pani krewną profesora? - byłem co najmniej zaskoczony.

- Owszem, i to nawet dość bliską. Jestem jego bratanicą.

- Ależ o ile się orientuję, profesor nigdy nie miał brata - tak przynajmniej zawsze mówił. Skąd więc... pani?

- Ach, panie Jakubie, jaki pan naiwny! Przecież nikt nie lubi mówić o rodzinnych niesnaskach, pan chyba również, prawda? Otóż panie Jakubie, pozwoli pan, że będę go nazywała

tak jak mój stryj, widzi pan, mój ojciec Hieronim i stryj Benjamin byli ze sobą od dawna skłócenii. Poszło im, zdaje mi się, o jakąś dziewczynę... Zresztą dziś to nieistotne - obaj już, niestety, nie żyją. Ja utrzymywałam jednak kontakty ze stryjem, no i teraz, jak tylko usłyszałam o tej tragedii i o pana w niej roli, natychmiast przyjechałam, żeby się z panem zobaczyć. Muszę z panem porozmawiać. Więc jeśli pan pozwoli, będę pana oczekiwała dziś o jedenastej w Parku Południowym przy Źródle, dobrze?

- Nie, proszę pani - nareszcie pozwolono mi dojść do głosu - spotkam się z panią, ale nie przy Źródle i nie w parku. Proszę przyjść o trzynastej do biblioteki Instytutu. Tam będę na panią czekał. Jeśli to oczywiście pani odpowiada.

- No cóż, trudno; jeżeli takie jest pańskie życzenie... Muszę się zgodzić. Będę w czarnej sukni i kapeluszu z dużym rondem. Przyjdę punktualnie.

Odłożyła słuchawkę.

W Instytucie panowała żałobna atmosfera. Wszyscy mówili tylko o śmierci profesora. Nie mogłem już tego słuchać. Wszedłem. Do trzynastej włóczyłem się bez celu po mieście. Miałem przy tym dziwne uczucie, że ktoś depta mi po piętach, ale ilekroć odwracałem głowę, nikogo podejrzanego nie widziałem.

Z panią, czy panną Careli chciałem porozmawiać w hallu naszej biblioteki. Było tam dość zacisznie aby się spokojnie rozmówić, a z drugiej strony ciągle kręcący się naukowcy sprawiali, że czułem się bezpiecznie. Kiedy wszedłem do biblioteki, zobaczyłem ją od razu. Podszedłem do stojących z boku katalogów aby lepiej się jej przyjrzeć. Cóż, kiedy ogromne rondo kapelusza przesłoniło prawie całą twarz kobiety, Anna poczuła widocznie na sobie moje spojrzenie, bo podniosła głowę i sponad stołów spojrzała mi w oczy. Jej spojrzenie było tak ostre i przenikliwe, że wstrząsnął mną dreszcz. A ona wstała i szybkim, zdecydowanym krokiem podeszła do mnie:

- Jakub Graves?

Skinąłem głową.

- Czekam na pana i tak już za długo, chodźmy do hallu.

Gdy tylko znaleźliśmy się za drzwiami, powiedziała:

- Będę z panem szczerą. Jestem z wykształcenia historykiem sztuki. Sprawy, które badał mój stryj, interesują mnie więc także z zawodowego punktu widzenia. Wiem, nad czym pracował ostatnio, i wiem także, że pan jest w posiadaniu jego notatek. Jako jedyna krewna i spadkobierczyni, proszę więc pana o przekazanie mi jego spuścizny naukowej.

Jej wysoki wzrost i siła głosu z jaką wypowiadała zdania sprawiły, że wprost trudno było się jej sprzeciwić. Była nie wątpliwie interesującą kobietą, umiejącą narzucić otoczeniu swoje zdanie.

Przez cały czas trzymałem mocno w ręku zabraną z domu teczkę z uratowanymi z płonącego domu Carelia notatkami. Za nic na świecie nie chciałem się z nimi rozstać, nabierały dla mnie

coraz większej wartości. Czulem, że żądania Anny nie pozbawione są słuszności. Jako najbliższa krewna zmarłego miała wszelkie podstawy, aby dochodzić swoich praw nawet na drodze sądowej. „Zanim jednak do tego dojdzie” - pomyślałem - „zdążę jeszcze przeczytać wszystko do końca”. Musiałem teraz przede wszystkim zyskać na czasie.

- Panno Careli, byłbym pani bardzo wdzięczny, gdyby pozwoliła mi pani choć przejrzeć owe zapiski. Sprawy, którymi ostatnio zajmował się profesor, bardzo mnie interesowały. Poza tym jestem w pewien sposób coraz bardziej z nimi związany. Więc jeśli pani pozwoli...

Przerwała mi zdecydowanym głosem:

- Nie, to niemożliwe. Muszę je mieć jeszcze dzisiaj. - A widząc zdziwienie w moich oczach, dodała: - o osiemnastej dwadzieścia mam samolot do Londynu. Więc sam pan rozumie...

- Trudno, skoro taka jest pani wola... Oddam je pani jeszcze dzisiaj. A więc o siedemnastej w tym samym miejscu. Nie zostaje pani na pogrzebie stryja?

- To nie pańska sprawa - ucięła. - A notatki proszę mi dostarczyć wcześniej, najlepiej zaraz.

- Niestety, ale jest to niemożliwe. Są u mnie w domu, a ja jestem teraz zbyt zajęty, aby tam jechać. Mam o wiele więcej obowiązków, niż się pani zdaje.

Anna skapitulowała.

- No cóż, wobec tego o siedemnastej. Zyskałem trzy i pół godziny, które musiałem mądrze zużytkować. Najpierw pojechałem do XIII komisariatu. Powitał mnie młody, uśmiechnięty mężczyzna.

- Nazywam się Henryk Faron. Przejąłem prowadzenie tej sprawy od porucznika Dorra. Wykracza ona poza kompetencje Wydziału Drogowego. Właśnie usiłowaliśmy się z panem skontaktować, niestety bezskutecznie. Musi pan złożyć kilka wyjaśnień. Telefonował pan do pani MacLind bezpośrednio przed pożarem?

- Tak, oczywiście, to od niej dowiedziałem się o śmierci profesora i natychmiast po telefonie udałem się na miejsce wypadku.

- A potem zatelefonował pan ponownie? - indagował dalej Faron.

- Kiedy „potem”? Nie rozumiem... Rozmawiałem z gospożą profesora przez telefon tylko raz, mówiłem już panu.

- Ale pani MacLind zeznała, że około piątej rano zadzwonił pan po raz drugi i zaproponował spotkanie w parku...

- Może Południowym? - przerwałem mu.

- No widzi pan, przypomniał pan sobie - ucieszył się Faron. - Nic z tego, panie poruczniku, około piątej rano jechałem autostradą z Renton do naszego miasta. Może pan to wszystko sprawdzić, byli tam przecież pańscy koledzy.

- Skąd więc wiedział pan, że spotkanie miało się odbyć w Parku Południowym?

- Tak sobie tylko powiedziałem. Przypadkowe skojarzenie.

Policjant nie wydawał się usatysfakcjonowany moją odpowiedzią.

- Mamy prawo podejrzewać, że to było podpalenie. Nie wierzyłem własnym uszom.

Podpalenie? Domu profesora?

- Skąd takie przypuszczenie? - zapytałem. - Czy znaleziono jakieś ślady?

- Niestety. Wszystkie ślady zatarł ogień. No i woda. Wie pan, woda może czasami dokonać większych zniszczeń niż pożar. Tak też stało się i tym razem. Podejrzewamy, że cała powierzchnia poddasza i drugiego piętra willi została oblana jakimś, łatwo palącym się specyfikiem. Możliwe, że była to zwyczajna benzyna - wszystkie ślady na to wskazują, ale nie mamy jeszcze dokładnej ekspertyzy. Wystarczyło potem tylko wrzucić zapalkę... Z domu, mimo naszych najlepszych chęci, wiele nie zostało.

- Anna więc nie dostanie go w spadku - wyrwało mi się niepostrzeżenie.

Porucznik skwapliwie podchwycił:

- Anna? Co za Anna?

- No, Anna Careli, bratanica profesora - odparłem.

- Ale przecież profesor nie miał żadnej rodziny, a tym bardziej brata - wyrzekł zdumiony policjant.

- I ja tak myślałem, poruczniku. Dzisiaj jednak osobiście rozmawiałem z tą kobietą. Musi pan zmienić swoich informatorów.

- Albo sprawdzić pańską informację, prawda, panie Graves?

W tym momencie ktoś zapukał do pokoju. Zameldował się dyżurujący sierżant:

- Przyszła pani Elza Windroft, sąsiadka Carelia. Czy przyjmie ją pan teraz, czy ma poczekać?

- Wprowadzić - rzucił Faron.

Zabrzmiało to tak, że o wyproszeniu mnie z policyjnego pokoju nie mogłem wątpić, porucznik wstrzymał mnie jednak ruchem ręki:

- Proszę, niech pan zostanie, może obaj dowiemy się czegoś nowego.

Do pokoju weszła drobna siwa kobieta.

- Nazywam się Elza Windroft. Jestem wdową po generale. Cezary Windroft to mój mąż. Znał go pan? - zapytała od progu.

- Niestety, nie. Proszę usiąść i opowiedzieć nam o wszystkim, co ma związek z pożarem w willi profesora Carelia. Pani willa sąsiaduje z jego domem, czy tak?

- No właśnie. Tego ranka postanowiłam zająć się porządkami. Wie pan, Marta, moja służąca, nigdy niczego nie wykona dokładnie. A rano zadzwoniła do mnie moja przyjaciółka, Luiza Toscatti, ta, co to...

- Pani Windroft, bardzo proszę o informacje związane z pożarem, o pani Toscatti porozmawiamy innym razem. Czy zauważyła pani coś szczególnego wczoraj rano?

- Ja wiedziałam o tym nieszczęściu już wcześniej! - triumfalnie oświadczyła wdowa.

Zerwaliśmy się jednocześnie z krzesel.

- Jak to „wcześniej”? Skąd pani wiedziała?! - wykrzykiwaliśmy jeden przez drugiego.

- No właśnie, wczoraj rano zadzwoniła do mnie moja przyjaciółka Luiza, i opowiedziała mi swój sen. Śniły jej się stare żołnierskie buty. Od razu wiedziałam, że coś się stanie. Powiedziałam jej nawet o tym...

Porucznik znowu przerwał kobiecie, byliśmy bardzo rozczarowani.

- Pani Windroft, proszę sobie przypomnieć, czy widziała pani jakieś obce osoby kręcące się wokół willi pani sąsiada? - Faron powoli tracił cierpliwość. - Czy może zdarzyło się coś, co przykuło pani uwagę?

Starsza pani z widocznym wysiłkiem starała się skupić.

- Tak, zdaje się, że widziałam...

- Ale co pani widziała?

- Otóż od dłuższego czasu nie sypiam dobrze, a poza tym ta Marta, moja służąca, znów źle umyła okna - nie przerywaliśmy jej, zwyciężyła i mogła opowiadać co chciała - te dzisiejsze służące mają poprzewracane w głowach. Pamiętam, jak jej matka była w wieku Marty...

Tu pani Windroft przerwała, napotkawszy zrozpaczone spojrzenie porucznika. Po chwili mówiła dalej:

- Postanowiłam wczoraj wstać wcześniej i umyć te okna jeszcze raz. Kiedy podeszłam do okna w jadalnym pokoju - wychodzi ono właśnie na willę profesora - zobaczyłam jak jakiś cień przemknął szybko przez sąsiedni ogród i zniknął za rogiem domu. W chwilę potem drzwi willi otworzyły się i wyszła z nich gospośnia profesora, pani MacLind. Zdziwiłam się dokąd idzie tak wcześnie, a jeszcze bardziej, kiedy nie usłyszałam znajomego dzwonka u drzwi. Zawsze, ilekroć wychodziła z domu, odwiedzała także i mnie. Jesteśmy mniej więcej w jednym wieku - dorzuciła, jakby było w tym coś dziwnego, że stara pani MacLind składała wizyty starej pani Windroft.

- Klara spieszyła się chyba bardzo - kontynuowała swoją opowieść kobieta - bo nawet nie spojrzała w moje okno. Wydawała się niesamowicie zdenerwowana. W domu naprzeciw nie działo się nic niezwykłego, poszłam więc do kuchni, aby przynieść trochę ciepłej wody. Kiedy wróciłam, usłyszałam skrzypnięcie furtki - ktoś wyszedł z domu Carelia - wyjrzałam natychmiast przez okno i zobaczyłam oddalającą się szybko szczupłą postać.

- Kto to mógł być? - zapytał porucznik.

- Niestety, nie mogę tego panu powiedzieć. Był to chyba mężczyzna, sądząc po sylwetce, ale kto to był - tego nie wiem. Poza tym w moim wieku nie ma się raczej sokolego wzroku, wie pan, „starość nie radość”...

- No tak... I co było dalej?

- Potem poszłam umyć okno w sypialni - a sypialnia znajduje się po drugiej stronie domu - niczego więc nie widziałam. Dopiero kiedy usłyszałam strażacką syrenę, przeszłam do jadalni. Willa profesora stała już wtedy w ogniu. Ojej - pani Windroft spojrzała na zegarek - muszę już iść. Czy panowie mają jeszcze jakieś pytania?

Porucznik zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie? No to do widzenia panom.

Starsza pani wyszła z pokoju. Odetchnęliśmy z ulgą, choć jej zeznania wniosły jednak wiele nowego. Teraz wiedzieliśmy już na pewno, że dom naukowca został podpalony celowo. Pożegnałem się z porucznikiem i obiecałem być z nim w kontakcie.

Do siedemnastej zostały mi jeszcze dwie godziny. Wróciłem do domu i zamówiłem rozmowę telefoniczną z Kerstenem. Wkrótce otrzymałem połączenie. Telefon odebrała woźna tamtejszego Instytutu. Tersona, niestety, nie było już w pracy. Telefonu w domu nie miał, a ja musiałem się z nim natychmiast porozumieć. Podjąłem natychmiastową decyzję: jadę do Kerstenu. Mniejsza o konsekwencje. Muszę najpierw poznać prawdę. Zacząłem w pośpiechu pakować swoje rzeczy, wszedłem do łazienki i nagle zauważyłem, że przybory do golenia nie leżą na swoim miejscu. Wróciłem do pokoju. Teraz dopiero rzucił mi się w oczy pewien szczególny nieład, jaki tworzą poprzesztawiane przedmioty. W pierwszej chwili można było tego nie zauważyć - panował bowiem idealny na pozór porządek, ale ktoś, kto nawet w milimetrach zna topografię swojego mieszkania, dostrzeże każdą najmniejszą zmianę. Otworzyłem szufladę biurka i od razu wyczułem w niej obecność obcej ręki. Oczywiście, ktoś tu był. Ze zdwojonym pośpiechem wrzucałem drobiazgi do podróźnej torby.

Zmieniłem początkowy zamiar nie zobaczenia się z Anną. „Pojadę i spotkam się z nią” - myślałem - „wszystko mi jedno, jak zareaguje na moją odmowę oddania notatek. Niech najpierw udowodni swoje pokrewieństwo z Beniaminem Careliem, a potem może mnie nawet zaskarżyć do sądu. Zawsze zyskam trochę na czasie i kto wie - a nuż uda mi się wyjaśnić te wszystkie niepokojące wydarzenia”. Wziąłem prysznic i o szesnastej z minutami wyszedłem z domu z niewielką torbą podróźną w rękę.

Przed gmach biblioteki przyjechałem o kwadrans za wcześnie. Wszedłem do sali, ale Anny jeszcze nie było. Postanowiłem poczekać w hallu. Nagle z półpiętra ponad moją głowę dobiegły mnie jakieś szmery. Cichutko wspiąłem się po marmurowych schodach. Anna stała odwrócona do mnie tyłem i rozmawiała z jakimś mężczyzną. Nie widziałem go, słyszałem tylko jego głos. Powiedział coś w rodzaju: „Musimy zniszczyć to jak najszybciej i to za wszelką cenę!”

Tego już było za wiele! Moje nerwy, tak mocno nadszarpnięte wydarzeniami ostatnich dni, odmówiły posłuszeństwa. Przeraziły mnie usłyszane słowa, nie miałem cienia wątpliwości, że dotyczą notatek będących w moim posiadaniu. Wolałem też nie poznać dalszej części planu domniemanej bratanicy profesora i jej współnika, dotyczącej zapewne mojej osoby, toteż nie

czekając na dalszy rozwój wydarzeń, tak samo cicho wycofałem się, szybko zbiegłem ze schodów i jak szalony dopadłem mojego „garbusa”. Za chwilę mknąłem już w kierunku Kerstenu. Co pewien czas spoglądałem w lusterko, czy nikt mnie nie ściga. Raz zauważyłem jakiś błękitny sportowy wóz długo jadący tuż za mną, ale i on mnie w końcu wyprzedził, aby na dobre zniknąć mi z oczu.

Jechałem bez przerwy już kilka godzin, minąłem szczęśliwie Renton - tak fatalne dla mojego mistrza - i postanowiłem zanoć w jakimś małym, przydrożnym motelu. Wybrałem dość sympatycznie wyglądający zajazd „Pod Czerwoną Pończoszką” i dopiero tam miałem możliwość powrócić do przerwanej rano tak przecież fascynującej lektury.

TESTAMENT DOMINIKA

(część druga)

Trudno powiedzieć, patrząc na tamte wydarzenia z obecnej perspektywy, czy rzeczywiście liczyliśmy wówczas na możliwość odszukania ludzi na naszej jakże zmienionej planecie. Lecąc z Arfem w Zwiadowczej snułem na ten temat ciągle nowe przypuszczenia, z których każde było tak samo dobre i tak samo nie sprawdzone. Optymizmem napawał fakt bujnego rozwoju flory, i co się z tym zapewne wiązało, również fauny na planecie. Co innego jednak rośliny i zwierzęta, a co innego człowiek. „Czy to możliwe, aby w tych warunkach mogli żyć jeszcze ludzie?” - rozmyślałem patrząc na gęste lasy rozpościerające się tam, gdzie trzy tysiące lat temu wznosiły się dumne budowle Ogólnoziemskiego Ośrodka Kształcenia Pilotów Kosmicznych. - „Ludzie tak bardzo przecież przyzwyczaili się do wygod niesionych na każdym kroku przez wysoko rozwiniętą cywilizację. Jaka katastrofa mogła spowodować jej zniszczenie? Wojna? Inwazja kosmiczna? Ale przecież to wszystko spowodowałoby chyba jakieś widoczniejsze zmiany na Ziemi”.

- Co widzicie? Mówcie! - w słuchawce rozległ się niespokojny głos Any.

Widzimy tylko wielkie lasy - odezwał się Arf. - Wygląda na to, że coś się tu wydarzyło wkrótce po naszym odlocie.

- Ale co? Czy domyślacie się już czegoś?

- Czego mamy się domyślać, skoro na razie widzimy tylko wierzchołki drzew i nie sprawdziliśmy nawet, czy pod nimi znajdują się jeszcze jakieś pozostałości po naszym sławnym Ośrodku?

- To dlaczego nie sprawdzacie?

- Może powiesz nam, w jaki sposób mamy lądować w tej dzikiej gęstwinie?

Ana przestała się na jakiś czas odzywać. Pomyślałem, że moje podejrzenia co do Arfa i Any były chyba niesłuszne. Za często się kłócili.

- Zobacz, tam jest jakiś kawałek wolnej przestrzeni - wskazałem na niewielki widoczny przed nami obszar porośnięty bujną, wysoką trawą, nadający się w sam raz do lądowania naszej rakiety. Arf w milczeniu skierował pojazd we wskazanym przeze mnie kierunku. W chwilę później Zwiadowcza opadła miękko na ziemię i zastygła w bezruchu, w gąszczu soczysto-zielonych zarośli.

- Jesteśmy już na miejscu - powiedział Arf. - Słyszysz, Ano?

- Czy widzicie coś ciekawego? - pytanie Any wydało mi się w tym momencie nie na miejscu.

- W życiu nie widziałem jeszcze takich drzew - mruknął Arf bardziej do siebie niż do Any. - Niech się schowają wszystkie nasze Strefy Naturalne.

- Wychodzimy? - zaczynałem się coraz bardziej niecierpliwić.

- Hej, Ano! - krzyknął głośno Arf, jak gdyby Ana mogła go przez to lepiej usłyszeć. - Idziemy na zwiady! - nie czekając na odpowiedź wyskoczył szybko z fotela i pospiesznie sunął ku wyjściu. Chwyciłem go za rękę.

- A skafandry?

- Daj spokój - wzruszył ramionami - przecież wiemy obaj tak samo dobrze, że nic nam nie grozi.

Nim zdążyłem go powstrzymać, nacisnął silnie niebieski kwadrat widoczny tuż nad naszymi głowami, odcinający się jaskrawo od białych ścian niewielkiej kabiny. Pierwszy właz rozsunał się bezszelestnie. Arf obejrzał się na mnie.

- Co? Boisz się? - spytał z lekką kpina.

- Nie - wiedziałem, że postępuję głupio, ale było mi z tym dziwnie dobrze. - Otwieraj.

Arf podszedł do drugiego włazu i nacisnął kolejny kwadrat. Ściana rozstała się przed nami i nagle do wewnątrz Zwiadowczej wtargnęła fala odurzającego powietrza, którego zapach niemalże ściał nas z nóg. Odetchnęliśmy głęboko.

- Żyjesz?

W odpowiedzi roześmiałem się głośno. Zaraz też spostrzegłem, że moja nagła wesołość jest zaraźliwa, bo Arfowi - aż łzy pociekły z oczu od niepohamowanego, ogarniającego go z coraz większą siłą śmiechu. Staliśmy naprzeciw siebie, oszołomieni, na wpół przytomni, skręcając się dosłownie w kolejnych atakach chichotu, którego w żaden sposób nie potrafiliśmy opanować; świeże powietrze podziało na nas niczym gaz rozweselający. Nasz śmiech urwał się jednak równie nagle jak rozpoczął. Spojrzeliśmy na rozpostartą przed nami przestrzeń, okoloną zwartą ścianą puszczy, i spoważnieliśmy.

- Weź nadajnik - poleciłem Arfowi. Sam zabrałem z kabiny mały miotacz. Tylko dzięki niemu mieliśmy szansę na przedarcie się przez splątaną gęstwę roślinności. Po chwili kroczyłem już ostrożnie po wypalonych płomieniami miotacza drodze. Arf szedł za mną majstrując coś przy nadajniku.

- Ano, odezwij się - powiedział. - Jesteśmy już na Ziemi.

- Myślałam, że w ogóle zapomnieliście o moim istnieniu. Co teraz robicie?

- Właśnie zbliżamy się do puszczy. Sim toruje drogę miotaczem. Nad naszymi głowami krążą jakieś kolorowe ptaki. Są widocznie zaniepokojone. Z pewnością nigdy nie widziały takich dziwnych stworzeń jak my. Czy pamiętasz jeszcze Ano, jak wyglądają ptaki?

Nie doczekawszy się odpowiedzi na to pytanie, Arf relacjonował dalej:

- Wygląda na to, że nie pomoże nawet miotacz przy przedzieraniu się przez puszcę. Wyobraź sobie Ano, że w to kłębowisko lian i gałęzi po prostu nie ma jak wejść. Należałoby chyba zniszczyć miotaczem całe partie drzew, aby dalsza nasza wędrówka była w ogóle

możliwa. Ale to chyba nie ma najmniejszego sensu, jak myślisz Sim?

- Też tak sądzę - odpowiedziałem. - Jeśli nawet znajdują się tam jeszcze jakieś pozostałości po Ośrodku, to i tak niewiele chyba moglibyśmy zobaczyć. Na pewno wszystko zdążyło już dokładnie porosnąć zielskiem, a poza tym tam w środku jest prawie zupełnie ciemno. Słońce z trudem przedziera się przez liście.

- Co w takim razie zamierzacie robić dalej? - mały czarny sześcian umocowany na przegubie dłoni Arfa odezwał się głosem Any.

- No właśnie, musimy się zastanowić.

- Najlepiej będzie, jeśli wrócimy teraz do Zwiadowczej i trochę się prześpimy. Prawdę mówiąc zmęczyły mnie już te ostatnie przeżycia. Później moglibyśmy jeszcze spenetrować obszary, które wyglądałyby na bardziej nadające się do ewentualnego zamieszkania niż ta dzika puszcza. Może tam spotkamy ludzi? Chociaż ja osobiście mocno w to wątpię...

Propozycja odpoczynku wydała mi się zupełnie słuszna i z chęcią na nią przystałem. Odczuwałem coraz bardziej senność, w dodatku bolała mnie głowa.

- Masz rację, wracamy. Niezbyt dobrze się czuję.

- Ja też - Arf potarł ręką czoło - głowa mi pęka z bólu.

Wszystko na pewno przez to powietrze.

Szliśmy prędko wypaloną dróżką w kierunku pięknie połyskującej na tle zielonych traw Zwiadowczej.

- Ciekawe, skąd się nagle wzięło w puszczy takie puste, porośnięte tylko krzewami i trawą miejsce? Nie uważasz, że to trochę dziwne? - spytałem Arfa.

- Myślałem już o tym.

- I co, wymyśliłeś coś?

- Owszem. Najprawdopodobniej jesteśmy w miejscu, gdzie dawniej istniało w naszym Ośrodku sztuczne jezioro. Zauważyłeś na pewno, że teren się tu wyraźnie obniża, cały obszar zachował również dawną symetrię. Dno jeziora wyłożone było, o ile mi wiadomo, bardzo trwałą wykładziną, dlatego przyroda nie zdążyła jej jeszcze zniszczyć i grunt nie nadaje się do tego, aby mogły na nim rosnąć wielkie drzewa. Na razie egzystują, tu tylko mniejsze rośliny. Pewien jestem jednak, że już za następne tysiąc lat po tej polanie nie będzie nawet śladu. Wszystko zagarnie puszcza.

Przypomniałem sobie, jak kiedyś wpatrywałem się w spokojną toń jeziora myśląc o dalekiej wyprawie, która mnie czekała. Szybko jednak porzuciłem to wspomnienie. Postanowiłem bowiem nie myśleć teraz o przeszłości. Chciałem o niej zapomnieć, gdyż czułem, że to jedynie może pozwolić mi żyć w tym nowym świecie, w którym się niespodziewanie znalazłem.

- Jakie to wszystko głupie - powiedział Arf, kiedy siedzieliśmy już w naszej kabinie i kończyliśmy właśnie pracowite wyciskanie kolorowych tub. Ich nieco mdła, ale bardzo

kaloryczna zawartość stanowiła naszą kolację. - Kto by przypuszczał, że tak marnie skończymy.

- Nie wolno ci tak mówić - zabrzączał czarny sześcian. - Nie masz prawa wszystkiego przesądzać z góry.

- Radziłbym ci już iść spać - Arf przemawiał do Any jak do nieposłusznego dziecka. - Nie musisz wysłuchiwać wszystkiego, o czym mówimy.

Przesunąłem do tyłu oparcie fotela i przymknąłem oczy. Wydawało mi się, że cała Zwiadowcza kołysze się lekko i pomyślałem, że Arf wcale nie miał racji wtedy, gdy mówił, że jezioro wyschło. Płynęliśmy przecież po nim, rakieta unosiła się na falach i było to bardzo przyjemne.

- Sim, obudź się - usłyszałem. - Strasznie długo spaliśmy.

Powoli wracałem do rzeczywistości. Spojrzałem na Arfa, który przeciągał się w swoim fotelu.

- Ale tu niewygodnie - jęknął. - Wszystkie kości bolą mnie po tym spaniu.

W świetle nowego dnia twarz Arfa wydała mi się szara i dziwnie postarzała. Włosy spadały mu jasnymi kosmykami na wyraźnie poprzecinane kilkoma podłużnymi liniami czoło. Wokół ust widać było również dwie poprzeczne bruzdy. Tylko jasnoszare oczy jarzyły się wciąż tym samym młodzieńczym blaskiem. Najbardziej uderzyło mnie jednak to, że mimo wszystkich tych zmian Arf nie stracił nic ze swojej pełnej wdzięku urody. Należał widocznie do tego niezmiernie rzadkiego rodzaju ludzi, którzy starzeją się bez popadania w brzydotę i deformację zwyczajną dla podeszłego wieku. Artowi zresztą daleko było jeszcze do starości. Po prostu przestał być chłopcem, za jakiego go do tej pory uważałem, bo nie wiem nawet dlaczego, ale czułem się zawsze trochę starszy od niego, choć przecież w rzeczywistości byliśmy w jednym wieku.

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy niezwłocznie opuścić niegościnnie tereny dawnego Ośrodka i udać się na dalsze poszukiwania. Właściwie sami chyba nie bardzo wiedzieliśmy wówczas, co przede wszystkim chcemy znaleźć: szczątki dawnej cywilizacji, które być może pozwoliłyby nam odgadnąć przyczyny jej upadku, czy też ludzi, zamieszkujących jeszcze jakieś obszary planety. Na początek poleciliśmy w kierunku największego niegdyś ziemskiego miasta - położonego na północny zachód od Ośrodka-Lik. Z trudem udało nam się wylądować na czymś, co niegdyś stanowiło główną płytę reprezentacyjnego lotniska Lik, a obecnie bardziej przypominało kamienisty step, porośnięty gdzieś tam kępami gęstych traw i zarośli. W stepie widać było jeszcze rozrzucone tu i ówdzie pozostałości dawnych maszyn: stalowe szkielety raket, wielkie cielska rozsypujących się, zżartych przez korozję transportowców, niewielkie kopce rdzawych blach, które niegdyś były prawdopodobnie małymi pojazdami sportowymi. Obejrzelśmy to wszystko z Arfem dokładnie i skierowaliśmy się ku widniejącym w dali ruinom (nawet z tej odległości aż nazbyt dobrze widać było, że to tylko ruiny) wież kontrolnych i budynków lotniska.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że to wszystko tak szybko może się rozsypać - powiedziałem patrząc na rozpadające się w proch mury, które niegdyś wydawały mi się tak trwałe, a teraz służyły za mieszkanie licznym, uwijającym się wszędzie wesoło ptakom.

- Wejdziemy do środka? - Arf spojrzał na mnie pytająco.

- Jeśli znajdziesz w tej stercie gruzu jakieś wejście... Artowi udało się, co prawda nie bez trudu, odszukać zasłonięty do połowy przez rachityczne drzewko otwór prowadzący do wnętrza rumowiska.

- Chodź tutaj - machnął ku mnie ręką i zniknął zaraz w czarnej czeluści.

Nie zdążyłem jednak zrobić w jego kierunku nawet trzech kroków, gdy wyłonił się stamtąd dziwnie blady, trzymając kurczowo miotacz w zaciśniętej dłoni.

- O mało nie wszedłem na węża - otarł pot z czoła. - Mimo, że zwiedziłem już wiele planet, nie widziałem jeszcze nigdy podobnego obrzydlistwa.

Wiedziałem, że Arf nie tyle przestraszył się napotkanego niespodzianie gada - nigdy bowiem nie mógłbym posądzić go o tchórzostwo, należał raczej do tych odważnych ponad wszelki rozsądek - ile wstrząsnął nim fakt, że tu, w największym i najwspanialszym niegdyś mieście Ziemi, gnieźdzą się teraz w rozpadających gmachach węże. Mnie również wydało się to w tym momencie tak okropne, że poczułem zimny dreszcz przebiegający mi po plecach.

- Weź łazik ze Zwiadowczej - poleciłem ostro Arfowi chcąc ukryć własne zdenerwowanie. - Pojedziemy zobaczyć miasto.

Nie sprzeciwił się. Posłusznie podreptał ku lśniącej w dali rakiemie.

- Słyszałaś, Ano? - zwróciłem się do czarnego sześcianu. Miałem na dłoni drugi, taki sam, sześcian jak Arf. - W tutejszych domach żyją już tylko węże.

- Można się było tego spodziewać - Ana pozostała jak zwykle spokojna i opanowana. - Czy długo jeszcze będę musiała tkwić sama w tym kosmolocie? Chcę już być razem z wami. Na Ziemi.

- Poczekaj jeszcze trochę - czułem w głębi duszy dziwny sprzeciw na myśl, że Ana mogłaby teraz dołączyć do nas. Uważałbym to za ostateczny i nieodwołalny kres naszej wyprawy, a przecież już wówczas przeczuwałem, że czeka nas coś więcej. - Musimy najpierw wybrać najlepsze miejsce, gdzie moglibyśmy tymczasowo pozostać.

- Dlaczego tymczasowo? - zainteresowała się Ana. W tym momencie przyjechał jednak Arf i uznałem, że należy przerwać niewygodną dla mnie rozmowę.

- Kończę na razie, bo Arf przyjechał łazikiem - powiedziałem.

- No to co? - zdziwiła się Ana.

Wyciszyłem nadajnik nie słuchając, co ma mi więcej do powiedzenia. Wsiadłem do łazika.

- Wyłącz to - szepnąłem Arfowi wskazując czarne pudełeczko. - Chcę z tobą spokojnie porozmawiać.

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale zaraz spełnił moją prośbę.

- O co właściwie chodzi?

- Nie chcę, żeby Ana słyszała naszą rozmowę - odrzekłem. - No, jedź, na co czekasz?

Łazik ruszył wolno w kierunku miasta”. Pod jego gaśienicami chrzęściły kruszone kamienie.

- Co chcesz mi powiedzieć? - zapytał.

- Po prostu chcę się z tobą poradzić, co robimy dalej. Ana jest ostatecznie zdecydowana na pozostanie tutaj i dlatego nie ma co z nią na ten temat dyskutować.

- Wszystko zależy od tego, czy uda nam się odnaleźć ludzi.

- Wiemy dobrze, że jest to raczej mało prawdopodobne.

- No tak, ale jednak są małe szanse. Na Ziemi nie widać śladów żadnej większej katastrofy, która zniszczyłaby całe życie na planecie. Jeśli świat roślinny i zwierzęcy może się tak wspaniale rozwijać, to dlaczego ludzie mieliby całkowicie wyginąć?

- A jednak coś musiało być przyczyną wyludnienia - odrzekłem. - Wygląda na to, że jakaś nie znana nam klęska uderzyła tu wyłącznie w człowieka, pozostawiając wszystko inne w nie naruszonym stanie. Nie wiem, co to mogło być, ale sądząc po tragicznych dla ludzkiej cywilizacji skutkach, było to coś, czego nie potrafimy sobie nawet wyobrazić.

- Cały czas jednak krążymy w sferze niczym nie popartych domysłów...

- Tak, wiem o tym i nie to jest w tej chwili najważniejsze. Pomówmy otwarcie: co zrobimy, jeśli okaże się, że Ziemia jest naprawdę wyludniona?

Arf zamyślił się przez chwilę. Łazik dzielnie sunął przez otaczające nas ze wszystkich stron rumowiska, które niegdyś były wielkim miastem. Łamał pomniejsze drzewa, przedzierał się z trudem przez linie kolczastych, porastających wszystko krzaków. O wejściu do środka któregośkolwiek z dawnych budynków nie myśleliśmy nawet te bezkształtne sterty rozartego niemal na proszek gruzu, w których trudno się było doszukać śladów dawnej konstrukcji, nie miały już po prostu wnętrza. Ze zwałów cegieł i kamieni, przysypanych ziemią, porośniętych tu i ówdzie trawą, wystawały resztki zardzewiałych blach nieodgadnionego pochodzenia. Czy były to resztki maszyn, pojazdów, precyzyjnych urządzeń dawnego przemysłu? Można było tylko snuć przypuszczenia.

- Właściwie o co ci chodzi? - odezwał się Arf - Czy uważasz, że w ogóle mamy przed sobą jakiś wybór?

- Ty sam nie tak dawno wskazałeś możliwość wyboru. Nie pamiętasz już, jak mówiłeś Anie o powrocie na planetę Dwóch Słońc?

- Pamiętam, ale nie mówiłem tego wtedy poważnie. Tak naprawdę, to uważam, że Ana ma rację. Musimy pogodzić się z sytuacją, którą tu zastaliśmy i żyć na Ziemi w możliwie najlepszych dla nas warunkach.

Ta solidarność Arfa z poglądami Any jakoś mnie zaboląła. Nie chciałem przyznać się sam

przed sobą, ale tak było. Czyżby na Anie zależało mi więcej, niż dotychczas przypuszczałem? Nagle ogarnął mnie niespodziewany lęk przed naszym przyszłym życiem tu, na Ziemi, tylko we troje. Po raz pierwszy poczułem chłód samotności, która mnie, a może nas wszystkich, oczekiwała. Zrozumiałem, że czym innym jest podróż, w której nawet tylko we troje można nie czuć osamotnienia, a czym innym osiadłe życie.

- Czyli będzie tak właśnie, jak mówiłeś nam jeszcze w kosmolocie: w najlepszym wypadku staniemy się przodkami prymitywnych dzikusów. Sami też do końca życia będziemy wegetować w tej dziczy.

- Nie ma innego wyjścia - odparł Arf twardo.

- Czyż nie lepiej polecieć gdzieś jeszcze? Obmyślimy plan nowej podróży i w drogę! Zawsze jest szansa, że znajdziemy lepsze warunki do życia niż obecnie na Ziemi. Czy ty zdajesz sobie sprawę, co nas tu czeka?

W głębi duszy wiedziałem, że nie mam absolutnie racji i że Arf nigdy się ze mną nie zgodzi. Mówiłem to wszystko raczej przez przekorę, żeby go trochę podenerwować. Tym razem jednak Arf nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Nie zgadzam się z tobą - powiedział. - I ty sam nie wierzysz w to, co mówisz. A teraz włącz swój nadajnik. Ana na pewno bardzo się tam denerwuje.

Rzeczywiście Ana była zdenerwowana i do tego rozzłoszczona nie na żarty.

- Jeśli jeszcze raz tak zrobicie - krzyczała - to natychmiast wracam kosmolotem na Ziemię, bez względu na nasze zadanie.

W końcu udało nam się ją uspokoić.

- Nie masz się gdzie tak spieszyć - starałem się zbagatelizować ten przykry incydent. - Cały czas jedziemy przez pustkowia porośnięte nieco trawą, które było podobno „w czasach starożytnych” wielką metropolią. Co prawda, ja osobiście nie wierzę w tę plotkę. A ty, Arf?

Arf zatrzymał łązik i rozejrzał się dokoła. Wszędzie, aż po linię horyzontu rozciągał się ten sam monotony widok pokrytych ziemią zieleniejących pagórków usypanych z gruzów i szczątków dawnego miasta.

- Ja też nie - odpowiedział po chwili. To co, wracamy do Zwiadowczej?

- Tak - zgodziłem się. - Nic tu po nas.

- Co zamierzacie zrobić dalej? - spytała Ana, kiedy siedzieliśmy już w raketce szykując się do odlotu.

- Przeszukamy jeszcze trochę teren i spróbujemy znaleźć najlepsze miejsce do lądowania kosmolotu - odrzekłem.

- To dobrze. Nudzi mnie już to bezsensowne krążenie po orbicie.

- To idź do biblioteczki na drugim pokładzie. Znajdziesz tam parę książek na temat życia ludów pierwotnych na Ziemi. Doksztalcisz się teoretycznie w tym, co później poznasz na

własnej skórze.

- Wiesz dobrze, że nie poznam. Mamy w kosmolocie do dyspozycji takie urządzenia, które pozwolą nam żyć jak ludziom cywilizowanym do końca naszych dni. Same zapasy żywności starczą nam co najmniej na osiemdziesiąt lat, prawdopodobnie więc nie będziesz musiał uganiać się z łukiem...

- Z miotaczem - poprawił ją Arf.

- ...za dziką zwierzyną - dokończyła Ana.

Zwiadowcza leciała nisko nad Ziemią. W dole zieleniły się lasy, poprzecinane gdzieniegdzie słabiej porośniętymi obszarami, na których niegdyś rozpościerały się większe miasta i osiedla. Nigdzie nie zauważyliśmy najmniejszego śladu wskazującego na obecność ludzi. Skierowałem raketkę, gdyż tym razem ja usiadłem przy sterach, w kierunku oceanu. Woda skrzyła się pod nami w słońcu, widzieliśmy cień naszego pojazdu mknący po gładkiej błękitnej tafli. Później przecięliśmy góry i poszybowaliśmy nad pustynią. Miejsce to pamiętaliśmy jeszcze jako rolnicze, kwitnące centrum naszego globu. Obecnie po tej zielonej krainie nie pozostało nawet śladu, ale nic już nas nie było w stanie zdziwić. Arf wpatrywał się nieruchomo w monotonne, piaszczyste wydmy i co pewien czas odpowiadał na pytania zadawane przez Anę. Nagle chwycił mnie tak gwałtownie za rękę, że omal nie straciłem panowania nad sterami:

- Spójrz tam!! - wrzasnął. - Tam coś jest! Okazało się, że były to palmy sygnalizujące koniec pustyni. Teren zaczynał się coraz bardziej zazieleniać - zbliżaliśmy się przecież do wielkiej rzeki.

- A już myślałem, że coś znaleźliśmy - mruknął Arf zniechęcony. - Z daleka te głupie palmy wcale nie były do siebie podobne.

- Co się stało? Co się stało? - dopytywała się cały czas Ana, której nie zdążyliśmy jeszcze zrelacjonować całego wydarzenia.

- E, nic - zacząłem. - Po prostu wydaw... - w tym momencie głos uwiązł mi w gardle.

Tak! Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce! Przed nami zobaczyłem coś, co z pewnością było wytworem człowieka - niewielkie skupisko prymitywnych lepierek pokrytych z wierzchu trzcina. Wokół nich kręciło się kilka półnagich ludzkich figurek, które na widok Zwiadowczej zaczęły uciekać w popłochu do swych domostw. Spojrzałem na Arfa - wpatrywał się jak zaczarowany w to, co przed chwilą ujrzeliśmy obaj.

- Co się stało? - spytała znowu Ana, ale żaden z nas nie pomyślał o tym, żeby jej odpowiedzieć. Rakieta przeleciała nad osadą i po chwili lepiarki znikły nam z oczu.

- Zawracaj! - wydusił z siebie Arf.

- Poczekaj, może znajdziemy coś jeszcze.

Rzeczywiście, za chwilę ujrzeliśmy wśród niewysokich drzew następną grupę nie wiadomo w jaki sposób skleconych domostw. Za nimi rozciągały się skąpo porośnięte poletka uprawne.

- Lądujemy? - spytałem.

- Może trochę dalej. Oni się nas wyraźnie boją. Przystałem na to. Zwiadowcza osiadła na pustym polu.

- Ano, nic teraz nie mów - poprosiłem. - Trochę później wszystko ci wytłumaczymy, nie mamy teraz na to ani chwili czasu.

Wyskoczyliśmy z pojazdu i pobieглиśmy w stronę osady, która wyglądała jak wymarła - jej mieszkańcy pochowali się wewnątrz lepianek. Arf wyprzedził mnie. Nagle zatrzymał się jak wryty. Tuż koło ucha śmignęła mu strzała. Popatrzył zdumiony; nie wiedział dobrze, co to jest i skąd się mogło wziąć.

- Zawracaj! - krzyknąłem. - Musimy założyć skafandry, bo inaczej nie dotrzemy tam żywi.

Druga pierzasta strzała przeleciała nad naszymi głowami. Na szczęście z tej odległości niełatwo było trafić naszym niewidzialnym przeciwnikom. Wróciliśmy do Zwiadowczej i przebraliśmy się prędko.

- Może pojedziemy łazikiem? - zaproponował Arf.

- Nie, to ich - jeszcze bardziej przestraszy. Weź tylko na wszelki wypadek miotacz.

Po chwili zmierzaliśmy znowu w kierunku zabudowań. Tym razem nie pędziliśmy już jak szaleni - po pierwsze w ochronnych skafandrach nie było to łatwe, po drugie zaś spodziewaliśmy się już mniej więcej, jakich ludzi spotkamy.

- Tym razem nie atakują - odezwałem się. - Podziałał na nich widok skafandrów.

Kolejna strzała uderzyła mnie w ramię i upadła bezgłośnie na suchą ziemię tuż przed naszymi nogami.

- A jednak nie podziałał - usłyszałem w słuchawkach śmiech Arfa. Na głowach mieliśmy przezroczyście hełmy.

- Wystrzel na postrach z miotacza. W niebo. Może to poskutkuje.

Poskutkowało. Mogliśmy już swobodnie przybliżyć się do chat na odległość około dwudziestu kroków. Wówczas ze środka jednej z nich wyłoniła się niespodziewanie jakaś postać. Przystanęliśmy. Mężczyzna idący naprzeciw nas zatrzymał się również. Był prawie zupełnie nagi; wszystko co miał na sobie, to owinięty wokół bioder kawałek szarego płótna i kościany, spadający na piersi naszyjnik. W rękę trzymał drewnianą włócznię. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Byłem prawdę mówiąc zaskoczony - spodziewałem się ujrzyć prymitywnego dzikusia z cofniętą szczęką, jednego z tych, jakich widuje się często na kolorowych ilustracjach w książkach, a tymczasem patrzyłem na człowieka o regularnych rysach twarzy i bystrych oczach. Bo jakże właściwie mogło być inaczej. Był to przecież potomek wielkiej wymarłej cywilizacji, którego jedynie obiektywne warunki zmusiły do pierwotnego bytowania. I chociaż on sam nic już o tym nie wiedział, to jednak fakt pozostawał faktem: był to po prostu jeden z nas - tak to wtedy odczułem. Milczenie przedłużało się. W ślad za mężczyzną z chat wychodzić

zaczęli kolejni mieszkańcy osady: opaleni, niewysocy, niektórzy zaopatrzeni w łuki lub włócznie. Ich twarze nie zdradzały jednak agresywnych zamiarów - byli natomiast wyraźnie przestraszeni. Wpatrywali się to w nas, to znów w mężczyznę, który pierwszy wyszedł nam na spotkanie, i według wszelkiego prawdopodobieństwa był ich przywódcą - jak gdyby czekali na jakiś znak. Gorączkowo zastanawiałem się nad najwłaściwszym sposobem naszego dalszego postępowania i możliwością nawiązania kontaktu ze znieruchomiałymi na wprost nas ludźmi. Stojący obok mnie Arf zdjął hełm i otarł dłonią pot z twarzy. Tubylcy poruszyli się niespokojnie, ale znów zastygli w bezruchu. Poszedłem w ślady Arfa - teraz mieszkańcy wioski mogli dokładnie przyjrzeć się naszym twarzom, takim samym jak ich twarze, tylko bledszym i spoconym. Różniliśmy się jedynie kolorem włosów; żaden z nich nie był, tak jak my, jasnym blondynem.

- Co robimy? - szepnął Arf.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, stało się coś, o czym w ogóle nie pomyśleliśmy. W całej tej przygodzie zapomnieliśmy bowiem o Anie, o tym, że Ana cały czas siedzi w krążącym po orbicie kosmolocie i nasłuchuje, co dzieje się na Ziemi. Zapomnieliśmy, że na dłoniach mamy zamocowane małe czarne nadajniki, przesyłające każdy dźwięk aż do jej ciekawych uszu.

- Arf, co wy właściwie teraz robicie? Co tam się dzieje? - w martwej ciszy głos Any wydawał się szczególnie donośny.

W grupce ludzi stojących przed nami nastąpiło wyraźne poruszenie. Szeptali coś między sobą, szybko jednak zorientowałem się, że tego języka nie będą w stanie zrozumieć. Wzrok wodza błędził w poszukiwaniu osoby, która odezwała się przed chwilą.

- Ano, błagam cię, ani słowa, słyszysz! - tym razem wszyscy spojrzeli na Arfa. Widać było, że bardzo chcą pojąć sens jego słów. I właśnie w owej chwili przyszedł mi do głowy cały ten szalony pomysł, który stał się później przyczyną naszej kolejnej, długiej, bardzo długiej podróży.

- Arf, wracamy do Zwiadowczej - powiedziałem stanowczo.

Spostrzegłem, że dosłownie osłupiał ze zdziwienia, ale nie mogłem mu przecież w takiej chwili nic tłumaczyć. Obróciłem się więc na pięcie i szybkim krokiem skierowałem się z powrotem ku rakietce. Arf dogonił mnie za chwilę.

- Co chcesz zrobić?! - krzyczał.

- Wszystko ci wyjaśnię, kiedy stąd odlecimy - pociągnąłem go w kierunku wejścia do kabiny sterowniczej. - Wsiadaj prędko!

Spojrzałem za siebie. Tubylcy nie stali już w zwartej grupce. Podążali teraz wolno za nami, z wyraźnym jednak zachowaniem ostrożności.

- Szybciej, oni zaraz tu będą - ponaglałem Arfa.

W chwilę później nasza Zwiadowcza oderwała się lekko od ziemi, pozostawiając pod sobą kilkanaście maleńkich figurek, które na widok wznoszącej się w powietrze maszyny opadły

miętko na kolana z twarzami zwróconymi ku niebu.

- Klękają - szepnął Arf. - Co to może oznaczać?

- Ano - odezwałem się tonem najbardziej stanowczym, na jaki mogłem się w tym momencie zdobyć. - Wracamy z Arfem do kosmolotu.

- Co?!!!

Nie wiedziałem, czy owo „co?!!!” wydarło się najpierw z ust Arfa, czy Any.

- Arf, posłuchaj - mówiłem gorączkowo. - Widziałeś ich, prawda, wiesz w jakich warunkach teraz żyją, ale to nic, to nic, najważniejsze, że są, że istnieją...

- Człowieku, do czego ty właściwie zmierzasz! - tym razem krzyczała na pewno Ana.

- Jak myślisz - pytałem Arfa - ile czasu musi upłynąć, żeby oni stworzyli znowu taką cywilizację, jaka istniała na Ziemi przed naszym odlotem?

- Nie wiem, wiele tysiącleci, skąd zresztą wiadomo, że oni w ogóle cokolwiek stworzą...

- Stworzą, dlaczego mieliby nie stworzyć. Widziałeś ich twarze? Są rozumni, tylko żyją w prymitywnych warunkach, i wiesz czego im najwięcej potrzeba? Czasu... Musiała się tu stać jakaś ogromna katastrofa, przeżyły tylko jednostki, jednostki, które nie mogły same podźwignąć dawnej cywilizacji. Ich potomkowie stopniowo przystosowywali się do nowych warunków i zapominali...

- Więc dlaczego nie wrócimy, nie przypomnimy im!

- To nie ma sensu. Jest nas za mało, a poza tym po co mamy im cokolwiek przypominać. Nie będą w stanie nas teraz pojąć, muszą dojść do wszystkiego sami, rozumiesz - spojrzałem na Arfa i odnalazłem w jego oczach pierwszy błysk aprobaty.

- Sim, jesteś szaleńcem, chcę natychmiast wracać na Ziemię, powiem zaraz Mózgowi... - w głosie Any brzmiał tłumiony szloch.

- Nic nie powiesz - przerwał jej ostro Arf - Za chwilę będziemy już w kosmolocie.

Wtedy rozpłakała się i jej płacz towarzyszył nam aż do opuszczenia Zwiadowczej na trzecim pokładzie kosmolotu - znajdowały się tam grodzie dla trzech rakietek, w które byliśmy zaopatrzeni na czas naszej długiej podróży. Kiedy weszliśmy do Kabiny Głównej, Ana siedziała wtulona w głęboki fotel, zapatrzona w pociemniały ekran, na którym wolno obracała się Ziemia.

- Sim ma rację - odezwał się łagodnie Arf usadowiwszy się w fotelu obok niej. - Tam nie ma teraz dla nas miejsca - wskazał głową migocący ekran.

- Mamy za to wielką szansę. Szansę ujrzenia nowej cywilizacji, którą za tysiące lat ludzie stworzą od nowa.

Ana milczała.

- Cóż znaczą dla nas te tysiąclecia - ciągnąłem dalej. - Przetrywamy je znów w stanie anabiozy. Mózg będzie czuwał nad nami. Obudzi nas wtedy, gdy z Ziemi znów zaczną startować rakietki...

- Nie chcę - powiedziała cicho Ana. - Skąd w ogóle wiecie, że akurat tak będzie...

- Możemy zapytać Mózgu jaki jest stopień prawdopodobieństwa całej tej naszej teorii i czy pomysł przetrwania okresu początkowego rozwoju cywilizacji jest dla nas optymalnym wyjściem z obecnej sytuacji.

Prognozy Mózgu były pomyślne - dziewięćdziesiąt osiem na sto, że na Ziemi rozwinię się znowu cywilizacja. W przetrwalni, jak ustalił komputer, bez szkody dla naszych organizmów, możemy jeszcze przebywać około dziesięciu tysięcy lat.

- Widzisz teraz sama, że nie mamy innego wyjścia - czułem, że Ana nie będzie się już dłużej sprzeciwiać. - Nie wiem, jacy będą ci ludzie za dziesięć tysięcy lat, ale na pewno łatwiej nam będzie porozumieć się z nimi, niż z tymi, którzy obecnie zamieszkują planetę.

- Jaka trasę ustalimy dla kosmolotu? - spytał Arf rzeczowo.

- Najlepiej będzie, jeśli nie opuścimy już naszego Układu - odezwała się niespodziewanie Ana. Potrafiła się zawsze opanować w zaskakująco krótkim czasie.

Tak, masz rację - przytaknąłem zadowolony, że Ana zaaprobowała powziętą przeze mnie i Arfa decyzję. Co prawda wiedziałem, że w razie jakiegokolwiek sprzeciwu Arfa nigdy nie stanęłyby po mojej stronie.

Po krótkiej dyskusji postanowiliśmy umieścić nasz kosmolot na orbicie Marsa. Mieliśmy więc w perspektywie dziesięć tysięcy lat krążenia wokół jego zimnych, wymarłych pustyń. Ta myśl towarzyszyła nam aż do chwili, kiedy za naszymi plecami bezszelestnie zamknęły się znowu drzwi przetrwalni.

TULACZKA

Kiedy się przebudziłem, było już późne popołudnie. Szybko obrzuciłem pokój uważnym spojrzeniem. Rękopis profesora, który w obawie przed... teraz mogę panu powiedzieć, panie Lotman, że już wtedy zaczynałem się domyślać, przed kim mam go chronić...

Tak więc, rękopis profesora schowany głęboko pod hotelowym łóżkiem leżał na swoim miejscu. Chociaż jeszcze pozostała mi do przeczytania ostatnia partia tekstu, nie mogłem decydować się na dłuższy pobyt w zajeździe - nawet dla tak intrygującego zajęcia. Tutaj w każdej chwili groziło mi niebezpieczeństwo. Musiałem jak najprędzej zobaczyć się z Tersonem. Do Kerstenu wyruszyłem zaraz po śniadaniu. Około szesnastej byłem na miejscu. Natychmiast udałem się do Instytutu Rozwoju Ludzkości. Na szczęście Terson, jak zakomunikował mi portier, był w swoim gabinecie.

Na drugim piętrze ogromnego gmachu Instytutu zastałem niskiego, drobnego mężczyznę. Kiedy przedstawiłem mu się, niezwykle uprzejmie zapytał:

- Czym mogę panu służyć?

Głos Tersona w niczym nie przypominał głosu osobnika, z którym rozmawiałem onegdaj przez telefon.

- Chciałbym wiedzieć, cóż to za niezwykle wydarzenia miały miejsce przedwczoraj w Kerstenie - powiedziałem mocnym i zdecydowanym głosem.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - Terson wydawał się zdumiony.

- Przecież dzwonił pan do naszego Instytutu, chciał pan mówić z profesorem Careliem i to właśnie mnie polecił pan przekazanie profesorowi informacji o wypadkach w Kerstenie.

- Skąd dzwoniłem? - Terson nie rozumiał nadal.

- Jak to skąd? - teraz już i ja zaczynałem się denerwować. - Z Kerstenu.

- Ależ, to jakaś pomyłka. Musiał mnie pan z kimś pomylić. Ja dopiero wczoraj wróciłem z Egiptu, dokąd byłem delegowany przez nasz Instytut do pracy przy najnowszych wykopaliskach. Sam więc pan rozumie, że nie mogłem wobec tego dzwonić do profesora. A o żadnych niezwykle wydarzeniach w Kerstenie nic mi nie wiadomo. Może rzeczywiście coś się zdarzyło, a ja nic o tym nie wiem - zaczął się zastanawiać. - Nie, to jednak niemożliwe, ale proszę, niech się pan pofatyguje na pierwsze piętro i skontaktuje z Działem Informacji. Może oni powiedzą panu coś konkretnego.

Nie pozostało mi nic innego, jak przeprosić Tersona i zejść na pierwsze piętro.

Niestety. Terson miał rację. W Kerstenie naprawdę nic się nie zdarzyło. Teraz moje podejrzania zaczęły nabierać coraz wyrazistszych kształtów. Profesor po prostu wpadł w zasadzkę.

Zaległa cisza. Jakub siedział z szeroko otwartymi oczami. Zdawało się, że widzi coś, czego nikt inny nigdy jeszcze nie dojrzał.

- Jestem już bardzo zmęczony, panie Lotman. Nie tylko tą opowieścią. Ucieczką także - powiedział cichym, znużonym głosem. - Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, abyśmy przełożyli naszą rozmowę na później?

Nie miałem. Wiedziałem, że teraz na pewno nam nie umknie. I on wiedział także. Graliśmy przecież w otwarte karty. Pożegnałem więc Jakuba i zadzwoniłem do Anny.

Z Jakubem umówiłem się na jutro. Jestem z siebie zadowolony. Udało mi się zrealizować, co prawda nie całość, ale choć część naszego planu. Właściwie nie miało sensu odkładanie na później jego dalszej części, ale w końcu zależało mi także i na tym, aby Jakub nabrał do mnie zaufania. No i żeby trochę odpoczął. Bardzo wątpię czy przez te, jakby nie było, kilka lat - miał choć chwilę wytchnienia... W jego sytuacji?!

O dwunastej przyszła do mnie Anna. Jak zwykle rozmawialiśmy o S. Jakoś nie możemy oboje o nim zapomnieć. Przez chwilę wydawało mi się, że Annie jest trudniej z tym żyć, niż mnie. Ale to chyba było złudzenie. Przecież przez tak długi okres nigdy niczego nie zauważyłem. No cóż, Anna jest przecież pomimo wszystko... kobietą.

Dzisiaj długo staliśmy w milczeniu patrząc przez hotelowe, załzawione deszczem okna na smętny, pusty rynek w O.

28 października 19.. roku

Dzisiaj nareszcie przestało padać. O siedemnastej, po skończonej pracy, ma przyjść do mnie Jakub. Postaram się wyciągnąć go gdzieś na spacer. Wątpię jednak w powodzenie mojej propozycji. On musi być teraz bardzo czujny. Chyba czułbym się podobnie na jego miejscu. Spróbowałem sobie wyobrazić siebie jako Jakuba, Nie, to doprawdy niemożliwe. Za godzinę spotkam się z nim, wątpię jednak, czy uda mi się zakończyć całą tę sprawę dzisiejszego popołudnia. Dobrze, że to sobota - Jakub będzie mógł, czy też raczej musiał zostać aż do poniedziałku. Tylko czy zechce?

Punktualnie o siedemnastej Jakub Graves zapukał do drzwi mojego pokoiku. Był bardzo blady. Miałem rację - nie odpoczął ani przez chwilę. Ale przyszedł! Przewycięzył obawy i tym razem. A może Jakub...

- Może poszlibyśmy trochę pospacerować - zaproponowałem, ale Jakub zareagował tak, jak się spodziewałem - gwałtownie zaprzeczył ruchem głowy. Pewnie podejrzewał, że kryje się za tym jakiś podstęp.

- Wolałbym tutaj z panem porozmawiać, jeśli można oczywiście - dodał. - Mam trochę

wolnego czasu i chciałbym zdażyć jak najwięcej opowiedzieć.

Usiedliśmy.

Tak więc raz jeszcze powrócę do wypadków sprzed lat; otóż wiedziałem już, że profesor zginął nieprzypadkowo, nieprzypadkowo spłonął też jego dom, a owa dama, podająca się za bratanicę Carelia, bynajmniej nią nie była. Teraz, po przeczytaniu kolejnej partii „Testamentu Dominika” domyślałem się, kim mogła być. Co prawda, dopuszczenie takiej możliwości było już samo w sobie niesamowite. I chociaż przeczytane dotychczas fragmenty nie wskazywały na zbrodnicze cele owych osobników, jednakże życie mówiło coś wręcz przeciwnego. Wstrząsająca śmierć wielkiego naukowca, a poza tym ostrzeżenia zawarte na zagubionej przez profesora kartce, dla której dotychczas nie udało mi się znaleźć właściwego miejsca, zrobiły swoje.

Wiedziałem, że nie mam ani chwili do stracenia. Kersten był teraz bardzo niebezpiecznym miejscem. Przecież to właśnie tu zaczęto by mnie szukać. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że pędzę z przerażającą szybkością autostradą prowadzącą w nie znanym mi kierunku. Mijane drogowskazy zlewały się w jedną całość. Nie potrafiłem odczytać żadnej z napisanych na nich nazw. Przejeżdżałem przez miasta i miasteczka, lasy i pola, nie zwracając na nie uwagi. Wiedziałem tylko jedno, muszę odjechać jak najdalej od Kerstenu.

Zatrzymałem się dopiero w lesie pod Palencton. Zatrzymałem się, to nazbyt łagodne określenie - po prostu padłem ze zmęczenia na kierownicę i tak obudził mnie zimny świt. Byłem głodny i zziębnięty. Postanowiłem zjeść śniadanie w pobliskiej restauracji i wysłać stamtąd list do Instytutu. Musiałem przecież jakoś wyjaśnić swoją nieobecność w pracy. Skreśliłem prędko parę zdawkowych, nic nie mówiących zwrotów: że w związku z zaistniałą sytuacją (jaką - tego nie napisałem) jestem zmuszony zrezygnować z zajmowanego dotychczas stanowiska w Instytucie, że rezygnuję też z należnej mi pensji, a ponadto - żeby nie próbowano mnie szukać, gdyż trafia mi się niebywała okazja podjęcia dużo ciekawszej i bardziej intratnej pracy w Ameryce Południowej. Złożyłem zamaszty podpis i wrzuciłem list do skrzynki. Stało się. Tym jednym gestem przekreśliłem całą swą przeszłość i - tego byłem pewien - przyszłość także. Pomyślałem o mojej starej matce i o tym, jak bardzo cierpiałyby dowiedziawszy się o porzuceniu pracy i całej mojej teraźniejszej sytuacji. Napisałem więc kilka słów i do niej: wyjeżdżam do Ameryki Południowej, niech się nie martwi brakiem listów ode mnie, później jej wyjaśnię wszystko. Ale sam nie byłem pewien, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Po śniadaniu, bardziej już przytomny, zacząłem zastanawiać się, dokąd dalej pojechać. Przyszła mi na myśl Maria, nagle zapragnąłem ją zobaczyć, ale natychmiast odrzuciłem ten nedorzeczny pomysł. Nie, to byłaby już ostateczność. Przeanalizowałem raz jeszcze wydarzenia ostatnich dni. Profesor już nie żył, nie mógł mi więc niczego wyjaśnić. Ale profesor też musiał od kogoś dostać te niesamowite notatki. Przypomniał mi się naraz dźwięk czyjegoś głosu: -

mówi doktor „Karol Brown” - no tak, to było owo brakujące ogniwo, człowiek, któremu tak bardzo zależało na rozmowie z profesorem. O Karolu Brownie czytałem przecież wiele. Wiele też słyszałem o pewnym jego niezwykłym pacjencie, który zmarł na nie rozpoznaną przez naszych lekarzy chorobę. Czy słusznie jednak łączyłem te fakty? - Odpowiedź na to pytanie mógł mi dać jedynie doktor Brown. Zdawałem sobie sprawę z tego, że czepiam się przysłowiowej brzytwy. Być może lekarz nie ma nic wspólnego ze znajdującymi się teraz w moim posiadaniu notatkami. Terson, niestety, niczego mi nie wyjaśnił - pozostał mi więc już tylko on. Nie miałem jednak zielonego pojęcia, gdzie mógłbym go teraz znaleźć. Do Instytutu nie mogę przecież w żadnym wypadku powrócić. Telefonicznie tej sprawy też nie uda mi się załatwić, nawet gdybym zaproponował mu spotkanie, powiedzmy w Palencton, z pewnością nic by z tego nie wyszło. Po pierwsze, dlaczego miałby jechać raptem tyle kilometrów, aby spotkać się ze mną, z nie znanym sobie człowiekiem, po drugie - po wypadku profesora mógłby podejrzewać istnienie następnej zasadzki, a po trzecie może też jest śledzony i wtedy telefon do niego równałby się mojej zgubie. Pozostała mi tylko jedna ewentualność: spotkać się z Brownem na neutralnym gruncie i do tego „przypadkowo”. Doktor przecież z pewnością wiele podróżuje, może więc będę miał tę odrobinę szczęścia. Muszę tylko uważnie czytać codzienną prasę.

Teraz miałem plan.

Jechałem wciąż przed siebie, zatrzymywałem się w przygodnych zajazdach, barach, nocowałem gdzie się dało i codziennie kupowałem wszystkie gazety. Wierzyłem, że w końcu kiedyś uda mi się dojrzeć notkę w rodzaju: „Dr Karol Brown wraz z ekipą naszych naukowców udaje się na Międzynarodowe Sympozjum Lekarskie do Warszawy”, lub na przykład: „Nowa szczepionka doktora Browna” bądź też „Wykłady znakomitego doktora Browna w Uniwersytecie w Quebeck wywołały wielkie poruszenie...” itd., itd. Niestety, mijał już miesiąc od mojego wyjazdu z miasta, a ja nie przeczytałem nawet najdrobniejszej wzmianki o lekarzu. Zacząłem już wątpić, czy kiedykolwiek uda mi się zaaranżować choć krótkie spotkanie.

Przeczytałem także dalszą część „Testamentu”. Zapewne jest pan ciekawy, co zawierała. Spodziewam się tego. Zechce mi pan jednak wybaczyć, że nie opowiem panu, czego się wtedy dowiedziałem. Myślę, że postąpię słusznie zostawiając zapiski „Dominika” na koniec naszego dzisiejszego spotkania. Sądzę, że będzie wtedy czas i na pański komentarz.

Z gazet dowiedziałem się, że śledztwo w sprawie śmierci profesora utknęło w martwym punkcie. Podpalenie domu było oczywiste, natomiast w sprawie wypadku nie wykryto niczego nowego. Przyjęto więc hipotezę o samoistnym rozregulowaniu się układu kierowniczego w jego samochodzie. A ponieważ nie zdołano zatrzymać nikogo zamieszanego w sprawę pożaru, przez pewien czas zupełnie nedorzecznie wiązano go z moją osobą, ale porzucono na szczęście ten niebezpieczny dla mnie pomysł i sprawa powoli zdawała się przycichać.

Nareszcie pewnego ranka, kiedy już prawie zrezygnowany przeglądałem „Zwierciadło

Poranne”, natknąłem się na tak oczekiwaną przeze mnie informację. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Dziś rano znany naukowiec, doktor Karol Brown, odleciał wraz z kilkoma towarzyszącymi mu osobami do Nowego Jorku na Ogólnoświatową Wystawę Sprzętu Medycznego. Jednocześnie informujemy, że doktorowi Brownowi przypadł w udziale zaszczyt wygłoszenia uroczystej mowy otwierającej Wystawę”.

Miałem na szczęście przy sobie ważny paszport oraz wystarczające jeszcze, choć topniejące powoli zasoby moich długoletnich oszczędności - nie było więc przeszkód. Co prawda, zdążyła mi już urosnąć dość spora bródka zmieniająca nieco rysy mojej twarzy, ale w ostateczności, jeśli celnicy zażądatają, mogę ją przecież na granicy zgolić.

Wstąpił we mnie duch optymizmu. Może nareszcie zdołam coś wyjaśnić. A poza tym Nowy Jork to ogromne miasto - tak łatwo jest się tam zgubić, jak i trudno odnaleźć. Ja przecież wciąż uciekałem. Nie wiem, czy to były moje imaginacje, ale miałem wrażenie, że ktoś depta mi po piętach.

Bardzo często zdarzało mi się czuć na sobie czyjeś spojrzenie. Ale ilekroć usiłowałem sprawdzić, czy moje podejrzenia są uzasadnione, nic z tego nie wychodziło.

Jakiś tydzień temu zdarzyło się, że w jednym z przydrożnych moteli zostawiłem dość interesujące książki. Były to *Worlds in Collision* Welikowskiego i *The Quest* Allena, dzieła próbujące wyjaśnić dzieje naszej cywilizacji. Kiedy po nie wróciłem (nie mogłem się opanować; przemogłem strach, żeby je odzyskać), pokojówka wyjaśniła mi, że zabrał je jakiś mężczyzna mający mi je rzekomo dostarczyć. (Teraz widzę je na pańskiej półce, panie Lotman. Tak, wiem, że przecież obaj interesujemy się tym samym zagadnieniem - zapewne dlatego i pan je posiada).

Fakt ten potwierdził moje podejrzenia - byłem ścigany! W tej chwili wydawało mi się jednak, że zgubiłem pościg. Dotarłem już do miejsca, skąd mogłem wykupić bilet lotniczy do Stanów. Zrobiłem to z ogromną radością. Pozostawiony początkowo na parkingu samochód po namyśle ukryłem w lesie. Wolałem żeby go ukradli, niż żeby miał mnie wydać.

Po przylocie do Nowego Jorku próbowałem natychmiast skontaktować się z Brownem. Miałem chyba dość dużo szczęścia, bo usłyszałem w słuchawce znany mi głos; niestety, doktor był bardzo zajęty i nie mógł się teraz ze mną spotkać, umówiliśmy się więc na Wystawie. Tam jednak także nie mogłem porozmawiać na nurtujące mnie tematy. Nie powiodło mi się ani następnego dnia, ani... kiedykolwiek. Nazajutrz po otwarciu Wystawy doktor Brown otrzymał telegram z Indii wzywający go do natychmiastowego przybycia do Delhi w związku z zakończonymi niepowodzeniem próbami zastosowania nowej szczepionki przeciw cholerze, wynalezionej właśnie przez Browna. Zanim zdążyłem się z nim skontaktować, lekarz już był w stolicy Indii.

Przeliczyłem swoje oszczędności - niestety, podróż do Indii była ponad „stan”. Nie mogłem sobie pozwolić na tak kosztowną eskapadę. Pieniądze topniały w oszałamiającym tempie.

Miałem jednak jeszcze szansę zobaczenia się z lekarzem, i to tu - w Stanach. Do zamknięcia Wystawy pozostał przecież cały tydzień, możliwe więc, że doktor, nie załatwiwszy zapewne wszystkich swoich spraw, jeszcze tutaj powróci. Zadekowałem się w podrzędny hoteliku pod zmienionym nazwiskiem, codziennie kupowałem prasę i czekałem.

Któregoś dnia poszedłem na Wystawę. Nie wiem, czego tam szukałem, doktora przecież nie było w Nowym Jorku. Chodziłem od gablotki do gablotki, przyglądałem się przeróżnym planszom próbując wyczytać z nich coś więcej niż to było możliwe, gdy nagle obok mnie wszczął się jakiś ruch. Personel Wystawy, grupka naukowców i lekarzy o czymś z przejęciem dyskutowała. Kiwali przy tym głowami jak gdyby ze współczuciem. Nie miałem pojęcia, co się stało. Nie sądziłem, że to, o czym mówią, ma tak wyraźny związek ze mną. Zrozumiałem, co się stało, dopiero za chwilę - oto z głośników rozległ się matowy głos: „Z żalem musimy państwu zakomunikować, że dziś rano w szpitalu w Delhi zmarł nasz znakomity kolega, jeden z inicjatorów założenia naszej Wystawy, lekarz i pedagog - teraz już przeczuwałem, czyje nazwisko wymieni spiker - doktor Karol Brown. W związku z tym tragicznym wydarzeniem nad Wystawą będzie powiewała żałobna flaga. Proponuję - mówił dalej głos - abyśmy uczcili pamięć zmarłego minutą ciszy”.

Cisza rzeczywiście nastąpiła, ale trwała o wiele dłużej. Doktor Brown był dość młodym jeszcze człowiekiem i cieszył się znakomitą zdrowiem. Jego śmierć wprawiała zebranych po prostu w osłupienie.

Szybko wróciłem do hoteliku. Teraz nie miałem już tam czego szukać. Nagły zgon Browna miał dla mnie swoje wytłumaczenie. Magiczne fatum, a raczej tajemnicza szajka - działała. Najpierw Careli, potem Brown, a następny... oczywiście Graves. To było do przewidzenia.

Ciekaw byłem tylko sposobu, w jaki umarł Brown: wypadek samochodowy? trucizna? czy coś jeszcze innego?

Zadzwoiłem po pokojówkę:

- Proszę przynieść mi wszystkie popołudniowe dzienniki - zażądałem.

Dziewczyna stała dziwnie mi się przyglądając. Miała ogromne, przenikliwe oczy. Naraz pożałowałem swego polecenia. Nie mogłem się jednak już wycofać, szybko je więc powtórzyłem i kazałem jej wyjść. Raz jeszcze obrzuciła mnie wzrokiem i wyszła. Była wysoka i szczupła. Kogoś mi przypominała. Wołałem sobie nie przypominać, kogo.

Zacząłem pospiesznie wrzucać drobiazgi do podróżnej torby. Zostawiłem na stole pieniądze za ostatni nocleg i jak złodziej, nie czekając na prasę, wymknąłem się bocznym wyjściem. Jak szalony pognałem do taksówki i kazałem wieźć się na dworzec. Kupiłem garść popołudniówek i wpadłem na peron, z którego właśnie odjeżdżał jakiś pociąg. Było mi wszystko jedno dokąd jedzie, wskoczyłem więc do niego bez namysłu. Znalazłem pusty przedział i gorączkowo zacząłem wertować gazety. W jednej z nich znalazłem to, czego szukałem - wzmiankę, o śmierci

naukowca. Doktor Brown umarł na wywołaną nieznanym wirusem influenza, atakującą nawet bardzo silne i odporne organizmy. Nie przekonało mnie to wyjaśnienie. Co więcej, nie wierzyłem w nie. Nie miałem jednak żadnej możliwości, aby sprawdzić wiarygodność tego orzeczenia. Ogarnęło mnie odrętwienie i jakaś dziwna niemoc. Ocknąłem się dopiero na którejś z kolei stacji. Szybko wyrząłem przez okno. Było to Baltimore. Los chyba sam tego chciał. A ja nie wiedziałem o tym, że przez cały czas przybliżał mi Marię. Teraz, niestety, została mi już tylko ona. Z Baltimore do Annapolis - do Marii - jest zaledwie krok. Zdażyłem tylko o niej pomyśleć, a już trąpiły mnie najrozmaitsze wątpliwości. Może Maria o mnie zapomniała... Nie, wiedziałem, że to niemożliwe. Byliśmy swego czasu zbyt mocno ze sobą związani. Rozstanie było ciężkim przeżyciem dla obojga. Nastąpiło ono, niestety, z mojego powodu. Może jednak jeszcze nie jest za późno, ale prawdę powiedziawszy - wcale nie byłem tego taki pewien.

Na peron w Annapolis wysiadłem pełen najczarniejszych przeczuć. Chyba był to jedyny moment w czasie mojej tułaczki, w którym zapomniałem o przyczynie ucieczki, o Careliu, Brownie, wypadkach i pożarach. Poczułem się znów dawnym, „dobrze zapowiadającym się młodym człowiekiem z przyszłością”. Myślałem tylko o Marii, o jej łagodnych oczach, o jej uśmiechu, który - tak chciałbym wywołać przy powitaniu. Nagle zrozumiałem, że tylko przy niej mogę odzyskać wiarę w siebie i w słuszność swoich poczynań. Uświadomiłem sobie, jak bardzo było mi jej brak, jak za nią tęskniłem. Od pięciu minut stałem jako jedyny potencjalny pasażer na postoju pełnym oczekujących taksówek. Nie mogłem się zdecydować. W końcu podszedłem do zielonego forda i podałem adres. Podróż wydawała mi się nieskończenie długa.

Ze wzruszeniem wsłuchiwałem się w odgłos kroków Marii. Otworzyła uśmiechnięta.

- To ty... - uśmiech powoli gasł na jej ustach. - To ty, Jakubie? Co tutaj robisz? - wydawała się zawiedziona.

- Dobry wieczór, Mario. Cóż to, nie pozwolisz mi wejść? - mój żart zabrzmiał raczej żałośnie.

- Ależ, tak, oczywiście, proszę cię, wejdź - Maria zaczerwieniła się, a niebieskoszare oczy miały nieco spłoszony wyraz.

- No, wejdźże dalej - trochę się opanowała.

Ja natomiast wprost przeciwnie: - Mario, ja... no wiesz... - Jakoś nie mogłem odnaleźć właściwych słów. Z przykrością dostrzegłem, że nie potrafię już mówić „naszym” językiem.

- Nie. Uspokój się. Nie chcę tego słuchać - powiedziała twardym, ostrym głosem. - Jeśli przyjechałeś tylko po to, aby mówić o przeszłości, to jest już po prostu za późno. Co najmniej o pół roku.

Staliśmy oboje nieco zmieszani w małym przedpokoju. Maria, która zawsze potrafiła szybciej zapanować nad sytuacją, zaprosiła mnie ruchem ręki do pokoju.

Duży zastawiony stół od razu rzucił się w oczy. Od razu też zauważyłem tylko dwa

nakrycia. A więc Maria na kogoś czekała. Z pewnością nie na mnie. Zrozumiałem teraz jej zachowanie. Poczulem się jak zawodnik, który wie, że za chwilę przegra mecz. Maria była moją jedyną i ostatnią szansą na przetrwanie. Wierzyłem, że tylko ona może mi pomóc.

Usiedliśmy na kanapie; Maria podenerwowana, co chwila spoglądająca na zegarek, i ja zdesperowany, gotowy na wszystko. Nie wiedziałem właściwie, od czego mam zacząć, co jej powiedzieć, jak wyjaśnić to, co dotyczyło nas i to, co spotkało mnie. Nie wiedziałem - i to był mój błąd - co ważniejsze, zdecydowałem się na możliwie skrótową opowieść o wydarzeniach poprzedzających mój przyjazd do Annapolis, a trzeba było zacząć od naszego rozstania.

Tak więc opowiadałem, opowiadałem, nareszcie mówiłem o tym z kimś, a raczej komuś. Temat zafascynował mnie po raz nie wiadomo który, dzieliłem się z Marią swoimi uwagami, spostrzeżeniami, aż naraz jej reakcja zmroziła mnie, jej słowa spadły na mnie jak grom z jasnego nieba:

- Masz jeszcze dwadzieścia minut, streszczaj się więc w miarę możliwości. Oczekuję, jak się zapewne zorientowałeś, odwiedzin. I żebyś nie miał wątpliwości, dodaję: odwiedzin mężczyzny.

Teraz zgubiłem się naprawdę. Ostry, nieprzyjemny ton, którym zostały wypowiedziane te słowa, nie pasował do mojej dawnej Marii. Próbowałem jeszcze jakoś ratować nasze spotkanie:

- Mario, muszę z tobą porozmawiać. Tyle mam ci do powiedzenia. Musisz mnie wysłuchać, musisz mi pomóc.

- Powtarzam ci raz jeszcze - masz dwadzieścia minut. Kończ więc.

- Ty mi przecież musisz pomóc - nie wiedziałem już, co mówię.

- Ależ naturalnie, że ci pomogę. Słuchaj Jakubie, poczekaj zresztą chwilkę - Maria wyszła z pokoju. Po kilku minutach wróciła z jakimś skrawkiem papieru. - Oto adres, mówiłeś, że się ukrywasz, że musisz uciekać, oto adres domu, w którym nic ci nie będzie groziło. A tu - sięgnęła do torebki - masz pieniądze. Oddasz mi jak będziesz mógł - dodała. - Niestety jest już późno, a ja nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

- Mario, a... my...? - zapytałem niepewnie.

- Niestety, Jakubie, jak zwykle spóźniłeś się. Zawsze przecież miałeś i masz nadal ważniejsze sprawy na głowie, niż moja skromna osoba. Ale tym razem spóźniłeś się naprawdę.

Poprowadziła mnie do drzwi.

- Powodzenia, Jakubie!

Na schodach wyminął mnie jakiś brodaczek w stylu „blue jeans” z naręczem kwiatów w ręku. No tak, a ja nie pomyślałem nawet o drobnym bukietku.

Na ulicy było już ciemno. Przywołałem taksówkę i kazałem się zawieźć do jakiegoś hotelu. Pod wskazany przez Marię adres postanowiłem udać się nazajutrz. Dzisiaj było mi już i tak wszystko jedno. Adres wskazywał miejscowość oddaloną od Annapolis o piętnaście kilometrów. Kiedy następnego ranka podawałem go taksówkarzowi, ten obrzucił mnie zdziwionym

spojrzeniem.

- Pan tam ma kogoś bliskiego? - zapytał.

- Tak, kuzyna - odparłem, aby nie wdawać się w żadne niepotrzebne rozmowy. Cóż go to obchodzi, do kogo jadę.

Sens tego pytania zrozumiałem dopiero na miejscu. Dom, w którym miałem znaleźć schronienie, był po prostu szpitalem dla psychicznie chorych. Jednym słowem, Maria wysłała mnie do „domu wariatów”! Niesamowite! - „Dobre musiałem zrobić na niej wrażenie” - pomyślałem.

Ale i jej stosunek do mnie ukazał mi się w całej wyrazistości. Byłem dla niej nienormalny. Poczuję się nagle tak, jakbym bezpowrotnie stracił coś drogiego.

Z Annapolis uciekałem jak mogłem najszybciej. Pragnąłem teraz znaleźć się jak najdalej od Marii i jej „pomocy”. W Nowym Jorku kupiłem bilet lotniczy do Europy. Byłem jednak na wskroś Europejczykiem i tu w Stanach czułem się nie najlepiej. Pomimo wszystko łudziłem się myślą, że zdołałem zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Myliłem się jednak bardzo. Pan, panie Lotman, wie o tym najlepiej.

Nie wróciłem jednak do Instytutu. Nie pojechałem także do Kerstenu. Błąkałem się. Żyłem w ustawicznym strachu. Każdy następny dzień napawał mnie przerażeniem, tak samo jak każdy nowo poznany człowiek.

Wczytywałem się w tekst „Testamentu Dominika”, studiowałem najnowsze odkrycia archeologiczne, wiedziałem wiele - posiadałem przecież klucz do przeszłości i - cóż za okrutny paradoks - nie mogłem tego ujawnić.

Zmieniałem nazwiska, zawody, miejsca zamieszkania, bo wciąż, tak mi się zdawało, napotykałem na ślady czyjegoś mną zainteresowania. Dostawałem różne dziwne telefony wyznaczające mi spotkania, poczta doręczała mi niezliczoną ilość zaproszeń na istniejące i nie istniejące uroczystości - nie chodziłem więc na żadne. Czasami o różnych porach dnia i nocy widywałem jakieś ciemne sylwetki pod moimi oknami, a nieznani osobnicy pukali do moich drzwi. Doszło już nawet do tego, że kiedyś zaryglowałem drzwi i okna, i przez tydzień w ogóle nie wychodziłem z domu.

Ciągle uciekałem. Te trzy lata były jednym wielkim koszmarem. Czułem się jak zaszczuty pies. Nie miałem żadnych przyjaciół i sam nie byłem niczym przyjacielem. Żyłem jak odludek. Byłem pomocnikiem kowala, tłumaczem, drwalem i prywatnym nauczycielem. Praca kelnera również nie jest mi obca. Orałem ziemię i obsiewałem pola. Raz nawet zaangażowano mnie jako pasterza. Pracowałem wszędzie tam, gdzie nie wymagano ode mnie dokumentów.

Tutaj, w O., dostałem nareszcie „dobrą” posadę - jestem bibliotekarzem. Myślałem, że nikt mnie tu nie odnajdzie. Mieszkam w O. już cztery miesiące. To całe morze czasu, jak dla mnie. Sądziłem, że wreszcie odzyskam spokój ducha, gdy tymczasem zjawia się pan, panie Lotman.

Ale ja nie mam już siły uciekać. Jestem przygotowany na wszystko. Widocznie Losu nie można uniknąć. Zanim to jednak nastąpi, zgodnie z obietnicą, przeczytam panu ostatni fragment z notatek „Dominika”...

TESTAMENT DOMINIKA

(część trzecia)

To było jak krótki sen. Tak krótki, że nie zdążyło mi się nawet nic przyśnić. Kiedy wyszedłem z przetrwalni, dręczyło mnie nieprzyjemne uczucie; pomyślałem, że Mózg nie wykonał jak należy naszych poleceń i zamiast dziesięciu tysięcy lat spaliśmy dzień, może dwa dni, nie więcej. Wystarczyło jednak, żebym spojrział na twarze Any i Arfa, aby moje wątpliwości rozwiały się bezpowrotnie. Bruzdy na twarzy Arfa pogłębiły się wyraźnie, skóra białych policzków sprawiała wrażenie tak naciągniętej, iż wydawało się, że za chwilę pęknie. Ana wyglądała tak samo - ziemista, nienaturalna cera i zapadłe głęboko oczy upodobniały ją bardziej do jakiejś dziwnej kukły, niż do żywego człowieka.

W pierwszej chwili przeraziłem się tych zmian. Opadły mnie wątpliwości: czy nie podjęliśmy zbyt wielkiego ryzyka? I czy w ogóle jesteśmy jeszcze zdolni do dalszego życia? „Wygląd moich towarzyszy nie skłaniał do optymistycznych prognoz, ja sam wyglądałem nie lepiej od nich. Nie potrzebowałem nawet oglądać się w lustrze żeby się o tym dowiedzieć, wystarczył lęk, który dojrzałem w oczach Any i badawczy wzrok Arfa błędzący długo po mojej twarzy.

- Zdaje się, że trochę przeholowaliśmy - odezwał się, kiedy przeszliśmy już do Kabiny Głównej. Znów nie mogłem opanować złudzenia, że ostatni raz byłem tu zaledwie wczoraj.

- Dojdziemy do siebie - Ana nie straciła nic ze swojej stanowczości. To podniosło mnie trochę na duchu, fizycznie jednak czułem się bardzo źle. Z całej siły musiałem walczyć z opanowującą mnie coraz bardziej słabością i niewytłumaczalnym znużeniem.

Teraz, kiedy opisuję tamte chwile, chce mi się śmiać. Chce mi się śmiać na myśl, jak w gruncie rzeczy niewspółmiernie małe były wszystkie moje obawy w stosunku do tego, co stało się naprawdę. Przestraszyłem się kilku zmarszczek, którymi opłaciliśmy możliwość ponownego przybycia. Nie znałem, co prawda, jeszcze wtedy historii ludzkości, lecz gdybym ją znał, zrozumiałbym, jak niezwykle litościwie obszedł się z nami czas - ten sam, który zdążył zburzyć tyle wspaniałych kultur: Sumerów, Babilończyków, Egipcjan, Greków i niezliczonej ilości ludów, zapomnianych prawie równie dokładnie, co nasz lud - z nami obszedł się niezwykle łagodnie i dawał o sobie znać uczuciem lekkiego zmęczenia, do którego nie potrafiliśmy się jeszcze przyzwyczać. Doprawdy, nie była to wygórowana cena za naszą długowieczność.

Relacja Mózgu, której wysłuchaliśmy w Kabinie Głównej, wywołała w nas mieszane uczucia. Okazało się, iż nasze wcześniejsze przypuszczenia były zbyt optymistyczne: na Ziemi rozwinęła się co prawda cywilizacja, z pewnością jednak nie dorównywała ona jeszcze poziomowi, o jakim myśleliśmy. Ziemianie, jak twierdził Mózg, dopiero rozpoczęli loty kosmiczne. Jedynym obiektem pozaziemskim, do którego udało im się dotychczas dotrzeć, był Księżyc.

- Będziemy więc musieli przystosować się do warunków ery wczesnokosmicznej - westchnąłem.

No cóż, już lepsze to, niż mieszkanie w tych trzciniowych chatkach, które widzieliście w czasie poprzedniego pobytu na Ziemi - Ana wyglądała nawet na zadowoloną. Przynajmniej tak mi się zdawało.

- Kiedy się tam udamy? - spytałem.

- Zaraz - było to pierwsze słowo wypowiedziane przez Arfa po dziesięciu tysiącach lat.

- Całym kosmolotem?

- Nie, zostawimy go na orbicie okołoziemskiej. Ostrożność nigdy nie zawadzi. Później sprowadzimy go na Ziemię.

- Ale już tu nie zostanę sama! - co do tego nie mieliśmy z Arfem najmniejszych wątpliwości. Wiedzieliśmy, że Ana nigdy już nie przystałaby na podobną propozycję. Zresztą nie było to wcale potrzebne.

- Polecimy Zwiadowczą wszyscy troje - odparłem uspokajająco.

I tak też się stało.

Lecąc ku Ziemi w małej rakietce spiraliśmy się przez pewien czas, w jakim miejscu naszej planety najlepiej będzie wylądować; Arf upierał się, żeby koniecznie wybrać miejsce możliwie najbardziej widoczne, na przykład główny plac któregoś z wielkich miast.

- Wyobrażacie sobie jaką zrobimy sensację - mówił z przejęciem. - Od razu cały świat dowie się o naszym przybyciu. Czy ktoś może tam przypuszczać (głową wskazał jaśniejący glob ziemski, przesuwający się leniwie za oknem Zwiadowczej), że żyją jeszcze jacyś bezpośredni przedstawiciele naszej pradawnej cywilizacji?

Biedny Arf, rozumował w tej chwili jak dziecko. Nie mógł przecież przewidzieć, że na Ziemi nikt nie ma już najmniejszego nawet pojęcia o tym że kiedyś taka cywilizacja w ogóle istniała. Ja zresztą myślałem wtedy podobnie. Jak mógłbym zresztą przypuścić, że świat, w którym się urodziłem, i który wydawał mi się zawsze niezniszczalny, może przeminąć tak bez śladu? Że nie ocaleje żadne, najmniejsze choćby świadectwo, wskazujące na istnienie niegdyś ludzkiego społeczeństwa, tak wysoce przecież rozwiniętego? Nawet po tym, co widziałem w czasie mojej i Arfa wędrówki po wyludnionej Ziemi, dziesięć tysięcy lat temu, nie mogłem tego przewidzieć. Dopiero trochę później miałem się przekonać, że to wszystko, co wydawało mi

się dotąd niemal wieczne, okazało się nie bardziej trwałe niż życie motyla.

- Nic głupszego nie mogłeś już chyba wymyślić - mówiła Ana do Arfa - czy wyobrażasz sobie, jaką moglibyśmy wywołać tam panikę? Nie zapominaj, że to dopiero era wczesnokosmiczna! Ludzie nie są jeszcze prawdopodobnie przyzwyczajeni do niespodziewanych lądowań pojazdów międzygwiazdnych w środku miasta.

- Tak, to rzeczywiście niezbyt mądry pomysł, Arf - włączyłem się do dyskusji. - Nie wiemy nawet, jacy są obecni ludzie. Mózg wspominał coś o wybuchach nuklearnych na powierzchni planety... Nie podoba mi się to i wolałbym najpierw obejrzeć sobie trochę ten dzisiejszy świat bez specjalnej reklamy wokół własnej osoby.

- Pożartować nawet nie można - Arf wzruszył beztrząsramionami - zrobiliście się już nie do wytrzymania poważni.

- Co się dziwisz, w naszym wieku nie zawsze musi być wesoło - odparłem.

- Wylądujemy na jakimś odludziu - powiedziała Ana.

- A potem?

- Ukryjemy Zwiadowczą i udamy się na rekonesans.

- Nie mając żadnych dokładniejszych wiadomości o świecie, w którym się znaleźliśmy? Nie znając żadnego języka? W strojach zwracających uwagę każdego napotkanego człowieka?

- Musimy spróbować, Ziemia jest już bądź co bądź planetą cywilizowaną.

- A jeśli okaże się, że ta cywilizacja odbiega zbyt daleko od naszych wyobrażeń? Jeśli nie będziemy mogli w żaden sposób znaleźć w niej miejsca? Jeżeli znienawidzimy tych ludzi, którzy tam teraz żyją? To co będzie z nami? - Arfa zaczynały dręczyć coraz większe wątpliwości.

- Może znowu zaproponujesz odlot na inną planetę? - spytała Ana z ironią.

- Żebyś wiedziała.

W twarzy Arfa dostrzegłem błysk zaciętości. I wtedy przyszło mi do głowy, że bardzo zmieniliśmy się od czasu, kiedy opuściliśmy Ziemię po raz pierwszy. Nie chodziło tu o zmiany fizyczne, bynajmniej. Zmiany zewnętrzne były niczym w porównaniu z przemianami naszych charakterów. Dopiero teraz dotarło do mnie, że staliśmy się dziwnie kłótlivi, uparci, coraz bardziej wrogo do siebie nastawieni. Dlaczego? Przecież wspólne nieszczęście, które nas wszystkich dotknęło, powinno raczej zbliżyć niż odepchnąć? Zastanawiałem się nad tym słuchając podniesionych głosów rozbrzmiewających w Zwiadowczej.

- Zapamiętaj sobie - cedziła Ana - że ja z Ziemi już nigdzie się nie ruszę. I przystosuję się do każdego warunków, nawet najgorszych! Rozumiesz! - zaczynała krzyczeć.

- To przystosowuj się sama! Ja ani myślę! - Arf krzyczał także.

- O co się kłóćcie? - musiałem się niestety wtrącić, bo już dłużej nie mogłem tego słuchać. - Nic przecież jeszcze nie wiecie. Może będzie tam wręcz wspaniale i cała wasza wymiana zdań okaże się bezprzedmiotowa? Nie uprzedzajcie wypadków.

Zamilkli. Ziemia zbliżała się ku nam i na półkuli pogrążonej w mroku nocy mogliśmy już dostrzec gdzieś migocące płomyki; to paliły się światła wielkich miast.

W wiele miesięcy później dowiedziałem się, że właśnie w tym czasie, gdy Zwiadowcza niosła naszą trójkę w kierunku Ziemi, wielu ludzi w różnych punktach planety zauważyło niezidentyfikowany obiekt latający, przesuwany się szybko po niebie. Przeglądając prasę wypożyczoną z pewnej biblioteki miejskiej, przeczytałem sporo notatek o tym, że dnia... w takich to a takich miejscach, widziano UFO, który wyglądał jak... Właśnie. Zabawne było to, że każdy z naocznych świadków relacjonujących swoje wrażenia opisywał tajemniczy obiekt zupełnie inaczej. Dla jednego był to srebrzysty dysk, dla drugiego fioletowa kula promieniująca łagodnym blaskiem, dla innego znów coś w rodzaju mieniającej się mgły... I pomyśleć, że wszyscy oni widzieli prawdopodobnie naszą Zwiadowczą, która jeżeli już w ogóle cokolwiek przypominała, to najbardziej chyba trójnogiego pająka z jednym okiem.

- Proponuję, abyśmy wylądowali na półkuli pogrążonej aktualnie w ciemnościach - powiedziałem. - Może w ten sposób uda nam się przybyć niepostrzeżenie.

- Ale jak ukryjemy Zwiadowczą? - zaniepokoił się Arf.

- Damy sobie radę.

W niedługim czasie mieliśmy się z Arfem przekonać, co w rzeczywistości oznaczały słowa Any. Że też nie tknęło nas żadne przecucie...

Wreszcie wylądowaliśmy. Ja sam wybrałem miejsce, które wydało mi się do tego celu najstosowniejsze. Długo krążyłem nad upatrzonym, zatopionym w ciemnościach lasem. Czubki drzew srebrzyły się w blasku reflektora, biały snop światła cesał wierzchołki olbrzymich drzew nie znanego mi gatunku. Szukałem odpowiedniej do wylądowania polany. W końcu Zwiadowcza opadła lekko na wybrany skrawek ziemi. Byliśmy na miejscu. Oczywiście, nie wiedzieliśmy wówczas, że znajdujemy się w lasach Kanady. Dziś myślę, że lepszego miejsca nie można byłoby chyba znaleźć nawet z najdokładniejszą mapą w raku. Wyszliśmy ze Zwiadowczej i od razu ogarnął nas chłód. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Staliśmy nieruchomo, wdychając świeże, leśne powietrze. Arf oświetlał reflektorem drzewa otaczające polanę. Wsłuchiwalismy się w tajemnicze szelesty dobiegające z głębi lasu, szmery zwierząt nocnych, poruszających się gdzieś całkiem blisko nas, szum skrzydeł niewidocznych ptaków.

- Musimy poczekać w Zwiadowczej do rana - odezwał się szeptem. - Później zostawimy tu raketkę, a sami pójdziemy dalej dowiedzieć się czegoś więcej o miejscu, w którym się znajdujemy.

- Nigdy już niczego nie będziemy przeczekiwać w Zwiadowczej - w odróżnieniu ode mnie Ana mówiła bardzo głośno. - Nikt z nas nigdy więcej nie wejdzie do Zwiadowczej, zaraz się o tym przekonacie!

Spojrzałem zaskoczony na Anę i zamarłem. Prawdopodobnie Arf zareagował tak samo, nie

zdażyłem jednak w tamtym momencie nawet na niego spojrzeć. Całą moją uwagę w owym ułamku sekundy przykuła Ana, ściskająca kurczowo w dłoniach miotacz wycelowany prosto w bielejącą w mroku raketkę. W chwilę później już było po wszystkim. W błysku miotacza Zwiadowcza dosłownie stopniała jak śnieg polany wrzątkiem. Staliśmy sami na pustej polanie. Bez słowa. Mrok zaczął się na szczęście przeredzać i w świetle szarego świtu mogłem powoli rozróżnić sylwetkę stojącej wciąż nieruchomo Any z opuszczoną głową i miotaczem leżącym teraz u jej stóp oraz Arfa siedzącego na jakimś pniaku, uporczywie się w nią wpatrującego. Po Zwiadowczej została tylko spalona tu i ówdzie trawa.

- Nie miałaś prawa tego zrobić - powiedziałem do Any. - Nie miałaś prawa decydować za nas. Nie będziemy mogli już nigdy stąd odlecieć, choćbyśmy nie wiem jak tego pragnęli. Nie będziemy też mogli sprowadzić tu kosmolotu. Pozbawiłaś nas i siebie wszystkiego. Jesteśmy teraz zdani na łaskę i niełaskę nie znanego nam świata. Jak mogłaś tak postąpić?

- Wy zdecydowaliście kiedyś za mnie - Ana nie mogła nam widać wybaczyć tamtej, dawnej decyzji odlotu z Ziemi. - Teraz ja zdecydowałam za was. Nareszcie jestem spokojna, że nikt już nie będzie mnie zmuszał do dalszych międzygwiazdnych podróży i upokarzającej wegetacji w przetrwalni. Chcę jeszcze trochę pożyć w spokoju i ocalić resztki własnej młodości. Kiedyś będziecie mi jeszcze pewnie wdzięczni za tę decyzję.

W tym momencie Arf zaczął się histerycznie śmiać i długo nie można było go uspokoić. Potem zamilkł i znów wpatrywał się w Anę płonącymi oczami. Zastanawiałem się: czy kocha ją teraz, czy też nienawidzi?...

- Chodźmy - odezwała się Ana. - Już czas. Pociągnęła Arfa za rękę. Ku memu zdziwieniu Arf wstał bez oporu i podreptał za nią. Nie pozostawało mi nic innego, jak zrobić to samo. Raz jeszcze obejrzałem się w stronę polany, jakbym chciał się upewnić, że nie ma już tam Zwiadowczej. Ale polana była pusta. Szliśmy bardzo długo nie napotkawszy po drodze ani jednego człowieka. Mogliśmy za to podziwiać piękną, dziką przyrodę, której widok kazał mi przez chwilę wątpić w realność cywilizacji, która istniała na Ziemi. „Może tu wszędzie jest tak samo dziko jak dziesięć tysięcy lat temu?” - przemknęło mi przez myśl. Szybko jednak otrząsnąłem się z tych nedorzeczości i przyspieszyłem kroku, gdyż Arf i Ana znacznie się już oddalili i mogło się zdarzyć, że zabłądzą w tej głuszy.

- Pospiesz się! - usłyszałem nawoływanie Arfa. - Trzeba przecież jak najprędzej dotrzeć do jakiegoś zamieszkanego terenu.

- A potem? - spytałem sapiąc i dysząc z wysiłku. Byłem jednak wyraźnie osłabiony po pobycie w przetrwalni i dogonienie ich nie było dla mnie takie łatwe.

- Potem zobaczymy - odpowiedziała mi Ana.

Nie miałem już siły, żeby dalej kontynuować rozmowę. Musiałem się więc zadowolić tą zdawkową odpowiedzią. Niepokoiło mnie to, że z naszej trójki ja chyba sprawiałem wrażenie

najbardziej wyczerpanego. Arf i Ana szli z wyraźną łatwością, przeskakiwali strumyki zimnej, srebrzystej wody, wspinali się na strome wzniesienia, torowali drogę wśród gęstych krzewów. Ja natomiast musiałem przystawać co kilka kroków, a gdy szedłem potykając się o wystające korzenie, czułem, jak z każdą chwilą siły opuszczają mnie coraz bardziej.

- Co ci jest? - Arf patrzył na mnie z wyraźną trwogą. Zatoczyłem się nagle na równej drodze i gdyby nie jego pomoc, leżałbym już z pewnością na ziemi.

- Nie wiem - odpowiedziałem z wysiłkiem, nawet mówienie sprawiało mi wyraźną trudność.
- Jestem chyba chory.

Ogarnęła mnie gwałtowna złość na siebie. Czułem, że zawodzę w najtrudniejszym momencie całej podróży. Bo przecież właśnie w owej chwili nasza sytuacja była najbardziej niepewna. Byliśmy bezradni i zagubieni w nieznanym nam świecie. Jak kilkuletnie dzieci. „Muszę iść” - powtarzałem sobie uparcie w myśli, zmuszając oporne nogi do dalszego marszu. Arf podtrzymywał mnie za ramię i wiedziałem, że bez jego pomocy nie byłbym już w stanie przejść choćby metra. Raz po raz wstrząsały mną gwałtowne, lodowate dreszcze, mimo iż tego dnia panowała piękna, słoneczna pogoda i po nocnym chłodzie nie pozostało nawet śladu.

- Trzeba jak najprędzej dotrzeć do ludzi - głos Any dochodził do mnie jak przez mgłę. - Chyba potrafią go z tego wyleczyć, jak myślisz?

- Z pewnością - uspokajał ją Arf. - Nie sądzę, żeby to było coś poważnego. Wyczerpanie nerwowe, doszło do tego pewnie przeziębienie. Nie martw się, ludzie bez wątpienia umieją już sobie razić z takimi chorobami.

- Ale w takiej sytuacji nie będziemy mogli pozostać nie zauważeni. Kiedy poprosimy o pomoc dla niego, wszystko się wyda.

- Zobaczymy. Musimy być dobrej myśli, najważniejsze jest przecież zdrowie Sima.

- Sądzisz, że uwierzą nam, kiedy im wszystko opowiemy?

- Nie wiem. Ale lepiej by się jednak stało, gdybyś nie zniszczyła Zwiadowczej...

- Skąd mogłam przypuszczać, że on zachoruje właśnie teraz!

- W każdym razie było to bardzo głupie.

- Arf, ja wiem, że ty mnie rozumiesz, prawda? Mówisz tak, ale rozumiesz. Ja musiałam mieć w końcu pewność, że już tu zostaniemy. Dopóki istniała Zwiadowcza, nie mogłam zaznać spokoju.

- W Zwiadowczej były lekarstwa, Ano.

- Skąd mogłam wiedzieć...

- Ale jeśli Simowi coś się stanie, zawsze będziesz się czuła winna.

- Patrz, Arf! - okrzyk Any wyrwał mnie z otepienia, w które się stopniowo zapadałem. - Wyszliśmy na jakąś drogę!

Rzeczywiście, zupełnie niespodziewanie wyszliśmy na asfaltową szosę przecinającą las.

Postanowiliśmy iść nią dalej, w nadziei, że teraz już niebawem kogoś spotkamy. W kilka minut później ujrzelśmy pierwszy ziemski samochód, który przemknął szybko obok nas i zniknął za zakrętem. Siedzący w nim człowiek, ku naszemu zdziwieniu, nie zwrócił na nas żadnej uwagi.

- Jaki śmieszny był ten samochód – zaśmiał się Arf. - Ale widziałem już kiedyś podobne w naszym podręczniku historii techniki. Pamiętam, że uczyłem się nawet na jakiej zasadzie to działa.

- Umiałbyś poprowadzić? - spytałem. Czuję się teraz lepiej, marsz po szosie był łatwiejszy.

- Sądzę, że tak, tylko skąd wziąć coś takiego?

W tym momencie usłyszeliśmy niezbyt głośny warkot i za chwilę wyłonił się przed nami drugi samochód. Ana wyskoczyła na szosę machając ręką. Pojazd przystanął i z bocznego okna wychyliła się ostrożnie czyjaś głowa. Była to głowa mężczyzny w średnim wieku, lekko łysiejącego blondyna, przyglądającego się nam z ciekawością. Ana natomiast dokładała wszelkich starań, żeby wytłumaczyć mu, w jak trudnej znaleźliśmy się sytuacji. Mówiła coś (mężczyzna oczywiście nie rozumiał), wskazując przy tym na migi, że musimy się natychmiast wszyscy troje zabrać jego samochodem. Coś z tych tłumaczeń dotarło widać do naszego nowego znajomego, gdyż bez oporów pozwolił Anie zająć miejsce wewnątrz auta. Zdecydowany sprzeciw wyraził jednak wówczas, kiedy spróbowaliśmy z Arfem pójść w ślady Any. Zatrzasnął nam po prostu drzwiczki przed nosem i zamierzał najspokojniej odjechać tylko z Aną, zostawiając nas na pastwę losu. Gdyby nie zdecydowana interwencja Arfa, który w ostatniej chwili otworzył drzwiczki pechowego samochodu i wyciągnął Anę z jego wnętrza, kto wie, czy nie kontynuowalibyśmy naszej dalszej podróży tylko we dwójkę. Wyraźnie obrażony blondyn odjechał pospiesznie wykrzykując coś do nas. Sądząc po tonie, nie było to w stosunku do nas zbyt uprzejme.

- Następny samochód ja zatrzymam - powiedział Arf. - A swoją drogą nie zaczęło się to wszystko najprzyjemniej. Teraz rozdaję wam nadajniki, które na szczęście zabrałem ze Zwiadowczej - Arf wyciągnął z kieszeni trzy małe czarne sześciiany. Założymy je, żeby w razie jakiegoś wypadku nie stracić ze sobą kontaktu. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby ten typ porwał nam Anę, co Sim?

Bąknąłem coś pod nosem zakładając niezdarnie nadajnik. Czuję się fatalnie. Na szosie znowu dał się słyszeć znajomy warkot i za chwilę Arf zatrzymał mały, biały samochodzik, załadowany po brzegi ludźmi. Usiadłem na brzegu szosy obserwując jak Arf i Ana usiłują się z nimi dogadać. W końcu Ana podeszła do mnie z miną wyraźnie zadowoloną.

- Zrozumieli, że jesteś chory, zawiozą cię tam, gdzie jest jakaś pomoc dla ciebie. W samochodzie jest tylko jedno miejsce, więc nie będziemy mogli się z tobą zabrać. Ale nie martw się, mamy nadajniki i będziemy cały czas w kontakcie. Oni napisali nam także, gdzie mamy cię później szukać - Ana wyciągnęła ku mnie kartkę zagryzoloną jakimś dziwnym

pismem, którą ścisnęła kurczowo w dłoni.

- Nie chcę nigdzie jechać bez was - wychrypiałem.

- Musisz! Jesteś przecież chory! Proszę cię, zrób to dla mnie.

W tej chwili podszedł do mnie także Arf i pociągnął w stronę samochodu.

- Wstawaj i nie marudź, bo oni się jeszcze rozmyślą. Sprawiają wrażenie zupełnie sympatycznych, chodź zobacz.

Nieznajomi powitali mnie jakimiś wesołymi okrzykami i wtłoczyli na tylne siedzenie auta. Po obu stronach miałem za towarzyszy podróży sympatycznych, jak mi się wydawało, młodych ludzi. Z przodu, za kierownicą siedział również jakiś młody mężczyzna w błękitnej bluzie. Miejsce obok niego zajmowała dziewczyna o długich, prostych czarnych włosach. Drzwiczki trzasnęły i samochód ruszył. Nie jechaliśmy jednak długo. Już po kilku minutach pojazd gwałtownie skręcił i wjechał w las. Spojrzałem zdziwiony. Moi nowi towarzysze podróży prowadzili ożywioną rozmowę nie zwracając przy tym na mnie najmniejszej uwagi. Włączyłem nadajnik.

- Arf, oni skręcili w las, nie wiem dlaczego. O, teraz samochód zatrzymał się. Wysiadają. Chcą, żebym wysiadł także...

W tym momencie poczułem silne uderzenie w tył głowy. Bezwładnie osunąłem się na ziemię. Kiedy odzyskałem przytomność, znajdowałem się już w szpitalu. Od tego momentu rozpoczął się następny etap mego życia, o którym dowiedzieć się możesz, nieznanemu przyjacielu, chociażby z prasy, rozpisującej się w swoim czasie na mój temat.

Zapewne jesteś ciekawy, jak czuję się w świecie, w którym przyszło mi teraz żyć. Odpowiedzieć na to pytanie nie jest wbrew pozorom łatwo. Zaaklimatyzowanie się w warunkach dzisiejszej cywilizacji nie przedstawiało dla mnie większej trudności. Wasz język jest dziecinnie prosty, technika - jeszcze setki lat za techniką „moich” czasów. Na początku śmieszyły mnie nawet niezdarne samochody tłoczące się na drogach, samoloty - jak gdyby żywcem wyjęte ze znanych mi podręczników historii techniki, pojazdy kosmiczne, pokonujące z trudem trasę Ziemia - Księżyc w czasie, w którym mój kosmolot dawno już opuściłby Układ Słoneczny. Jednakże szybko się do tego wszystkiego przyzwyczaiłem. Przywykłem również do ludzi, których poznałem. Zaskakiwała mnie nawet czasami ich ogromna życzliwość jaką mnie darzyli, sympatia, którą okazywali mi na każdym kroku. Szczególnie polubiłem doktora Browna i czułem nawet wyrzuty sumienia, że go oszukuję symulując amnezję, choć w rzeczywistości pamiętałem przecież wszystko doskonale. Nie mogłem jednak wyjawić nikomu prawdy i opowiedzieć o swoim życiu. Miałem ku temu powody, które za chwilę ci wyjawię.

Kiedy powróciłem do zdrowia po odnalezieniu mnie w kanadyjskim lesie, gdy oswoiłem się już trochę z nowym otoczeniem i nauczyłem ziemskiego języka, zamierzałem początkowo nie taić prawdy i wyjawić ją jakiejś zaufanej osobie. Upatrzyłem już sobie nawet doktora Browna

jako mojego ewentualnego pierwszego rozmówcę, któremu opowiem o całej tej historii.

I byłbym tak prawdopodobnie uczynił, gdyby nie Arf i Ana. Pewnego dnia pojawili się u mnie w szpitalu i podając się za reporterów jakiegoś nie istniejącego dziennika zdołali wymusić na Brownie pozwolenie na rozmowę ze mną. Muszę przyznać, że zaczynałem już wówczas wątpić czy kiedykolwiek ich zobaczę, od naszego rozstania upłynęło sporo czasu. Toteż ucieszyłem się ogromnie, gdy zobaczyłem ich nagle w drzwiach swego pokoju.

- Cześć, Sim! - Ana rzuciła mi się na szyję. - Nareszcie znowu jesteśmy razem!

Twarz Arfa promieniała.

- Świetnie wyglądasz! - wykrzyknął. - Służy ci widać tutejszy klimat. I do tego zdażyłeś już zrobić karierę. Wszystkie gazety piszą tylko o tobie.

Roześmieliśmy się wszyscy troje. Byliśmy w pokoju sami i nie potrzebowaliśmy kryć się ze swoją radością. Niestety jednak nasze spotkanie nie zakończyło się równie beztrudno i wesoło. Zaledwie bowiem wspomniałem o zamiarze ujawnienia ukrywanej dotychczas prawdy o naszej wyprawie, twarze Any i Arfa wyraźnie spochmurniały. Nie chcieli w ogóle słyszeć o wyjawieniu tajemnicy. Na nic nie zdały się dyskusje, toczone od tej pory przy każdym naszym spotkaniu (przychodzili do mnie w owym czasie dosyć często, doktor Brown zgodził się na te wizyty na moją gorącą prośbę). W końcu musiałem ulec. Tajemnica była przecież wspólna i nie mogłem sam decydować o jej wyjawieniu.

„Wasze argumenty nie są dla mnie przekonujące” - powiedziałem im, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni - ”jednakże muszę ulec im, ponieważ stanowią mniejszość. Dlatego nie wyjawię wszystkiego wprost. Napiszę jednak pamiętnik, który dopiero po mojej śmierci dostanie się w ręce ludzi. Opiszę w nim wszystko, co chcę przekazać światu”.

Po ostatniej naszej dyskusji staliśmy się sobie dziwnie obcy - zresztą dzieliły nas nie tylko poglądy, ale również odmienne doświadczenia i warunki, w których przebywaliśmy. Ja zgłębiałem w wygodnym sanatorium tajniki ziemskiej wiedzy, Arf i Ana borykali się z trudnościami aklimatyzacji wśród nie znanego im społeczeństwa ludzkiego. Ja pragnąłem już tylko spokoju, nawet za cenę wolności - oni uparcie nie chcieli z niej zrezygnować. Domyślałem się, co skłania ich do dalszego, bezustannego borykania się z losem. Gdybym to ja pozostał z Aną, też bym pewnie nie zrezygnował...

Moje przeczucia okazały się prawdziwe. Nie zobaczyłem ich już więcej. Nawet specjalnie za nimi nie tęsknię. Czuję się coraz bardziej daleki od tego wszystkiego co mnie otacza. Jestem zupełnie sam. Najwięcej czasu zabiera mi czytanie. Szczególnie interesuje mnie historia i archeologia - chcę wiedzieć, co działo się na Ziemi w okresie mojej nieobecności. Nie oszałamia mnie jednak ilość wydarzeń, które miały tu miejsce w owym czasie, ilość kultur jakie zdażyły pójść w zapomnienie prawie równie dokładnie jak ta, z której ja wyszedłem. Bowiem trzynaście tysięcy lat to okres bardzo długi. Moja cywilizacja nie potrzebowała aż takiej ilości

czasu na zbudowanie swojej potęgi. Zastanawiasz się, dlaczego? Ja też o tym myślałem. Może dlatego, że nie było wtedy tylu wojen. Wbrew niektórym twierdzeniom wojny nie są najlepszą metodą na przyspieszanie rozwoju nauki i techniki.

Od mniej więcej dwóch miesięcy mam dziwne uczucie - wydaje mi się, że śmierć zbliża się ku mnie, niespiesznie co prawda, lecz nieodwracalnie. Trudno mi zresztą odgadnąć jakąś konkretną przyczynę tego przecucia. Niby jestem zdrowy i nic mi nie dolega, a jednak...

Wiem, że to już koniec. Dlatego proszę cię, mój nieznany przyjacielu, pilnuj tych notatek za które musiałem zapłacić długą samotnością i stratą dawnych przyjaciół. Być może Ana i Arf zechcą je zdobyć i wpadną na twój ślad. Z chwilą mojej śmierci poczują pewnie niepokój o własną przyszłość... A wtedy nie wiem nawet, co się może stać. Nie same notatki są zresztą najważniejsze...

KONFRONTACJA

29 października 19.. roku

Jakub Graves wbił we mnie swoje smutne, znużone oczy.

- Powiedziałem już panu wszystko. Wiem, że moja sytuacja jest teraz beznadziejna. Jak długo jednak można uciekać? Pewnie i tym razem udałoby mi się jeszcze wymknąć. Ale już nie chciałem. Chociaż mam dopiero trzydzieści cztery lata, czuję się stary i zmęczony.

- Widzi pan jak zmieniają się sytuacje – mówił dalej - przy pierwszej naszej rozmowie w restauracji zabawialiśmy się nawzajem grzecznościową konwersacją o archeologii, religiach i bogach. Postronnemu obserwatorowi sprawy te wydawałyby się zapewne abstrakcyjne i odległe. Była to rozmowa, na jaką mogą sobie pozwolić syci i spokojni ludzie. Ja natomiast byłem znękany i zgłodniały. Zgłodniały ludzkiego towarzystwa i rozmowy. Także i te fakty zadecydowały o tym, że się poddałem. Wiem, proszę niech pan nie zaprzecza, Arfie, bo tak chyba panu na imię, wiem, że niedługo podzielę los profesora Carelia i doktora Browna. Bóg raczy wiedzieć, czyj jeszcze. O, przepraszam - Jakub zachnął się - to z przyzwyczajenia... Chciałem powiedzieć, że pan wie o tym z pewnością! Ciekaw jestem tylko, w jaki sposób zejść z tego świata... wypadek? czy też...

Wstrzymałem Jakuba ruchem ręki. Chyba nadeszła już właściwa chwila. Nie mogłem przedłużyć jej w nieskończoność.

- Nie, Jakubie, a raczej Patryku - takie jest przecież pańskie prawdziwe imię - nie, to wszystko nie tak. Proszę zresztą chwilę poczekać.

Szybko podszedłem do telefonu i wykręciłem znajomy numer. Nie chciałem już dłużej niepokoić Patryka, rzuciłem więc do słuchawki tylko parę słów:

- Wszystko w porządku. Nareszcie plan wykonany - a zauważywszy, jak Patrykiem wstrząsnął dreszcz w reakcji na moje słowa - dodałem: - przyjdź możliwie najszybciej.

Odłożyłem słuchawkę na widelki. Patryk siedział jak skamieniały. Rzucił mi pytające spojrzenie.

- Ktoś do nas jeszcze przyjdzie - wyjaśniłem.

- Ana??? - prawie wyszeptał Patryk.

Skinąłem głową.

- Arfie, niech się pan już nade mną nie znęca. Przecież sam przyszedłem do pana. Naprawdę wolałbym, żeby to się już skończyło... Chyba i tak dość długo bawiliśmy się w kotka i myszkę.

- Proszę się nie obawiać, Patryku. Sytuacja doprawdy nie przedstawia się tak, jak pan to sobie wyobraża. Być może to moja wina, że pan tak myśli: Patryku, nic panu nie grozi!

Spojrzał na mnie jak na postać z zaświatów. Co prawda po części nią byłem, chyba jednak w trochę innym sensie. Uśmiechnąłem się do swoich myśli - byłem swego rodzaju „duchem”!

- Jak to „nic mi nie grozi”? Co pan chce przez to powiedzieć? W jakim sensie nic mi nie grozi? Nie rozumiem pana.

Przyznam się, że nie spodziewałem się aż tak wielkiego zaskoczenia.

- Teraz ja nie rozumiem. Czego pan oczekuje?

Przerwało mi cichutkie pukanie do drzwi. Patryk rzucił mi kolejne pełne lęku spojrzenie. Zauważyłem, jak wcisnął się głębiej w swój fotel, najchętniej w tej chwili zapadłby się chyba pod ziemię. Do pokoju weszła Ana. Była w pięknie haftowanej indyjskiej sukni, która wspaniale podkreślała jej zgrabną sylwetkę. Rozpuszczone długie, jasne włosy sprawiały, że wyglądała jak królewna z bajek dla dzieci, albo bogini... Przez moment znów zobaczyłem ją w perłowym kosmicznym skafandrze, dostrzegłem różnicę i zrozumiałem, czego jeszcze tak bardzo było jej brak w czasie naszej długiej podróży.

Ana z uśmiechem na ustach przyglądała mi się również. W porę przypomniałem sobie o Patryku i jego strachu. Postanowiłem rozładować atmosferę.

- Patryku, pozwól, że przejdziemy na „ty” - oto Ana.

- Wiem, wiem. Znamy się przecież, spotykaliśmy się już wiele razy. W przeciwieństwie do pana, ciebie... - zwrócił się do mnie - którego znałem dotąd, do naszego spotkania w restauracji, tylko z „testamentu” Dominika.

Zadzwoiłem na pokojówkę i zamówiłem dla nas wszystkich kawę, ciasta i owoce.

- Musimy uczcić nasze spotkanie - wyjaśniłem ciągle jeszcze nic nie rozumiejącemu Patrykowi. - Proponuję, abyśmy dokonali wzajemnej prezentacji, tym razem prawdziwej. Odgadłeś moje imię, Patryku, ale nie znasz nazwiska. Jestem Arf Kan.

- Patryk Sengal.

- Ana Fer.

Podaliśmy sobie dłonie. Chciałem koniecznie wyciągnąć Patryka z otchłani depresji, w którą wbrew moim poczynaniom, pogrążał się coraz bardziej.

- A jak... jak nazywał się... Dominik? Sim...? - zapytał cicho po chwili.

Spojrzeliliśmy na siebie z Aną. Zapomnieliśmy o „Dominiku”...

- Sim Hal - jeszcze ciszej odpowiedziała Ana.

- Patryku, jesteśmy ci winni kilka wyjaśnień - Ana mówiła miękkim, niskim głosem. - Uważasz nas, jak zdołałam się zorientować, za parę morderców i przestępców. Jesteś w błędzie. Patryku, nie chcemy ani nigdy nie pragnęliśmy niczyjej zguby, a tym bardziej śmierci. Wypadki, w których i ty odegrałeś wielką rolę, sprawiły, że miałeś wszelkie prawo tak uważać. Ale to nieprawda, Patryku. Rzeczywiście byłeś śledzony, ale działaliśmy w dobrej wierze i możesz być pewien - nigdy nie żywiliśmy w stosunku do ciebie żadnych zbrodniczych zamiarów. Taka jest prawda, Patryku.

Ana przerwała na chwilę i spojrzała na Patryka, do którego zdawały się w ogóle nie docierać

jej słowa. Siedział dalej skulony, prawie skamieniały, z poszarzałą, zmęczoną twarzą. Sprawiał wrażenie nieobecnego. Zrozumieliśmy się z Aną bez słów - trzeba było rozwiązać tę sprawę inaczej. Patryk nie nabrał do nas, pomimo tych wszystkich zabiegów, zaufania. Ale byliśmy przygotowani i na to. Ana sięgnęła do torebki i podała gościowi małą prostokątną paczuszkę.

- Słuchaj Patryku, chcieliśmy wyjaśnić ci wszystko osobiście, ale wiemy co czujesz. Nie zaprzeczaj, wietrzysz jakiś podstęp... Może więc to nagranie przekona cię o naszych prawdziwych intencjach. Prosimy cię tylko o jedno: w zamian za to oddaj nam notatki Sima.

- Co to, to nie! - wykrzyknął prawie Patryk. - Skąd mogę wiedzieć, co jest na tej taśmie i co wy jeszcze knujecie. Nie oddam wam notatek. Zresztą nie macie do nich żadnego prawa, to nie do was pisał Domi... Sim.

- No cóż, może jeszcze zmienisz zdanie - Ana nie rezygnowała. - Weź tymczasem taśmę i przyjdź tu jutro po południu. Będziemy na ciebie czekać. Jeśli oczywiście zechcesz - dodała.

- Mam inny pomysł, Ano - wtrąciłem się. Z pewnych przyczyn wołałem, aby Patryk zbytnio się od nas nie oddalał. - A może pozostałbyś w tym pokoju - Patryk spojrzał na mnie zdziwiony - a zamiast ciebie opuścimy go my z Aną. Zależy ci przecież na szybkim finale tej długotrwałej historii. Nam także. Zostawimy cię tu po prostu samego, magnetofon do odtworzenia taśmy znajdziesz na półce, a kiedy skończysz - zadzwoń pod ten numer telefonu. Będziemy czekać.

- Zgoda - odparł Patryk. - Możecie iść.

Nie odeszliśmy daleko; pokój, który zajmowała Ana, przylegał do mojego. Ana cichutko otworzyła drzwi. Nie zapalając światła usadowiliśmy się w stojących obok siebie fotelach. Z sąsiedniego pomieszczenia nie dobiegały nas żadne dźwięki. Wskazałem w milczeniu na drzwi prowadzące na taras łączący nasze pokoje. Ana otworzyła je i powoli wysunęliśmy się na balkon. Poprzez przejrzyste firanki, sami niewidzialni w ciemnościach, ujrzeliśmy skuloną postać: Patryk siedział bez ruchu, zatopiony w rozmyślaniach.

Wróciliśmy do pokoju Any.

Dopiero po dłuższej chwili dobiegł mnie łagodny, melodyjny głos mojej towarzyszk. Spojrzałem na Anę. Siedziała w milczeniu. To Patryk uruchomił magnetofon. Mimo woli wysłuchałem nagrania jeszcze raz.

Zdziwisz się zapewne, Patryku, wysłuchawszy opowieści z taśmy, ale pamiętaj: wszystkie te wypadki rozegrały się naprawdę - mówiła Ana. - Wtedy, tuż po wylądowaniu na Ziemi, w podróży w skafandrach, utraciwszy kontakt z Simem, w pierwszej chwili, gdy umilkły jego rozpaczliwe okrzyki, nie wiedzieliśmy, co robić, jak mu pomóc. Potem, gdy w nadajnikach zaległa cisza, rzuciliśmy się z miotaczem w rękę w kierunku lasu, do którego nieznajomi uprowadzili naszego kolegę. Krążyliśmy wokół miejsca, gdzie według naszych obliczeń powinien znajdować się Sim. Nasze nawoływania nie pomogły. Sim znikł bez śladu.

- Co robimy, Arf? Szukamy dalej?

Arf sięgnął do kieszeni po uniwersalny zestrzajacz czasu. - Nie, Ano. Nie możemy dłużej pozostać w tym miejscu, a tym bardziej w takim stroju. Teraz na Ziemi jest już prawie ósma, wzmagają się ruch. Ktoś mógł zauważyć nasze lądowanie. Co prawda, po Zwiadowczej oprócz wypalanej na polanie trawy nie pozostał nawet najdrobniejszy ślad, ale musimy być bardzo czujni. Zwróć uwagę na nasze stroje, na miotacz. Ktoś, kto by nas spotkał, mógłby przysporzyć nam mnóstwa niepotrzebnych kłopotów. Zdecydowałaś Ano za wszystkich, teraz musisz być konsekwentna - nie możemy pozwolić sobie na popełnienie najmniejszego błędu.

- Ale co z Simem?

Jakoś nie mogłam się pogodzić z myślą o utracie Sima.

- Co się z nim dzieje? Arf, nie możemy go przecież tak zostawić!

- Niestety, Ano, musimy wierzyć w to, iż odwieziono go w końcu do szpitala. Zresztą sama widzisz, nigdzie go nie ma.

- No tak, może masz rację, Arfie. Musimy się teraz koniecznie przebrać. Dobrze, ale w co?

Dalej jednak przeszukiwaliśmy las, ale Sima nie było nigdzie.

- A swoją drogą, Ano - odezwał się Arf - ci Ziemianie nie, należą do zbyt sympatycznych. Mogłaś jeszcze poczekać ze swoją decyzją. Chociaż ze dwieście - trzysta lat. Wtedy nasze zaaklimatyzowanie się w tym środowisku byłoby o wiele łatwiejsze.

- Och, Arf, czy ty zawsze musisz być ze wszystkiego niezadowolony? Zobaczysz, że będzie dobrze. Spróbujemy żyć jak oni, będziemy pracowali...

O, właśnie, Ano, mówisz: „pracowali” - powiedz więc, jak ty to sobie wyobrażasz? Przecież nie znamy nawet ich języka. Miałaś już próbkę rozmowy z tubylcami... Ale pomijając nawet kwestię języka, którego zawsze można się nauczyć, powiedz mi, co my możemy tu robić?

- Wiesz, Arfie, że z tobą naprawdę niedługo nie będzie można wytrzymać. Zaledwie przybyłeś na Ziemię, jeszcze jej dokładnie nie zobaczyłeś, a już narzekasz. Przecież nie wiesz nawet, jak wyglądają miasta, co robią w nich ludzie. Osądzasz Ziemian na podstawie kilku przypadkowo spotkanych osób. To tak, jakby jakiś Ziemianin przybył, oczywiście podróżując w czasie, na teren naszego dawnego Ośrodka i natknął się na Kera. Pamiętasz, jaki był niesympatyczny? To prawda, że napotkane osoby nie zachowały się tak, jak powinny, ale nie możemy na tej podstawie osądzać wszystkich mieszkańców globu.

Szliśmy cały czas przed siebie.

- Całe szczęście, że zabrałem ze sobą „Mika” - rzekł pojednawczo Arf. - Przynajmniej wiemy teraz, dokąd iść. „Mik” mówi, że o dwadzieścia kilometrów stąd znajduje się jakieś duże miasto. Musimy tam dojść.

- W takim stroju? Ja już doprawdy nie mam siły! A poza tym nie ciesz się tak „Mikiem”, zaraz i tak go wyrzucisz. Musimy zatrzeć za sobą wszystkie ślady.

„Mikiem”, Patryku, nazwaliśmy nasz minikomputer, jedyny, jaki Arf zabrał ze sobą na szczęście z kosmolotu. Na szczęście, bo gdyby nie on, nie wiem, czy ta nasza eskapada znalazłaby pomyślne zakończenie.

Spojrzałam na Arfa, zastanowiło mnie bowiem jego długie milczenie. Arf wpatrywał się jak urzeczony w jasny ekranik komputerka.

- Ano, zobacz: „Mik” wskazuje obecność jakiegoś dużego metalowego przedmiotu w pobliżu nas, zaledwie o dwa kilometry stąd. Może to jakaś inna Zwiadowcza? Chodź Ano, trzeba to sprawdzić.

Nie była to jednak żadna Zwiadowcza. Na skraju polany pobłyskiwał w słońcu duży zielony samochód.

Rozejrzeliśmy się. Wokół nas nie było żywego ducha.

- Arfie, czy o takich właśnie samochodach kiedyś wspominałeś? To znaczy chciałam spytać, czy umiałbyś „to” uruchomić?

- Zaraz zobaczymy.

Na twarzy Arta pojawił się uśmiezek małego chłopca, który, nawiasem mówiąc, bardzo u niego lubiłam. Otworzył drzwiczki. Nie były zamknięte. Zaprosił mnie gestem ręki, abym usiadła obok niego. Chwilkę manipulował przy stacyjce: coś włączał i przekręcał jakieś gałki. Naraz zasepił się:

- Nic z tego. Brakuje kluczyka.

Ale nie miał racji. Kluczyka nie brakowało. Po prostu leżał tuż pod naszymi stopami. Coś zazgrzytało, zachybotało i za moment ruszyliśmy. Śmiać mi się chciało na myśl, że takimi wehikułami będziemy teraz jeździć do końca życia.

- Arfie, jak zawrotną prędkość możemy „tym” rozwinąć?

- „Aż” sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę!

- Ależ to czyste szaleństwo!

Bawiłam się doskonale.

- Jesteś okropna, moja droga. Uważaj, żeby cię nie usłyszał żaden Ziemianin. Dopiero miałabyś się z pyszna...

Zaledwie ujechaliśmy kawałek, gdy Arf zatrzymał samochód.

- Wysiadamy, Ano. Musimy zniszczyć pozostałości po naszej cywilizacji.

- Dobrze, ale co z ubraniem? Nie mogę przecież chodzić nago!

Arf uśmiechnął się.

- Byłby to chyba dość ciekawy widok, co, Ano?

- Przestań, Arf.

Tymczasem mój towarzysz zaczął coś majstrować z tyłu samochodu.

- Ano, zwycięstwo! Zobacz, co znalazłem! Podbiegłam do niego. Nie wierzyłam własnym

oczom! W bagażniku naszego zielonego znaleziska leżały prawdziwe, ziemskie ubrania. Dokładnie takie, jakie widziałam na właścicielach samochodu uwożącego Sima. Już za chwilę nasze kombinezony leżały obok auta, a my przyglądaliśmy się sobie z rozbawieniem.

- Ojej, Ano, wyglądasz jak własna pra-pra-pra-pra-babka. Widziałem takie suknie w jakiejś starej encyklopedii.

- A ty, Arf, przypominasz mi manekin z Muzeum Człowieka!

- Zobacz, coś tu jeszcze jest!

Arf wyciągnął jakieś kartoniki ze zdjęciami.

- To na pewno ich dokumenty. Weź, może przydadzą się i nam.

Arf zabrał wszystkie te zapisane karteczki i włożył do pojemnika w kabinie. Ucieszyliśmy się jeszcze bardziej, gdy znalazłam na tylnym siedzeniu portfel z kolorowymi papierkami.

- Spójrz, Arf, to chyba są pieniądze! Oni są jeszcze na etapie gospodarki towarowo-pieniężnej, uczyłam się kiedyś o tym. Wtedy wydawało mi się to przezabawne, a dziś sama będę w tym uczestniczyć. Kapitalne!

- Ano, zachowujesz się jak dziecko! I oni dojdą przecież kiedyś do systemu bezpięnego. Potrzeba im tylko czasu. Wiesz Ano, jakieś dwieście - trzysta lat...

- Dostyc Arfie, nie chcę słyszeć o żadnych trzystu latach. Postanowiliśmy przecież żyć teraz i ani słowa na ten temat.

- No dobrze, już dobrze. Zaczynaj, Ano - przynagłał mnie Arf.

Nasze kombinezony i nadajniki leżały na ziemi. Sięgnęłam po miotacz.

- Czy o niczym nie zapomniałeś, Arfie?

- Nie, skądże.

- Czyżby? A „Mik”? „Mika” połóż tam także.

Arf z niechęcią, ociągając się wyjął komputer z kieszeni.

- Żegnaj „Mik”...

Włączyłam miotacz. Za sekundę było już po wszystkim: po stercie leżących rzeczy nie zostało ani śladu.

Nie pozostało mi już nic innego, jak nastawić miotacz na samounicestwienie z opóźnionym wyzwalaczem czasu. Potem szybko wsiedliśmy do samochodu. Kiedy odjechaliśmy kawałek, w miejscu, w którym zostawiliśmy miotacz, pojawiła się jedna, jedyna błyskawica i już było po wszystkim. Byliśmy teraz zdani tylko na własne siły. Najbliższe miasto rzeczywiście leżało o dwadzieścia kilometrów od miejsca, w którym znaleźliśmy samochód. Dojechaliśmy doń bez przeszkód. I właśnie zastanawialiśmy się z Arfem co dalej robić, gdy naraz ujrzałam jakąś ogromną planszę, a na niej szereg kolorowych strzałek wiodących w jednym kierunku. Postanowiliśmy przekonać się dokąd prowadzą, zresztą co tu dużo mówić, nie mieliśmy innego wyjścia. Okazało się, że postąpiliśmy słusznie - strzałki bowiem zaprowadziły nas do hotelu.

Wtedy oczywiście nie mieliśmy jeszcze pojęcia o tym, że to jest właśnie hotel, ale wszystkiego można się przecież domyślić, trzeba tylko uważnie patrzeć.

Kiedy więc barwne znaki zawiodły nas przed jakiś spory budynek, nie bardzo widzieliśmy, jakie funkcje ten budynek pełni. Przez dłuższy czas siedzieliśmy w samochodzie i obserwowaliśmy okolicę. Przed dom co kilka minut zajeżdżały jakieś pojazdy, wysiadali z nich ludzie z przeróżnymi bagażami i wchodzili do środka, wprowadzani przez drobnego człowieka w śmiesznym uniformie. Drzwi otwierały się bez przerwy, a człowiek ten kłaniał się uniżenie, gdy przechodzili obok niego, i krzywił niemiłosiernie, gdy go już minęli.

Po chwili namysłu postanowiliśmy również spróbować szczęścia i - udało się - znaleźliśmy nareszcie schronienie. Co prawda portier przyglądał się nam z początku dziwnie, ale kiedy podaliśmy mu, naśladując innych, znalezione dokumenty, bez słowa podał nam klucz do pokoju.

Pokój ten, Patryku, niczym nie różnił się od tych, w których ty spędziłeś ostatnie lata ale na nas wywarł dość przykre wrażenie - jakiejś ascetycznej, wprost surowej celki. Były w nim dwa łóżka, stolik, cztery krzesła, szafa z lustrem oraz półka na której stało radio i telewizor. Jakże ubogie było to wyposażenie w porównaniu z superkomfortowymi hotelami naszych czasów! I tak właśnie zaczęło się nasze nowe życie. Wiele nauczyliśmy się. Ogromnie pomagał nam w tym telewizor. Przez pierwsze dni spędzaliśmy przed nim każdą chwilę. Naśladowaliśmy aktorów, starając się jednocześnie zrozumieć co mówią, kopiowaliśmy ich sposób poruszania się, reagowania, gestykulację. Filmy i audycje pogładowe pozwalały nam zrozumieć znaczenia poszczególnych słów i całych wyrażen. A rozumieliśmy ich coraz więcej. Najkorzystniejsze były dla nas lekcje języków obcych. W ten sposób nauczyliśmy się podstawowych zwrotów w kilku językach: francuskim, niemieckim, włoskim. Po angielsku potrafiliśmy już sklecić kilka zdań. Czas upływał nam na zdobywaniu tych wiadomości. Na razie nie odważyliśmy się wychodzić na dłuższe spacerki. Posiłki przynoszono nam do pokoju, więc byliśmy w dość sprzyjającej sytuacji.

Nadal nie wiedzieliśmy, co się dzieje z Simem. Arf przypuszczał, że prędzej czy później przeczytamy coś o nim w gazecie, ale na razie z przyczyn „technicznych” było to nierealne - nie umieliśmy przecież czytać. Gazety jednak dostarczano nam codziennie - wraz z posiłkami - więc składaliśmy je na z dnia na dzień rosnącą stertę. Wieczorami wyglądaliśmy przez okno, wpatrując się w światła gwiazd, a szczególnie w jedno nikłe i zamglone, ale tak nam bliskie - w światło naszego zawieszonoego w próżni kosmolotu.

- Stoi tam jeszcze, spójrz jaki samotny - powiedział któregoś wieczora Arf, przerywając tym samym tę niezaplanowaną znowę milczenia.

- Więc wyobraź sobie Arfie, jak bardzo samotna musiała być w nim ta Ana, Arf i Sim.. Przez tyle tysięcy lat zawieszeni nad Ziemią, uśpieni bądź też nie, ale sami, sami tak daleko.

- Masz rację Ano, to nie było życie.

- A on (wskazałem na kosmolot) poczeka jeszcze trochę i tak, jak to było zaprogramowane,

też odleci. Pojawi się dopiero za równe dwieście pięćdziesiąt lat żeby znów na nas czekać, a Ziemiańskie powiedzą, że zauważyli nową kometę.

I rzeczywiście, kosmolot znikł po prostu któregoś wieczora - wyzwolona energia pokierowała nim ku przeciwległemu odcinkowi Drogi Mlecznej - tym razem jednak odleciał bez nas.

Zostawiony na parkingu samochód znikł również; byliśmy nawet mimowolnymi świadkami tego wydarzenia. Otóż obudziły nas kiedyś krzyki na ulicy. Szybko wyrzłam przez okno i zobaczyłam jak jakiś wysoki, młody mężczyzna woła policję, wskazując przy tym na samochód. Wkrótce potem w asyście policjantów wsiadł do niego i odjechał. Dopiero dużo później natrafiliśmy na notatkę w jednej z gazet. Dowiedzieliśmy się z niej, że dnia tego to a tego z pobliskiego lasu zginął samochód marki „Opel Rekord 1900S”, pozostawiony tam przez niejakiego A. Lotmana. Notatka opatrzona była tytułem „Arcyśmieszna przygoda niefortunnego podrywacza”, okazało się bowiem, że pan A.L. wybrał się na przejażdżkę ze swoją nowo poznaną sympatią, ale niestety z powodu kradzieży wozu i pozostawionych w nim ubrań zmuszony był wracać do domu w stroju adamowym. Dziennikarz podkreślił galanterię z - jaką zachował się pan A.L., oddając jedyny kocyk narzeczonej, której stroje zniknęły również.

Zapytana o to wydarzenie pokojówka powiedziała nam, że ta historia była rzeczywiście bardzo zabawna, a ten Lotman to też musi być jakiś wesoły facet. Zdziwiliśmy się z Artem.

- Dlaczego tak sądzisz, Susan? - zapytał Art.

- Jak to, dlaczego? Przecież ten samochód tutaj stał i stał, a on starał się nam wmówić, że mu skradziono. Kto by tam się zląkomił na takiego starego grata? A poza tym, jeśli by rzeczywiście ukradł, to przecież nie po to, żeby go tu postawić, prawda?

- No, ale w takim razie skąd tu się wziął? Chciałam wyciągnąć z Susan wszystko, co wie na ten temat.

- Pewnie ktoś mu zrobił głupi kawał - zaśmiała się dziewczyna. - Mówił też, że skradziono mu dokumenty, ale nikt w to nie uwierzył.

- Dlaczego?

- Wszyscy go tu znamy. Nieraz lubi sobie wypić. Myślę, że zostawił je gdzieś po pijanemu.

Temu to więc faktowi zawdzięczaliśmy nasze wybawienie. Arf był oficjalnie Adamem Lotmanem, ja natomiast występowałam - tu niespodzianka i dla mnie, i dla ciebie Patryku - jako Anna (co za zbieżność imion) Careli. Oczywiście na razie nie korzystaliśmy z tych dokumentów, zresztą nie były nam teraz potrzebne, ale w przyszłości... sam przecież wiesz najlepiej.

Musisz przyznać, Patryku, że był to nadzwyczajny zbieg okoliczności - dziewczyna „prawdziwego” Lotmana nosiła imię tak podobne do mojego, a nazwisko identyczne jak twój przełożony. Później więc, kiedy podawałam się za Annę Careli, mogłam się w każdej chwili wylegitymować znalezionymi dokumentami. Oczywiście początkowo nie zdawaliśmy sobie

sprawy z tego, że popełniamy przestępstwo - zrozumieliśmy to dopiero później, gdy wreszcie udało nam się posiąść naukę czytania. Rzuciliśmy się wtedy hurmem na leżące w kącie czasopisma. Szukaliśmy wiadomości o naszym przyjacielu. I szczęście nam dopisało - znaleźliśmy! Z informacji tej dowiedzieliśmy się, że Sim żyje i znajduje się w szpitalu oddalonym tylko o pięćdziesiąt kilometrów od naszego miasta. A ponieważ nasza znajomość angielskiego poprawiała się z dnia na dzień i mogliśmy już prowadzić konwersację (dużo zawdzięczaliśmy naszej pokojówce), zaryzykowaliśmy odwiedzinę u Sima. Była to nasza pierwsza „prawdziwa” wyprawa, oboje bardzo ją przeżywaliśmy. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z wrażeniem, jakie wywarł na nas widok Sima.

Prawdę powiedziawszy, byliśmy wprost zdruzgotani jego widokiem; Sim bardzo schudł, był błądy i jakiś dziwnie nerwowy. W pierwszej chwili ucieszył się naszą wizytą, ale później spochmurniał i zasepił się. Opowiedział nam, co działo się z nim od momentu, w którym rozstaliśmy się, jak ci młodzi ludzie na niego napadli, jak go pobili i ograbili ze wszystkiego co miał. Stracił potem przytomność i sam nie wie w jaki sposób znalazł się w szpitalu, ani kto go uratował od niechybnej śmierci. My zrewanżowaliśmy się opowieścią o naszych losach i zaległa cisza. Intuicyjnie wyczuwaliśmy, że Simowi coś leży na sercu.

- O co chodzi, Sim? - zapytał Arf.

Sim obrzucił nas długim, uważnym spojrzeniem, najpierw Arfa, potem mnie.

- Mam zamiar wszystko wyjawić - odparł.

- Jak to „wszystko wyjawić”? Chyba nie masz na myśli naszej historii!!! - wykrzyknęliśmy.

- Tak, dokładnie to miałem na myśli. Właśnie to - powtórzył raz jeszcze, kładąc nacisk na każdym słowie.

- Ależ, Sim, to nie ma sensu - starałam się zachować „zimną krew” - zrozumi, przecież nikt nam nie uwierzy ani nie zrozumie. W najlepszym wypadku posądzą cię o bujną fantazję. A poza tym w jaki sposób udowodnisz, że to prawda? Przecież nie masz żadnych dowodów!

- Nadajniki.

- Nadajniki już nie istnieją.

- A te, które skradziono mi wraz z ubraniami?

- Spróbuj je odszukać... Z pewnością to ci się nie uda. Nie poznałeś jeszcze Ziemiań? Któż przyzna się teraz do kradzieży, a tym bardziej - napaści?

- A miotacz? - nie dawał za wygraną Sim.

Miotacza także już nie ma.

- Niemożliwe, to zupełnie niemożliwe. Chyba nie...

- Tak, Sim, właśnie tak: samounicestwienie.

- To okrutne - jęknął Sim.

Zbladł przy tym tak bardzo, że Arf uszczyptał mnie w rękę i szepnął: - Przestań, Ano. Ale

Sim nie rezygnował.

- Jest jeszcze kosmolot, jego przecież nie mogliście zniszczyć.

Spojrzeliliśmy z Arfem na siebie. No tak, Sim przez swoją chorobę zatracił poczucie czasu i rzeczywistości.

- Sim... - zaczęła cichutko - Sim, minęło już sporo czasu od chwili, kiedy opuściliśmy kosmolot... Czy pamiętasz, jak był zaprogramowany? A to już dwa miesiące - dodałam jeszcze ciszej. Bałam się, że ta wiadomość może go załamać. Nie miałam jednak innego wyjścia.

- A więc odleciał...

Sim odwrócił się do ściany, tyłem do nas. Staliśmy jeszcze przez chwilę obok jego łóżka, aż weszła pielęgniarka i delikatnie dała nam do zrozumienia, że czas już kończyć wizytę. Sim był zmęczony.

Później byliśmy w szpitalu u Sima kilkakrotnie, ale z każdą naszą wizytą było coraz gorzej. Upierał się przy swojej koncepcji wyjawienia prawdy i w żaden sposób nie mogliśmy mu tego wyperswadować. Nie przemawiał do niego żaden argument. Został mi tylko jeden atut - dla mnie najważniejszy.

- Sim, przecież z chwilą wyjawienia prawdy, nawet, gdy uda nam się wszystko udowodnić, już nigdy nie zaznamy spokoju. Zewsząd będą nas oblegali dziennikarze, naukowcy, lekarze przeróżnych specjalności. Rozpoczną się nie kończące się wywiady i wyjaśnienia, a nasze życie stanie się koszmarem. Wszyscy będą nas obserwować, podglądać, komentować każde posunięcie. Będziemy wyizolowani - taka oto będzie konsekwencja tego stanu rzeczy. Sim, ja chcę normalnie żyć, rozumiesz? Chcę założyć rodzinę, mieć dzieci, męża, kochać i być kochaną!

- Przez Arfa, co?!

- Ależ, Sim, jak możesz! Przecież chyba nigdy nie...

- Przepraszam cię, Ano, zdenerwowałam się. Nie chciałem tego powiedzieć. To moja wina. Postaraj się jednak zrozumieć mnie także; posiadamy przecież klucz do przyszłości, możemy pomóc ludziom w rozwiązaniu wielu istotnych problemów, dysponujemy wielką wiedzą. Możemy wskazać im właściwą drogę, zapobiec niejednemu konfliktowi, a może nawet wprowadzić ich w wiek, co najmniej, dwudziesty drugi. Czy wyobrażasz sobie, jak wiele dobrego możemy uczynić?

- To wszystko mrzonki, Simie. Nikt nas nie potraktuje serio, przekonasz się.

Teraz wiem, Patryku, że trochę się myliłam. Ty byłeś właśnie tym człowiekiem, którego miał na myśli Sim i który rzeczywiście odebrał jego intencje właściwie.

- Nie wierzę w to, co mówicie - powiedział Sim - i bądźcie pewni, że niczego się nie ulękę. Opowiem światu, co przeżyłem, i nie obchodzi mnie, jak zostanę zrozumiany. Muszę tylko znaleźć właściwego adresata.

- Nie masz chyba zamiaru pisać wspomnień? - spytał Arf.

- Wyobraź sobie, że właśnie mam, a wy nie jesteście w stanie mi przeszkodzić.

- To się jeszcze okaże!

Zabrzmiało to jak groźba, którą nie wiadomo dlaczego wypowiedział Arf.

Później przewieziono Sima do Europy, do sanatorium w Szwajcarii. Zdołaliśmy go jeszcze zobaczyć zaledwie parę razy.

Pojechaliśmy do Szwajcarii. Sim, niestety, czuł się coraz gorzej. Ziemianie tego nie zauważali, ale my, znając go doskonale, widzieliśmy każdą najdrobniejszą oznakę choroby niczym przez szkło powiększające. Pogorszeniu uległ także jego stan psychiczny. Nie chciał z nami początkowo rozmawiać. Jedynym naszym sukcesem było wydobycie odeń wyznania, że nie ujawni wspomnień za życia, nie zrezygnował bowiem ze swoich zamiarów. Co więcej - wprowadził je w czyn i trzeba przyznać, że zrobił to dość sprytnie. Spisał swoje wspomnienia, ale jak!

Ty, Patryku, oczywiście wiesz - zapisywał je za pomocą pisma klinowego. Zawsze był diabelnie sprytny!

Pomimo wszystko, próbowaliśmy jeszcze mu to wyperswadować, ale w zamian usłyszeliśmy tylko tyle:

- Czuję, że słabnę z każdym dniem coraz bardziej, Wiem także, że nie ma dla mnie ratunku. Nie mogę ocalić siebie, ale może uda mi się zrobić jeszcze coś dla nich - ruchem ręki wskazał na świat za oknami pokoiku. - Muszę się bardzo spieszyć - dodał na zakończenie.

Mam żal do siebie, że tak właśnie wyglądała nasza ostatnia rozmowa, że odszedł od nas obcy nam i chyba jakoś boleśnie osamotniony. Wiedzieliśmy przecież, że Sim umrze, nie chcieliśmy jednak przyjąć tego do wiadomości. Do dziś nie mogę czasami uwierzyć w jego śmierć. Chwilami bardzo mi go brakuje. Arf twierdzi, że to sprawa nieczystego sumienia, które i jego dręczy. Nie ma na to jednak żadnej rady.

Nie wiem, Patryku, może podejrzewasz (ewentualnie podejrzewałeś), że „pomogliśmy” umrzeć Simowi, ale wierz mi, to nieprawda, mieliśmy przecież powody, aby życzyć mu życia dłuższego niż nasze - wtedy bylibyśmy bezpieczni.

To prawda, że przez te cztery lata w pewnym sensie ścigaliśmy ciebie, ale chodziło nam tylko o te notatki. Wiem, że nie są adresowane do nas, ale sądzę, że posiadamy takie same prawa jak Sim, aby zdecydować o tym, czy je ujawnić, czy też nie. Intencje Sima były szlachetne, nasze - możesz uważać nawet za egoistyczne, ale, Patryku, spróbuj zrozumieć i nas - to nie byłoby już życie. Nawet gdybyś po ich ogłoszeniu nie wskazał na nas, na nic by to się nie zdało, wytropiono by nas wszędzie i do końca życia bylibyśmy nieszczęśliwi. Wypadki, które spotkały profesora Carelia i doktora Browna, to tragiczny zbieg okoliczności, pożar w domu Carelia - niestety nie. Wiedzieliśmy jednak, że nie zagrozi on bezpośrednio niczyjemu życiu.

Mam nadzieję Patryku, że nabrałeś do nas choć odrobinę zaufania i zechcesz się z nami

ponownie skontaktować. Jesteśmy gotowi odpowiedzieć ci na wszystkie nurtujące cię jeszcze problemy. Myślę, że się jeszcze zaprzyjaźnimy, Patryku.

Po tych słowach Any zaległa cisza. Koniec nagrania. Siedzieliśmy pogrążeni w rozmyślaniach. Z pewnością myśleliśmy o tym samym. Przeżyliśmy tę historię od nowa, po raz wtóry.

Cisza panowała także w sąsiednim pokoju. Po chwili jednak usłyszałem odgłos kroków i przesuwanie fotela, prawie w tym samym momencie zadzwonił telefon. Patryk rzucił krótko:

- Przyjdę do was jutro. Muszę jeszcze raz przemyśleć całą tę sprawę od nowa. Dobranoc, Arfie. I dodał jeszcze: - Przyjdę na pewno.

Wydało mi się, że po tych słowach usłyszałem po drugiej stronie westchnienie pełne ulgi. Ale może to było złudzenie.

JAK TO BYŁO NAPRAWDĘ

30 października 19.. roku

- Jak myślisz, Arfie, czy Patryk odda nam zapiski Sima? - spytała Ana. - Bo ja jestem raczej dobrej myśli.

- Wątpię, Ano. Bardzo wątpię. I chyba już niedługo będziemy żałować naszej szczerości. Być może on sam by nas nie wytropił.

- Przecież doskonale wiesz, że jeśli nie on, zrobiliby to inni.

- No tak, jak zwykle masz rację, Ano.

Słowa Arfa zabrzmiały nieco złośliwie.

- Sądzę, że odda. Zobaczysz! - mówiła Ana, ale jej głos świadczył o tym, że wcale nie jest tego taka pewna.

Czekaliśmy w milczeniu.

Patryk był nad podziw punktualny. Oboje natychmiast zauważyliśmy zmianę jaka w nim zaszła. Wyrażam się może niezbyt precyzyjnie: nie zmiana, a przemiana... Anie wręczył od progu bukiet pięknych róż, ale oczywiście nie to było najważniejsze; z twarzy Patryka znikł po prostu ponury wyraz straceńca, który czynił zeń starszego i poważniejszego, niż był w istocie. Odświeżenie też prezentował się jego garnitur - był starannie wyczyszczony, a spodnie miały wyprasowane kanty. Był onieśmielony i zmieszany. Kiedy Ana poprosiła go by usiadł obok mnie, przez moment wydawało się, że nie usłyszał, ale już za chwilę, poruszając się trochę jak automat, zajął wskazane miejsce.

- Aaa... byłbym zapomniał... proszę, oddaję taśmę. Przesłuchałem ją raz jeszcze i muszę się wam przyznać do pewnych wątpliwości. Wydarzenia przez was opisane są tak niewiarygodne, że aż trudno w nie uwierzyć. Ja jednak jestem przekonany, że to wszystko prawda. Trapią mnie inne sprawy, a mianowicie te, o które sam się otarłem i te, których sam doświadczyłem. Może to się wam wydać dziwne: wierzę w wasze kosmiczne przygody, podając jednocześnie w wątpliwość waszą ziemską działalność. Chyba jednak wiecie, o co mi chodzi. Mam tu na myśli szereg nie wyjaśnionych spraw związanych między innymi ze śmiercią Carelia, doktora Browna czy chociażby waszego przyjaciela - Sima. Czyżby to były tajemnicze przypadki? „Tragiczne zbiegi okoliczności”? Doprawdy, nie mogę wam w tym wypadku zaufać.

Patryk wypowiedział wszystkie te słowa jednym tchem, jak gdyby nie miał ani chwili do stracenia. Teraz siedział sztywno wyprostowany, w naprężeniu oczekując naszych wyjaśnień.

- Patryku, a może napijesz się kawy? - zapytała Ana. - Czy też wolisz kieliszek koniaku?

- O, tak, proszę. I koniak też.

Ana sięgnęła do podręcznego barku i po kilku minutach postawiła przed nami napełnione szlachetnym płynem kieliszki.

Patryk szybko jeden pochwycił, momentalnie wychylił całą zawartość i niepewnie rozejrzał się:

- A wy?

- Przyrzekliśmy sobie z Arfem wypić dopiero po pomyślnym zakończeniu tej historii. Z tobą, oczywiście, Patryku - dodała Ana.

- Czy oddasz nam więc notatki Sima? - zapytałem, nie mogąc się już doczekać finału.

- O, nie! - wykrzyknął Patryk. - Musicie mi najpierw wszystko wyjaśnić. Dopiero wtedy zastanowię się, co z nimi zrobić.

- No cóż, wobec tego zaczynaj. Co interesuje cię najbardziej? - zaczęła Ana.

- Powód śmierci Dominika-Sima. Cóż to była za tajemnicza choroba? - atakował Patryk.

Zasepiliśmy się nieco. Trochę to było niegodziwe: podejrzewać nas o spowodowanie czegoś, co było dla nas samych koszmarnym przeżyciem.

- Widzisz, Patryku, nie potrafimy dać ci w tym wypadku dokładnej odpowiedzi. Nie jesteśmy lekarzami. Nie znamy się na medycynie. W laboratorium kosmolotu sami, co prawda, robiliśmy sobie różnego rodzaju badania, ale analizował je Mózg i on też wydawał o nich opinie. Wypisywał nam także recepty na lekarstwa, które z kolei sporządzał robot medyczny w laboratorium. Sim przed opuszczeniem kosmolotu czuł się znakomicie. Nic nie wskazywało na to, że tak szybko i tragicznie zachoruje. Dopiero w czasie naszej wędrówki, już na Ziemi, zauważyliśmy, że powoli opada z sił. Niestety nie zabraliśmy z kosmolotu niczego, co mogłoby mu pomóc.

- Jeśli chcesz kogokolwiek obarczać winą za śmierć Sima, winna jestem tylko ja - przerwała mi raptem Ana.

Spojrzałem na nią zaskoczony. Ana? Co też ona wygaduje? Patryk również wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Jak to, Ano, ty?! - nie wytrzymałem. - Dlaczego ty?

- Bo to właśnie ja, Arfie, odcięłam nam wszystkim powrót do kosmolotu. Gdyby nie to, Sim żyłby dzisiaj. Nie mogę sobie tego darować. Nie mogę - powtórzyła raz jeszcze.

W jej oczach dostrzegłem łzy. Teraz zrozumiałem, jak bardzo musiała cierpieć, przyjmując całą winę na siebie.

- Ależ Ano, uspokój się. Przecież działałaś w dobrej wierze. Skąd mogłaś wiedzieć, że Sim jest chory. To było nie do przewidzenia.

- A jednak jestem winna. Masz rację - zwróciła się do naszego gościa - to ja zabiłam Sima.

- Widzę, że narobiłem nie lada zamieszania - Patryk usiłował naprawić swój błąd. - Ale przecież ja nie obwiniam nikogo - może źle się wyraziłem - chciałem się tylko dowiedzieć, na co zmarł Sim.

Rozmowa z Aną stała się niemożliwa.

- Ano, uspokój się... - słowa te tym razem wypowiedział Patryk. - To z pewnością moja wina.

- Widzisz, Patryku, stało się tak zapewne z powodu jakichś nie znanych nam bakterii, które zaatakowały osłabiony organizm Sima - włączyłem się do dyskusji.

Ana siedziała wyprostowana, patrząc prosto przed siebie, po jej policzkach spływały łzy.

- A może ja już pójdę... - odezwał się nieśmiało Patryk. - Może przełożymy tę rozmowę na jutro?

- Nie, zaczekaj. Zaraz się uspokoję - wyszeptała Ana. - Czy dostatecznie wyjaśniliśmy ci już sprawę Sima?

- O tak, sądzę, że tak - powtórzył Patryk.

- Proszę, pytaj więc dalej - Ana powoli odzyskiwała psychiczną równowagę.

- Wciąż nurtuje mnie wypadek profesora Carelia i następujący w chwilę potem pożar w jego willi. Wielokrotnie już o tym myślałem i jestem przekonany, że maczaliście w tym palce. I jeszcze jedno: w jaki sposób dowiedzieliście się o tym, w którym posiadaniu znajdują się zapiski waszego przyjaciela?

- Widzisz - zacząłem - to ja byłem inicjatorem tych wypadków, choć nie bezpośrednim sprawcą. Otóż kiedy pomiędzy nami a Simem doszło do rozdzwiewu i kiedy nie mogliśmy mu w żaden sposób przeszkodzić w sporządzaniu tego swego „testamentu”, długo zastanawialiśmy się z Aną, w jaki sposób można by zdobyć te notatki. Dopóki żył, byliśmy bezpieczni. Obiecał ujawnić je dopiero po śmierci. Obserwowaliśmy jego sanatorium codziennie. Było to oczywiście bardzo ryzykowne i niebezpieczne - komuś przecież mógłby wydać się podejrzany nasz wygląd, a poza tym kończyły się znalezione w samochodzie pieniądze - nie mieliśmy jednak innego wyjścia. To Ana pierwsza wpadła na ten pomysł - aby być bliżej Sima, mieć go na oku, podjęła pracę w sanatorium, oczywiście w tajemnicy przed Simem. Kanadyjskie dokumenty ułatwiały nam życie. Nauczyliśmy się już nimi posługiwać - traktowano nas jak obcokrajowców, którzy mają prawo do przeróżnych dziwactw, a więc i odmiennego stylu ubierania się, co było ze względu na nasze inne włosy poniekąd koniecznością. Ana pracowała jako pomocnica laborantki medycznej i kiedy tylko mogła, obserwowała pokój Sima. Niestety, jego śmierć, na którą wprawdzie po trosze byliśmy przygotowani, zaskoczyła nas. Stało się to w nocy. Ana natomiast zaczynała pracę tego dnia dopiero w południe. Kiedy przyszła do laboratorium, wszyscy byli poruszeni śmiercią Dominika - tego „niezwykłego blondyna”, jak go tu nazywano. Ana pobiegła natychmiast do jego pokoju, ale Sima już w nim nie było. Nie było także najmniejszego śladu po jego w nim bytności, prócz jednego - wiązanki kwiatów we flakonie, przysłanych Simowi jak zwykle przez Anę. Od sprzątaczkii Ana dowiedziała się o losie notatek. I tak dotarliśmy do doktora Browna. Nazajutrz wieczorem Ana podjęła desperacką decyzję - postanowiła pod pozorem trudności związanych

z odczytaniem analizy udać się do domu Browna. Kiedy tam poszła, doktor rozmawiał właśnie z profesorem Careliem i Anie udało się usłyszeć, jak obaj uczeni omawiają sprawę odcyfrowania zapisu. Była przerażona. Co gorsza, nie wiedziała jeszcze wtedy, z kim doktor rozmawia. Uspokoiła się dopiero, gdy Brown nazaczył swojemu rozmówcy spotkanie nazajutrz u siebie w domu. W hotelu szybko obmyśliliśmy plan. Trzeba było działać natychmiast. Zaczęliśmy obserwację domu lekarza - w ten sposób natrafiliśmy na ślad „testamentu”, profesora, a później i twój, Patryku.

Następnego dnia rano około dziesiątej zadzwoniłem do pracowni profesora podając się za niejakiego Tersona. Telefon odebrał...

- To ja wtedy podniosłem słuchawkę - włączył się Patryk.

- Wiem, Patryku. Kiedy z tobą rozmawiałem, wiedziałem już bardzo wiele zarówno o tobie, jak i o profesorze. Widzę twoją zdziwioną minę, nie wiesz skąd, prawda? Otóż, wyobraź sobie, że profesor miał gospodynię, bardzo miłą a gadatliwą panią, która była niesłychanie przywiązana do naukowca. Gospościa była tak opiekuńcza w stosunku do profesora, że wołała sama udzielić nam potrzebnych informacji, niż na przykład obudzić Carelia lub w czymś mu przeszkodzić. Tą właśnie drogą dowiedzieliśmy się wszystkiego o trybie życia naukowca, a potem i twoim - jako częstym gościu i pupilku Beniamina.

Ale winien ci jestem jeszcze jedno wyjaśnienie: nie wiesz dotąd, na czym miał polegać nasz plan. Zdaję sobie sprawę z tego, że samo tak sformułowane wyrażenie może budzić niepokój. Otóż bynajmniej nie mieliśmy najmniejszego zamiaru wyrządzać nikomu krzywdy. Chcieliśmy po prostu odzyskać dokument, do którego, jak sądziliśmy, mieliśmy i mamy większe prawo niż ktokolwiek inny.

Plan polegał na wykradzeniu notatek w sposób możliwie najłagodniejszy. Początkowo chcieliśmy wykorzystać do tego celu panią MacLind, ale później byliśmy zmuszeni porzucić ten zamiar, bowiem gospościa, tak chętna w udzielaniu informacji, okazała się zdecydowaną przeciwniczką szperania w profesorskim biurku. Nie pozostało nam więc nic innego, jak wykraść notatki potajemnie. Było to możliwe tylko podczas nieobecności domowników. Teraz trzeba było wywabić profesora i jego gospodynię z willi. Wiedzieliśmy o tym, że Careli jest w stanie rozszyfrować pismo Sima (doktor Brown wpadł na bardzo dobry pomysł!) - należało więc się spieszyć. Wtedy ja nie tracąc ani chwili zadzwoniłem do ciebie z prośbą o przekazanie przełożonemu wiadomości o „niezwykłych wydarzeniach w Kerstenie” i byłem pewien, że na tak sumiennym i obowiązkowym jak ty pracowniku na pewno mogę polegać. I nie myliłem się. Wiedziałem też, że profesor również da się nabrać na ten Kersten - musiał przecież znajdować się pod wrażeniem notatek Sima. Dziwisz się, skąd ta pewność? Zastanów się: czy nie wystarczy sam fakt posłużenia się pismem klinowym w dwudziestym wieku, aby dostatecznie zaciekać czytelnika przyczyną takiego zapisu? I rzeczywiście - profesor wyjechał. Nie byliśmy jednak

przekonani co do jednego: czy Careli zabrał ze sobą zapiski, czy też zostawił je w domu. Musieliśmy się rozdzielić. Ja miałem za zadanie przeszukać dom, a Ana jechać za nim, aby go śledzić i w razie potrzeby wykraść mu papiery. Korzystając z nieobecności naukowca, pod osłoną nocy udałem się do jego domu, licząc na głęboki sen starej kobiety. Niestety, kiedy penetrowałem gabinet profesora, rozległ się dzwonek telefonu. Początkowo miałem nadzieję, że to jakaś pomyłka i że aparat za chwilę umilknie, ale działo się wprost przeciwnie - dzwonił długo i uporczywie. Usłyszałem kroki na schodach, nie pozostało mi więc nic innego, jak salwować się ucieczką. Moja wyprawa zakończyła się fiaskiem. Any zresztą także. Nie tyle z powodu nieprzechwycenia notatek, ile z przyczyn psychicznych: Ana była świadkiem wypadku profesora, jechała za nim. Widziała wszystko dokładnie: jak nagle skręcił na pobocze, jak starał się zatrzymać rozjeżdżony samochód, a także jak uderzył w drzewo. Nie mogła się nawet zatrzymać, aby mu jeszcze ewentualnie pomóc. Nie wiedziała przecież, że i tak na nic by się to nie zdało. Profesor poniósł śmierć na miejscu. Ana wpadła w popłoch. Popędziła autostradą prosto przed siebie jak opętana. Zatrzymała się dopiero w Klee. Zadzwoiła stamtąd do mnie i opowiedziała o wszystkim. Samochód Carelia spłonął, ale czy były w nim notatki Sima - tego nie wiedzieliśmy. Należało jeszcze raz dokładnie przeszukać willę, a gdyby w niej ich nie było, byłibyśmy ocaleni. Uspokoilem trochę Anę, kazałem jej zostawić samochód w Klee, a samej wrócić pierwszym samolotem.

Nie miałem chwili do stracenia. Musiałem działać jak najprędzej. Szybko zadzwoniłem do gospośki profesora i powiedziałem, że mam dla niej wiadomości wielkiej wagi, które przekażę jej, jeśli spotka się ze mną w Parku Południowym. Kobieta, oszołomiona wypadkiem swojego chlebodawcy, liczyła widocznie na jakąś poufną informację z tym związaną, toteż zgodziła się bez żadnych ceregieli. Mogłem teraz działać dużo swobodniej, ale i tym razem nie powiodło mi się - nie znalazłem niczego. Za to w zbytnim pośpiechu narobiłem w całym domu mnóstwo śladów, które musiałem jakoś zatrzeć. Przyszła mi do głowy niesamowita myśl: ogień. Szybko przypomniałem sobie stojącą na oknie w pokoiku Klary MacLind buteleczkę z benzyną. Tak, to było to, czego mi potrzebna. Pędem wbiegłem po nią na górę. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zajrzeć do szafki gospodyni - a tam stała cała kolekcja tego specyfiku, zapas, który mógłby starczyć na kilka dobrych lat. Teraz działałem jak w transie, rozlałem zawartość znalezionych butelek po całej powierzchni podłogi i podpaliłem. Wiem, że postąpiłem zbyt pochopnie i nierozważnie, mówiła mi to później Ana, wiem, że nie powinienem tego robić, ale wtedy sądziłem, że to mój jedyny ratunek. Potem uciekłem, przekonany, że pamiątnik Sima podzielił los złotego forda profesora. Byłem pewien, że sprawa jest już skończona. I kto wie, czyby tak rzeczywiście nie było, gdyby nie ty - zwróciłem się do chłonnego każde moje słowo Patryka. - Oprócz ciebie nikomu nie przyszloby chyba by do głowy łączenie tych spraw - śmierci Sima, i wypadku profesora Carelia i pożaru w jego willi. Być może zapomniano by o całej tej historii,

a znalezione w sejfie dokumenty po prostu poszłyby do lamusa.

Kiedy, wmieszany w tłum gapiów, obserwowałem z daleka akcję ratowniczą, nagle zobaczyłem ciebie jak wyskakujesz z okna płonącego budynku. Aż przetarłem oczy ze zdumienia; nie rozumiałem jak mogłeś się tam znaleźć, bo przecież ja ciebie wcześniej nigdzie nie widziałem. Zapomniałem jednak o tym, że mogłeś wejść do domu tuż po mojej z niego ucieczce, kiedy o kilka ulic dalej oczekiwałem przyjazdu Any. Twoja obecność w willi zaniepokoiła mnie. Anę zresztą także; szybko przepchnęła się przez tłum i wtedy właśnie zobaczyła ciebie leżącego na trawniku z notatkami Sima u boku. Nad tobą stali policjanci i lekarze, wszelkie więc działania mające na celu odzyskanie „testamentu” były w tej sytuacji niemożliwe.

Byliśmy zdruzgotani, okazało się bowiem, że wszystko na nic. Ale pozostałeś nam ty... Obserwowania ciebie podjęła się Ana i jeszcze tej samej nocy zapukała do twoich drzwi. Nie otworzyłeś jej jednak... Ach! Więc to byłaś ty... - pokiwał głową Patryk. - Ale w jaki sposób opuściłaś mój dom? Czatowałem wtedy przy oknie aż do białego rana, lecz nie zauważyłem nikogo obcego wychodzącego z bramy.

No cóż, Patryku, gdybyś był bardziej przenikliwy i chyba... - tu Ana zawahała się odrobinę, lekko się przy tym uśmiechając - chyba odważniejszy, mógłbyś mnie znaleźć tej nocy skuloną na schodach wiodących na dach. Zeszłam stamtąd dopiero rano, ale ty już wtedy spałeś, prawda?

- Skąd wiecie?

- Dzwoniliśmy oczywiście do ciebie. Najpierw robił to Arf, ale ty spałeś tak mocno, że odebrałeś telefon, dopiero o jedenastej w południe. Zazdrościliśmy ci wtedy tego snu; my niestety nie mogliśmy sobie pozwolić na ten luksus - Ana patrzyła Patrykowi prosto w oczy - A więc zadzwoniliśmy do ciebie...

- Tak, wiem - przerwał jej gość. - Podałaś się Ano za bratanicę Carelia i od tamtej chwili datuje się nasza znajomość. Od razu podejrzewałem, że coś się za tym kryje. Pomysł z podszyciem się pod nie istniejącą postać miałby pewne szanse powodzenia, gdyby nie świetna orientacja pani MacLind we wszelkich koligacjach rodzinnych naukowca. To ona utwierdziła mnie w przekonaniu, że profesor nigdy żadnej bratanicy nie miał. Ale stało się to dużo później. W pierwszej chwili nie byłem tego taki pewien.

- A ja myślałam, że udało mi się ciebie przekonać. Powiedz, w którym miejscu popełniłam błąd? Wydawało mi się, że gram tę rolę dość dobrze...

- A jednak błąd był... myślę, że nawet nie wiesz, jak błahy szczegół naprowadził mnie na trop mistyfikacji. Widzisz, Ano: i ty, i Arf zaproponowaliście zarówno mnie, jak i pani MacLind to samo miejsce na spotkanie - Park Południowy.

Ana spojrzała na mnie szczerze zdziwiona: - Niemożliwe, Arfie! - wykrzyknęła, ale ja niestety musiałem skinąć twierdząco głową. Wyszło na jaw bowiem, że nasz plan, zdawałoby się

tak doskonały, okazał się nieprecyzyjny. Udowodnił nam to teraz Patryk.

- Kiedy udałem się - kontynuował Patryk - na ponowne spotkanie z Aną, udało mi się przypadkiem podsłuchać waszą rozmowę. Właśnie w tym momencie doszedłem do przekonania, że jesteście parą... - tu Patryk zawahał się, jakiego użyć słowa - no, muszę się wam przyznać, że brałem was za parę oszustów - dokończył jednym tchem. - Myśl o tym, że pochodzicie z „innego świata” nasunęła mi się w niedługi czas później, kiedy udało mi się przeczytać większy ustęp z zaszyfrowanego tekstu waszego przyjaciela. Sim podejrzewał, że możecie popełnić głupstwo, nie wiedział jednak, jakie. Fragment, który rozszyfrowałem jako pierwszy - ten, który wypadł profesorowi w gabinecie - ostrzegał przed wami. Skojarzenie tych spraw nie przedstawiało w tej sytuacji większych trudności. Wypadki rozgrywające się wokół osoby mojego przełożonego świadczyły o tym, że nie przebieracie w środkach. Nie patrz tak na mnie Ano, skąd mogłem wiedzieć, że tak nie jest? Przeszukiwaliście mój pokój, szperaliście w moich rzeczach, śledziliście mnie. W Kerstnie okazało się, że Terson wcale ze mną nie rozmawiał - był wtedy oddalony o setki kilometrów, przeprowadzał badania w Egipcie. Dlaczego więc, na jakiej podstawie, miałem uważać was za swoich przyjaciół?

- No tak, Patryku, rzeczywiście macz słuszność. Ale zrozum, w jaki sposób mieliśmy dać ci odczuć, że nie mamy wobec ciebie złych zamiarów? Przecież i tak byś nam nie uwierzył... - powiedziała cicho Ana.

- Chyba rzeczywiście nie... zgodził się Patryk. - Ale przerwałem wam, czy możecie mówić dalej?

- Cóż, Patryku - zacząłem - po prostu nie spuszczałem z ciebie oczu. Nie jest to może zbyt precyzyjnie powiedziane, czasami udawało ci się nas zmylić. Tak było na przykład z twoim wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Przez cały okres poprzedzający ten wyjazd mieliśmy cię na oku, wiedzieliśmy gdzie mieszkasz i co robisz. Na szczęście nie czyniłeś na razie nic, aby notatki Sima opublikować. Oczywiście chcieliśmy ci je wykraść. Ale strzegłeś ich jak oka w głowie! Mieliśmy nadzieję, że kiedyś o nich zapomnisz i zostawisz je w jakimś pokoju. Pewnego razu rzeczywiście coś zostawiłeś - tak, Patryku, to te same książki - powiedziałem, napotykając spojrzenie gościa - *Worlds in Collision* i *The Quest* są twoje. To cenne książki, a ja obawiałem się, że nie starczy ci odwagi, by po nie wrócić - dlatego też je wziąłem. Oczywiście oddam ci je kiedy tylko zechcesz - dodałem. - W tamtym okresie udało ci się nas zmylić jeden jedyny raz, ale za to dość skutecznie. Twój pomysł z ukryciem samochodu w lesie był naprawdę dobry. Obserwowała cię wtedy Ana (robiliśmy to na zmianę) i widziała jak wjeżdżasz do lasu, ale aby się zbyt nie narażać nie pojechała za tobą. Postanowiła obserwować drogi wyjazdowe, a akurat w tym wypadku mogła na tym poprzestać - las bowiem przylegał do ogromnej posiadłości i wszystkie drogi tu właśnie się kończyły. Ana doskonale o tym wiedziała, ponieważ dostarczyłem jej przedtem szczegółowy plan okolicy. Nie przewidziała tylko jednego - że ty

z tego lasu nie wyjedziesz. Z pobliskiego wzgórza obserwowała wszystkie wyjeżdżające samochody, ale nie zwracała uwagi na pieszych. W ten sposób udało ci się nas wywieść w pole. I gdy ty siedziałeś już w samolocie, Ana nadal oczekiwała twojego powrotu z lasu. Później, mocno zaniepokojona, zaczęła przeszukiwać pobliskie zarośla. Niestety bez żadnego rezultatu. Wróciła wtedy po mnie. Z niemałym trudem odnaleźliśmy twojego „garbusa”, dobrze go ukryłeś! I co tu dużo mówić - nieźle pomieszałeś nam szyki... Przeraziłem się, ale tym razem Ana zachowała zimną krew. Zaczęliśmy się zastanawiać, co też mogłeś zrobić, gdzie ciebie szukać. Pomogłeś nam w tym sam: w samochodzie znaleźliśmy pozostawioną przez ciebie gazetę. Było to właśnie „Zwierciadło Poranne”, a w nim zakreślona czerwonym flamastrem wiadomość o odlatującym do Nowego Jorku doktorze Brownie. Wszystko było teraz jasne: poleciałeś, aby z nim pomówić. Natychmiast podążyliśmy za tobą.

Wyjazd Browna do Indii i jego nagła śmierć zaskoczyła nas chyba jeszcze bardziej niż ciebie. Trzeci zgon! Wiemy, że i o to podejrzewałeś mnie i Anę, ale i w tym wypadku musze, cię rozczarować - my przez cały ten okres nie odstępowałam cię na krok. Ana nawet...

- Wiem, - przerwał Patryk - wiem. Ana pracowała jako pokojówka w „moim” hotelu. Rozpoznałem ją, gdy miała mi przynieść gazety. Oczywiście wiecie, że wolałem się na nie nie doczekać.

- Uciekłeś, zanim zdążyłam je odnaleźć. A potem pojechałeś do Marii... - Ana uśmiechnęła się.

- Znasz Marię?! - zdziwił się Patryk.

Teraz tak, ale gdy ty do niej jechałeś, jeszcze jej nie znałam. Do Marii dotarliśmy dużo później, już po twoim wyjeździe do Europy. Dziwisz się zapewne, Patryku, jak nam się to udało. Nie, tym razem nie zostawiłeś nam żadnej wskazówki. Zawdzięczam to tylko własnej pamięci; przypominałam sobie mianowicie wszystkie informacje, jakich udzieliła mi kiedyś na twój temat stara gosposia profesora Carelia, a twoja wielka przyjaciółka, pani MacLind. Nie wiem, skąd wiedziała o Marii, może sam jej o niej opowiedziałeś, a może usłyszała od kogoś - kobiety tego typu lubią dużo wiedzieć. Dość, że opowiedziała mi kiedyś o twoich miłosnych kłopotach. I wtedy tam, w Nowym Jorku, nie wiedząc dokąd mogłeś się udać, przypominałam sobie o Marii. Z pewnością był to ważny ślad i nie należało go lekceważyć. Odnalezienie jednak kobiety, o której wie się tylko jak ma na imię oraz czym się zajmuje, nie było proste. Zajęło nam to sporo czasu, ale warto było - Maria okazała się niezwykle miłą i sympatyczną kobietą, starała się nam autentycznie dopomóc. Nie zdawała sobie oczywiście sprawy z tego, kim jesteśmy, wymyśliłam więc dla niej jakąś wzruszającą historyjkę o zaginionej przed laty siostrze, którą miałam być ja i która pragnie odnaleźć brata, a ona we wszystko uwierzyła. Trochę było mi nawet przykro, że musiałam tak miłą osobkę oszukiwać, ale Maria była naszą ostatnią nadzieją. Opowiedziała mi o ostatnim z tobą spotkaniu, o tym jaki byłeś roztrzęsiony. Była bardzo

zaniepokojona twoim stanem psychicznym, nie dziwię się zresztą - wtrąciła. - Mówiła mi gdzie cię skierowała, nawet pojechałyśmy tam razem, ale w Lanswille nikt o tobie oczywiście nie słyszał. Maria wyglądała na zmartwioną tym faktem...

- Wiesz, Patryku, odniosłam wrażenie, że ona ciebie jeszcze kocha - Ana zniżyła głos i spojrzała na Patryka, który siedział ze spuszczoną głową. Na dźwięk jej słów zaczerwienił się i schylił głowę jeszcze niżej:

- Nie, Ano, to nieprawda, Maria ma już kogoś... to niemożliwe, zresztą sam widziałem...

- Co widziałeś?

- No, jego... to znaczy widziałem jak on do niej szedł...

- Kto? Jaki „on”?

- Jakiś mężczyzna. Kiedy wychodziłem od Marii, spotkałem go na schodach. Szedł do niej - wiem to na pewno - Maria na niego czekała.

- No to co z tego? Czy przyjmowanie czyichś odwiedzin jest równoznaczne z miłością?

- Chyba nie... - mruknął cicho Patryk. - Napiszę do Marii, ale wątpię, czy to ma jakiś sens - powiedział z niedowierzaniem.

- To się jeszcze okaże - Ana z kolei była głęboko przekonana o nieomyślności swojej intuicji.

- Od Marii - mówiła dalej Ana - dostałam, Patryku, adres twojej matki.

- O Boże, więc i u niej byłaś? - jęknął.

- Byłam, niestety, ale nie martw się, matka o niczym nie wie. Jest przekonana, że masz interesującą pracę, że wiele podróżujesz i dlatego nie możesz jej odwiedzić. A ja nie wyprowadziłam jej z błędu, zresztą podróżujesz przecież naprawdę.

Długo nie mogliśmy natrafić na twój ślad. Podejrzewaliśmy, że nie możesz być gdzieś daleko - poznaliśmy cię na tyle. Jeździliśmy więc po kraju, deptając ci po piętach, podejmowaliśmy również przygodne prace i czasami już już wydawało nam się, że mamy ciebie, gdy ty tymczasem zwietrzywszy nosem niebezpieczeństwo, zwijałeś manatki i zmykałeś. Z czasem mieliśmy już dosyć tej zabawy, nieraz proponowałam Artowi, abyśmy dali temu spokój i zaczęli normalne życie. On jednak trwał przy swoim, uważał, że jeśli raz zaczęliśmy, trzeba wytrwać do końca. Kiedyś wreszcie udało mi się mu przetłumaczyć, żeby nie ścigać cię dalej, gdyż możemy w ten sposób zmarnować najpiękniejsze nasze chwile, a ty jeśli dotąd nie uczyniłeś niczego, aby opublikować zwierzenia Sima, nie uczynisz tego nigdy. Arf zgodził się wtedy ze mną, zwłaszcza że znów udało ci się nas zmylić.

Chcieliśmy zamieszkać w Z., które, jak ci wiadomo, Patryku, leży niedaleko O. Arf lustrując okolicę wybrał się właśnie do O. Traf chciał, że zajrzał do tutejszej restauracji i zobaczył ni mniej, ni więcej, tylko ciebie.

Powstał wtedy nasz nowy plan. Tym razem powiedzieliśmy sobie, że ostatni. Postanowiliśmy po prostu z tobą porozmawiać w nadziei, że może uda nam się ciebie przekonać

i oddasz nam zapiski Sima. - Ana nie spuszczała teraz z Patryka wzroku.

- A jeśli się na to nie zgodzę - powiedział po chwili - to co wtedy?

- Nic, Patryku - odparłem. - Nie mamy zamiaru zmuszać cię do czegokolwiek. Mamy wówczas tylko jedną prośbę - zachowaj to wszystko dla siebie.

Patryk spod przymrużonych powiek obserwował mnie i Anę. Po chwili milczenia rzucił krótko:

- Zastanowię się. - I wybiegł z pokoju.

SCIENCE - FICTION?

Ana obrzuciła mnie pytającym spojrzeniem.

- Dokąd on znowu poszedł? - w jej głosie brzmiał niepokój.

Pokręciłem bezradnie głową.

- Nie wiem, przekonamy się jak wróci.

- Jeśli wróci - dokończyła Ana.

Siedzieliśmy w milczeniu. Za oknami mżył drobny, jesienny „kapuśniaczek”. Czulem znużenie - wyczerpujące były te wielogodzinne rozmowy z Patrykiem.

- Jak myślisz, czy on poszedł po notatki Sima?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem - szepnąłem. Widać Ana wyczuła w moim głosie zmęczenie, bo zaprzestała dalszych pytań.

Naraz drzwi otworzyły się z hukiem i na progu stanął Patryk z pokaźną torbą pod pachą. Miał zupełnie mokry płaszcz, a z włosów ściekała mu woda na hotelowy dywan.

- Znowu leje - mruknął - to O. jest wyjątkowo paskudne, całe szczęście, że nie zabawię tu już długo.

- Wyjeżdżasz? - spytałem.

- Aha - odpowiedział wyczerpująco i poszedł do łazienki wytrzeć włosy.

Przyniesiona przez niego torba leżała na krześle i miałem nieprzepartą ochotę zajrzeć do jej środka. Spojrzałem na Anę - pogroziła mi palcem, najwidoczniej zorientowała się w moich niecnym zamiarach. Na szczęście Patryk powrócił do pokoju i od razu skierował się w stronę torby. Wyciągnął z niej okazałą butelkę i postawił ją na stole tuż przed moim nosem.

- Szampan! - pisnęła Ana.

- Czyżbyś się zdecydował? - spytałem patrząc mu prosto w oczy.

- Tak - odpowiedział i po raz drugi sięgnął ku przepastnej torbie.

- Oto cały pamiętnik Sima - podał mi plik starannie złożonych kartek gęsto zapisanych jakimiś nieczytelnymi literkami.

Siedziałem z notatkami leżącymi na moich kolanach i nie bardzo wiedziałem jak się teraz zachować. Ogarnął mnie naraz dziwny smutek.

- I po to straciliśmy cztery lata... Zupełnie niepotrzebnie... Zamiast dogadać się zwyczajnie, jak ludzie...

- No, teraz nie czas na spóźnione żale. Wszyscy jesteśmy jednakowo winni; los ukarał nas za zbytnią ostrożność i nadmiar wyobraźni.

Podziwiałem, jak szybko Patryk przeistacza się z zastraszonego i załamane go nieszczęśnika, jakim go poznałem przed paroma dniami, w pewnego siebie człowieka.

- Czy to już jest wszystko, co pozostawił po sobie Sim? - zapytała Ana.

- Podejrzewacie, że coś przed wami ukryłem? - roześmiał się Patryk. - Zaraz się przekonacie o mojej szczerości. Arfie, odczytaj ostatni akapit pamiętnika Sima, nie mówiłem wam dotychczas o nim.

Wziąłem do ręki ostatnią, trochę zmiętą stronę i zacząłem czytać: „Najważniejsze są notatki i obliczenia, które znajdują się w mojej brązowej skórzanej teczce. Zrób wszystko, żeby jak najprędzej je odnaleźć i oddać kompetentnym naukowcom, na pewno dadzą sobie z nimi radę. Podejrzewam bowiem, że ty, jako archeolog, niewiele znasz się na tzw. naukach ścisłych. Pamiętaj jednak, że musisz działać mądrze i ostrożnie, z pełną świadomością zdecydować, komu oddać te notatki. To bardzo ważne. A teraz życzę ci powodzenia. Wszystko obecnie zależy od ciebie. Brązową teczkę znajdziesz w Sejfie Banku w P. Otrzymasz ją na hasło »Sim«,».

- Teraz już chyba zdołałem was przekonać - odezwał się Patryk - widzicie, że niczego nie ukryłem.

- I cały czas wiedziałeś o tej teczce? - Ana była wyraźnie zdziwiona.

- Czemu się tak dziwisz? Pewnie uważasz, że powinienem od razu zabrać teczkę z sejfu jak tylko dowiedziałem się o jej istnieniu. Ale co potem? Przecież sam nic bym z zapisów Sima nie zrozumiał. On to dobrze przewidział, trudno było zresztą przypuszczać inaczej. Znam się na piśmie klinowym i paru jeszcze innych rzeczach, ale o matematyce i fizyce mam niewielkie pojęcie.

- Mogłeś oddać to komu innemu, jakiemuś specjalście, który świetnie dałby sobie radę z odczytaniem i zrozumieniem sensu notatek.

- Mam nadzieję, że nie pisał ich również pismem klinowym - wtrąciłem się do rozmowy.

Patryk uśmiechnął się nieznacznie.

- To by nie miało sensu. A wracając do tematu, to zdajecie sobie chyba sprawę, że w mojej ówczesnej sytuacji, kiedy cały czas czułem się jak ścigany skazaniec, nie chciałem zabierać teczek z miejsca, w którym była całkowicie bezpieczna. Zamierzałem przeczekać ciężki okres i dopiero później zacząć działać. Nie wiedziałem również jak wytłumaczyć pochodzenie notatek, gdybym ewentualnie zdecydował się już na ich udostępnienie. Nikt by mi przecież nie uwierzył, że dostałem je od przybysza z kosmosu, to znaczy, gdybym powiedział prawdę.

- Dlaczego? - spytałem.

- Z tych samych powodów, z jakich nikt nie uwierzyłby Simowi, Anie i tobie, gdyby kiedykolwiek któreś z was postanowiło o wszystkim opowiedzieć. Czy nigdy nie zdaliście sobie z tego sprawy? Nawet jeśli opublikowałbym pamiętnik Sima, wzięto by mnie najwyżej za nieszkodliwego wariata, który napisał pismem klinowym jakąś dziwną opowieść typu science-fiction i teraz stara się wszystkim wmówić, że to prawda. Przez tyle lat szukaliście mnie

w obawie, że wydam waszą tajemnicę. Ale nigdy nie zastanowiliście się nad tym, że jest to po prostu niemożliwe.

- I cały czas byliśmy bezpieczni? - spytała Ana z niedowierzaniem.

- Oczywiście.

- A więc wszystko było absurdem i niedorzecznością?

Zapadło milczenie.

- Otwórzmy szampana - zaproponowałem.

Patryk zadzwonił na pokojówkę. Po chwili na hotelowym stoliku pojawiły się trzy kieliszki.

Otworzyłem ostrożnie butelkę i napełniłem je po brzegi.

- Za co wzniesiemy toast? - spytałem.

- Za przyszłość - odpowiedziała Ana.

Nie wiedziałem, czy myśli o naszej przyszłości, czy też może znaczenie jej słów miało jeszcze inny, głębszy sens.

Zauważyłem, że Patryk przygląda nam się pilnie.

- A więc zdecydowaliście się nieodwołalnie na ukrycie przed światem historii waszej i historii całej cywilizacji, z której się wywodzicie?... Ale: czy moglibyście odpowiedzieć mi szczerze na jedno pytanie?

- Ależ oczywiście, pytaj... - odparłem skwapliwie, chyba nawet za bardzo skwapliwie, ale czułem, że to właśnie pytanie Patryka rozbudzi wszystkie moje wątpliwości, które zawsze starałem się za wszelką cenę w sobie stłumić.

- Co zrobicie z notatkami Sima? Czy je zniszczycie?

- No, nie, chyba nie... Po co mielibyśmy to robić? - najwyraźniej plątałem się.

- A czy uważacie, że postąpiacie zupełnie uczciwie, nie ujawniając ludzkości bezcennych informacji, które zdecydował się przekazać naszej cywilizacji Sim? Ciekaw jestem jak będziecie się czuli słysząc na przykład o tym że miliony ludzi na Ziemi codziennie umierają na raka i wiedząc jednocześnie, że jesteście w stanie wskazać im skuteczną metodę zwalczania tej potwornej choroby?

Czułem, że wilgotnieją mi dłonie. Spojrzałem na Anę. Z zainteresowaniem oglądała wytarte wzory na spłóviałym dywanie. Było mi strasznie głupio. Patryk najwyraźniej widział to, gdyż bezlitośnie ciągnął dalej:

- Chcecie znaleźć dla siebie jakieś przytulne gniazdko, w którym moglibyście żyć spokojnie, unikać większych problemów i wstrząsów. Boicie się najmniejszej rzeczy, która mogłaby wam ten wymarzony spokój zburzyć. Dlatego na przykład szukaliście mnie tak długo... Ale zastanówcie się, czy aby macie rację. Tylko wy możecie podjąć decyzję, zastanówcie się również, czy spokój okupiony takim kosztem nie przyniesie wam w rezultacie jeszcze większych niepokojów.

- Ludzie z czasem dojdą sami do tego wszystkiego... - odezwałem się cicho.

- Z czasem... - w głosie Patryka zabrzmiała wyraźna gorycz.

- Patryk ma rację - Ana spojrzała na mnie z wyrzutem, brnąłem jednak dzielnie dalej:

- Oboje macie rację, nie możemy tego tak zostawić. Zastanawiam się tylko, czy aby z tej sytuacji jest jakieś rozsądne wyjście... Takie, by przekazanie posiadanych przez nas informacji odbyło się w sposób jak najbardziej naturalny i nie demaskujący jednocześnie naszego rzeczywistego pochodzenia.

- Owszem, jest takie wyjście - odpowiedział powoli Patryk.

Musiał czuć na sobie nasz pełen napięcia wzrok, gdyż niespodziewanie zaczął bawić się pustym kieliszkiem.

- Zaczynajcie pisać.

- Jak to pisać? - Ana wyraźnie nie zrozumiała, co Patryk ma na myśli.

- Zwyczajnie. Piszcie powieści, opowiadania, dramaty, co chcecie i o czym chcecie, chociażby o zwariowanych wynalazcach dokonujących w swoich tajemniczych laboratoriach niebываłych odkryć, albo o obcych cywilizacjach, które rozwiązały już szereg problemów nad jakimi na Ziemi głowią się jeszcze uczeni - to już od was zależy. Piszcie i ujawniajcie prawdę, między fikcyjnymi wydarzeniami umieśćcie prawdziwe informacje.

- Czy ktoś je dostrzeże? - miałem wątpliwości co do owego sposobu.

- O to już ja się postaram. Mam wielu znajomych nie tylko wśród archeologów. Wystarczy, jeśli zwrócę uwagę kilku z nich na pewne interesujące koncepcje, które, jak stwierdzą wówczas, odnalazłem zupełnie przypadkowo w pewnej niedawno wydanej książce z gatunku science-fiction. Z początku będą się śmiać i żartować ze mnie, ale kiedy powiem im o konkretach danej sprawy, z pewnością ich to zainteresuje.

- No dobrze, ale później zaczną się zastanawiać, skąd jakiś podrzędny twórca powieści fantastyczno-naukowych mógł wpaść na tak odkrywczym pomysły.

Wszystko można wytłumaczyć. Chociażby genialną intuicją. Powołacie się w tym wypadku na przykład Verne'a czy Wellsa... Ludzie o wiele szybciej w to uwierzą niż wam się zdaje. Zresztą, nie będziecie musieli przekazywać wszystkich informacji w najdrobniejszych szczegółach. Rozumiecie?

- Chodzi o hipotezę, którą później trzeba będzie udowodnić.

- O właśnie, widzę Ano, że zaczynasz akceptować mój pomysł.

- Sama nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

- Trzeba spróbować, właściwie nie mamy innego wyjścia - w głębi duszy przyznawałem, że spodobał mi się pomysł Patryka. - Tak czy inaczej nasze życie nie będzie z pewnością oazą spokoju, Ano.

- Wolę już, żeby uważano nas za zwariowaną spółkę pisarzy, niż za dziwolągi kosmosu -

odparła.

- W takim razie - Patryk był teraz wyraźnie zadowolony - proponuję kolejny toast: - Za powodzenie naszego wspólnego zamierzenia!

Uśmiechnęliśmy się wszyscy troje. Zauważyłem, że Ana po raz pierwszy od niepamiętnych czasów sprawia wrażenie osoby spokojnej i opanowanej, jak gdyby pozbyła się dręczących ją do tej pory trosk, wyrzutów sumienia i poczucia winy, szczególnie w stosunku do Sima. Była to znów ta sama Ana, która niegdyś tak bardzo imponowała mnie i Simowi swoim silnym charakterem.

- Dziwolągi kosmosu - Patryk przyglądał nam się z sympatią - powinniście raczej powiedzieć: „bogowie”!

Spojrzałem na niego z niepokojem. Czyżby upił się dwoma kieliszkami szampana?

- Nie patrz tak na mnie, wiem co mówię i jestem przy zdrowych zmysłach niegdyś widocznie prawidłowo odgadnąć sens mego spojrzenia. - Czy czytaliście może jakieś książki Danikena?

- Nie - odpowiedziała Ana - ale gdzieś już słyszeliśmy to nazwisko, prawda Arf?

- Owszem, słyszeliśmy. Ten człowiek stara się bodajże udowodnić, że Ziemia gościła niegdyś jakichś przybyszów z kosmosu, przedstawicieli pozaziemskiej cywilizacji stojącej na bardzo wysokim stopniu rozwoju.

- Tak, właśnie tak - przytaknął z ożywieniem Patryk. - Daniken na poparcie swojej teorii przytacza również mnóstwo faktów, które czasami są rzeczywiście zastanawiające. Szczególnie cenne są w tym wypadku odkrycia archeologiczne; pozostałości po dawno wymarłych cywilizacjach, zapoznanie się z ich wierzeniami i legendami daje wiele do myślenia.

- Co na przykład?

- Nie będę wam teraz szczegółowo streszczał ksiązek Danikena, ale mogę tu wspomnieć o dziwnym zbiegu okoliczności, a mianowicie o tym, że we wszystkich prawie wierzeniach świata bogowie przybywają z nieba na Ziemię, a opisy ich przybycia zaskakująco przypominają opisy lądowania statku kosmicznego. O tym, że w wielu częściach naszego globu znaleźć można wizerunki ludzi odzianych w stroje do złudzenia przypominające skafandry kosmonautów, o tym, że...

- Do czego zmierzasz? - spytałem. Patryk poruszył problem, który nurtował mnie od dawna.

- Do tego, aby przekonać was, że to wy właśnie jesteście owymi bogami, których przybycie utrwalone zostało w pamięci i przekazach wielu ludów zamieszkujących naszą planetę.

A więc moje przypuszczenia okazywały się całkiem realne. Jeśli Patryk mówił o nich z taką pewnością...

- Oczywiście, nie myślę tu tylko o was i o Simie. Mówiąc „wy” mam na myśli tych wszystkich, którzy podobnie jak wasza trójka opuścili na wiele setek tysięcy lat Ziemię i po

powrocie nie zastali już na niej swojej cywilizacji. Nie wiemy, ile załóg kosmolotów znalazło się w sytuacji podobnej do waszej przygody. Było ich jednak z pewnością sporo. Ludzie ci powracali na naszą planetę w różnym czasie i z pewnością różne też były ich decyzje dotyczące dalszego postępowania wobec niespodziewanej zmiany warunków na Ziemi. Przypuszczam, że niektórzy z nich decydowali się na pozostanie na planecie i przystosowanie się do jej prymitywnych warunków życia. Ci z pewnością musieli nawiązać kontakt z tubylcami, potomkami zresztą tej samej co oni cywilizacji, którzy tylko wskutek warunków życia i nieznaney katastrofy zeszli na niższy szczebel rozwoju. Inni odlatywali stąd prawdopodobnie na zawsze. Jeszcze, inni zaś podejmowali decyzje podobne do waszych: postanawiali po pewnym czasie wrócić tu po raz drugi.

- A więc przypuszczasz, że ludzie ci uważani byli przez tubylców za bogów, i po pewnym czasie przeszli do mitów i legend, dali początek wyobrażeniom, religii?

- Tak właśnie sędzę. To nie przedstawiciele pozaziemskiej cywilizacji zagościli niegdyś na Ziemi, to nie oni odkryli przed Ziemianami rąbka swoich tajemnic. Wszystko na naszej planecie stworzył człowiek i to on jest jej bogiem.

Ana spojrzała na mnie uważnie.

- Ciekawe, czy tamta przygoda, twoja i Sima, kiedy po raz pierwszy odwiedziliśmy Ziemię, odegrała jakąś rolę w stworzeniu chociażby jednej legendy o przybyszach z nieba.

Przypomniałem sobie nagle twarz człowieka z włócznią i wzrok ludzi stojących nieruchomo tuż za jego plecami.

- Tego nie będziemy już w stanie stwierdzić.

- Można przypuszczać, że niektórzy z kosmonautów wracających na Ziemię w dawniejszych czasach nie tylko decydowali się na zamieszkanie wśród ludów prymitywnych, ale - na ujawnienie pewnych wiadomości...

- Stąd te wszystkie zagadki w rodzaju kalendarza Majów lub niesłychanej wiedzy kapłanów egipskich - wtrąciłem. - Wiedzy nie pasującej do istniejącego wówczas poziomu nauki danego ludu. Zastanawialiśmy się nad tym wszystkim z Aną już od dawna, Patryku, i doszliśmy mniej więcej do tych samych, co i ty wniosków. Co prawda nie czytaliśmy Danikena, ale przestudiowaliśmy mnóstwo prac naukowych mówiących o wprost zdumiewających czasami odkryciach archeologicznych, którymi są zafascynowani ich sprawcy, o dawnych wymarłych kulturach i ich wierzeniach. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy podczas naszego pierwszego spotkania?

- Owszem, pamiętam, myślałem jednak, że po to prowadzisz w ten sposób naszą dyskusję, Arfie, aby mnie łatwiej zdemaskować i osaczyć, nie zastanawiałem się więc nad tym, że sugerujesz mi te same myśli, do których doszedłem sam po przeczytaniu notatek Sima.

- Czyżby znaczyło to, że poznałeś Arfa od razu, jak tylko zaczął z tobą rozmawiać? - spytała

Ana.

- Prawie od razu. Zbyt dobrze znałem jego wygląd z zapisków Sima... Kiedy patrzyłem w twoją twarz, Arfie, nagle ni stąd, ni zowąd przypomniał mi się dobrze znany fragment notatek waszego przyjaciela: „...włosy spadały mu jasnymi kosmykami na wyraźnie poprzecinane kilkoma podłużnymi liniami czoło. Wokół ust widać było również dwie poprzeczne bruzdy. Tylko jasnoszare oczy nie straciły nic ze swej przenikliwości i jarzyły się wciąż tym samym młodzieńczym blaskiem...” I wtedy zrozumiałem, że to właśnie ty... Ale postanowiłem nie uciekać więcej, choć przygotowany byłem na najgorsze...

- Nie mówmy już o tym - poprosiła Ana. - Szampana starczy nam już tylko na jeden toast. Za co go wzniesiemy?

- Za tę cywilizację, w której teraz żyjemy. Aby nigdy nie spotkało jej to co niegdyś przytrafiło się naszej, tej dawnej, z której wyszliśmy nie tylko ja i Ana, ale i wszyscy obecnie żyjący na świecie ludzie.

Podnieśliśmy kieliszki. Wszyscy chyba poczuliśmy, że nastrój stawał się coraz bardziej podniosły. Miałem wrażenie, że właśnie w owej chwili, w obskurnym pokoiku jedyne hotelu w O., stało się coś wielkiego, że ostatecznie zamknięty został rozdział pewnej sprawy (ale nie naszej, nie, raczej sprawy dotyczącej całej ludzkości) po to, aby mógł być otworzony rozdział następny. Z tą chwilą skończyła się także moja długa podróż. I Any także.

- Czy nie domyślacie się, co mogło być przyczyną zagłady waszej cywilizacji? - spytał Patryk.

- Wiele nad tym myśleliśmy - odparła Ana. - Ale nie doszliśmy do żadnych konkretnych wniosków. Przyczyn mogło być tak wiele! Najgorsze jest to, że nie wiemy nawet, czy to sami ludzie przyczynili się do tej klęski, czy też był to wynik jakichś bliżej nie znanych nam oddziaływań zewnętrznych. Może to dzieło kosmicznej katastrofy? Doprawdy, trudno powiedzieć...

Patryk pokiwał głową w milczeniu. Po chwili odezwał się znowu.

- A więc co będziecie teraz robić?

- Będziemy pisać - odparliśmy zgodnie - a ty nam w tym pomożesz.

- Z wielką przyjemnością. I zajmę się znowu tym, co zawsze stanowiło dla mnie największą pasję: archeologią.

- Może uda ci się odnaleźć jakieś ślady...

- Wątpię - przerwał mi Patryk - chociaż wierz mi, Arfie, że bardzo bym chciał. Wasza cywilizacja stała jednak na zbyt wysokim poziomie, rozumiesz?

- Tak, wiem o tym - odpowiedziałem ze smutkiem. - Stała na wysokim stopniu rozwoju i wytwarzała rzeczy coraz bardziej nietrwałe. Teraz zresztą dzieje się podobnie. Na przykład budowle prymitywniejszych kultur, zbudowane przed wieloma wiekami, są tysiącokrotnie trwalsze

i zrobione z solidniejszego materiału, niż nasze nowoczesne budynki-pudełka. Plastik, tworzywa sztuczne, prefabrykaty... To wszystko jest bardziej kruche niż przypuszczamy.

- Ależ tak być powinno, bo to pozwala na częstsze zmiany i szybszy postęp. Powiedzcie mi teraz, czy macie już jakiś pomysł na waszą pierwszą książkę?

Uśmiechnęliśmy się z Aną do siebie.

- Nasze wspólne spotkanie w O. starczy chyba na debiut?

- No, ja myślę! - odpowiedź Patryka była stanowcza. - Pamiętajcie tylko, że mam być pierwszym czytelnikiem.

*

I tak właśnie zakończyła się ta cała dziwna historia. Staralem się jak najwierniej przedstawić wszystkie jej realia. Jedyne w notatkach Sima musiałem zmienić podawane przez niego jednostki miar na używane obecnie. Tak doradziła mi Ana. O, właśnie słyszę, jak weszła do mieszkania. Zaraz zadzwonimy do Patryka i powiemy:

- Przyjeżdżaj. Powieść już skończona.